



TARA
MOSS

Pajeczka bogini
TOM II HISTORII PANDORY ENGLISH

Moss Tara

Pandora English 02

Pajęcza bogini

Pandora już od dwóch miesięcy mieszka z Celią, tajemniczą stryjeczną babką, w nawiedzonej rezydencji. Posiadłość znajduje się w dzielnicy Spektor, tajemniczej części Manhattanu, miejscu, którego nie ma na żadnej mapie miasta. Celia oraz przystojny, nieżyjący porucznik Lucas uświadomią jej znaczenie dziedzictwa rodziny, które skrywała przed nią jej zmarła matka. Pandora jest bowiem obdarzona pewnym darem, który niesie ze sobą ogromną odpowiedzialność...

Tymczasem w świecie śmiertelników życie Pandory wydaje się być jedną wielką klapą. Jej szefowa, redaktorka działu mody kolorowego magazynu, chyba nawet nie wie o jej istnieniu. Tymczasem w mieście pojawia się nowy projektant. Przed dziewczyną otwierają się zupełnie nowe możliwości. W końcu Nowy Jork potrzebuje szczególnych umiejętności młodej i ambitnej dziennikarki.

Rozdział 1

Przyjrzałam się modelce i upewniłam się, że nie jest martwa. Oszalamiająca blondynka z mocnym makijażem siedziała na środku dużego, jaskrawo oświetlonego studia o białych ścianach. Wokół unosiły się zapachy świeżej farby, kosmetyków i rozgrzanych lamp. Było coś takiego w jej chudości, w niesamowicie idealnej cerze. A może to jej oczy sprawiły, że zaczęłam coś podejrzewać? Ale nie... Na niebie świeciło słońce. Doszłam do wniosku, że była na pewno żywa.

W ciągu ostatnich dwóch godzin upewniałam się o tym dwa razy.

- Powiedz Jak-Jej-Tam, żeby się ruszyła i przyniosła tu kawę.

Słowa fotografa wyrwały mnie z zamyślenia. Był zwinnym małym mężczyzną ubranym w dżinsy i opięty T-shirt. Niebywała szczupłość sprawiała, że jego też podejrzewałam.

Mówił do mnie. *Jak-Jej-Tam*. Właściwie nie mówił *do* mnie, ale do swojego asystenta o mnie. Przez cały dzień żaden z nich mnie nie zauważał, nie mówiąc już o bezpośrednim zwracaniu się do mnie, lecz nie było to dla mnie nic nowego.

Nazywam się Pandora English. Nie jestem bogata, sławna ani nie mam władzy, a jak odkryłam, ludzie w Nowym Jorku nie odzywają się do ciebie, jeżeli nie masz jednego z powyższych przymiotów. Pochodzę z małego niemodnego miasteczka o nazwie Gretchenville (po moim bezprzykładnym wyjeździe liczba jego mieszkańców spadła do 3999). Gdy byłam mała, nie przyszłoby mi do głowy, że znajdę się w Nowym Jorku, a co dopiero na sesji zdjęciowej dla magazynu mody - takiego samego, jak te, w których przez lata zaczytywałam się jako dziewczynka.

I oto obserwowałam pierwszą w moim życiu sesję. Ku mojemu zaskoczeniu, wcale nie była interesująca. Zgadnijcie, dlaczego.

Odkryłam, że mniej fascynuje mnie moda, ekskluzywny makijaż i wszystko to, czego pragnęłam, gdy mieszkałam w moim monotonnym miasteczku, a bardziej to, czy osoby dookoła mnie są naprawdę istotami ludzkimi. Do takiej analizy przyczyniły się moje ostatnie doświadczenia w Nowym Jorku. W ciągu dwóch miesięcy cały mój świat stanął na głowie. Przyjechałam z małej miejsciny, dostałam swoją pierwszą pracę w mediach, byłam na pierwszej prawdziwej randce i spotkałam kilkoro nie-umarłych. To ostatnie doświadczenie stanowiło przełom. Życie, śmierć i stany między nimi były o wiele bardziej skomplikowane, niż mogłam sobie wyobrazić. A to było coś, zważywszy, że miałam - jak to określał mój ojciec - „żywą wyobraźnię”.

- Halo? Kawa? - Usłyszałam zniecierpliwiony głos fotografa. Podeszłam do niego, balansując tacą zastawioną gorącymi napojami, po które wysłano mnie do pobliskiej kafejki.

-Tak, proszę, jest kawa - powiedziałam, wyciągając do niego tacę i nerwowo się uśmiechając.

Asystent spojrział na mnie przelotnie, on też był zajęty: trzymał wielki deflektor w niewygodnej pozycji. Fotograf już wrócił do pracy, klikając szybko migawką aparatu.

Ponownie spojrzałam na modelkę siedzącą w blasku lamp. Było na nią skierowanych tyle świateł, że zastanawiałam się, w jaki sposób udaje jej się mieć oczy otwarte. Co kilka sekund lekko zmieniała wyraz twarzy - od zmysłowego po nadąsany, a potem znów zmysłowy. Cały proces zdawał się odruchowy. Nie tak to wyglądało w czasopiśmie.

Popatrzyłam na swoje dłonie. Były sine z zimna. W Nowym Jorku panowała zima i dokuczał mi mróz. Wełniany szalik, którym owinęłam się szczelnie, zsunął się z ramienia, odsłaniając szyję. Z przyjemnością chłonełam ciepło lamp. Miałam ochotę na łyżeczek gorącej herbaty, którą zamówiłam dla siebie. W zasięgu mojego wzroku pojawiła się ręka i chwyciła kubek z kawą. Fotograf. Wypił trochę i zmarszczył brwi.

- Czy ta latte jest bez tłuszczu? - rzucił w przestrzeń, choć stałam tuż obok.

Z pewnością nauczyłam się już, że nikt z tej branży nie dodaje do kawy pełnotłustego mleka. Oraz że ci ludzie mają nieustający problem z węglowodanami, które, o ile mi wiadomo, i tak są w całej żywności. Zdają się wierzyć, że pełnotłuste mleko i węglowodany są złem wcielonym. Gdyby tylko poznali to zło, które ja znałam...

-Tak, bez tłuszczu - przytaknęłam, powstrzymując się od przypomnienia mu mojego imienia. W końcu nie było tak trudno je zapamiętać, zważywszy, że brzmiało tak samo jak nazwa pisma, które go zatrudniało. To

była sesja dla „Pandory”, ekskluzywnego magazynu o modzie, w którym pracowałam.

Początki mojej pracy dla „Pandory” to dość dziwna historia. Przybyłam do Nowego Jorku na zaproszenie mojej ciotecznej babki Celi, która... cóż, jest raczej niezwykła. Ma niecodzienny dar wiedzy - choćby o tym, że jest wolna posada asystentki w redakcji czasopisma, a także, jak się powinnam ubrać na rozmowę o pracę. Nie pytajcie, skąd to wie. Ona po prostu wie. Odkrywam właśnie, że to chyba rodzinne.

-Jeszcze jedno ujęcie - powiedział fotograf, wzięwszy łyk kawy.

Na te słowa modelka spuściła wzrok i uniosła brwi. Tylko ja zauważyłam jej wyraz twarzy i usłyszałam pełne rezygnacji westchnienie. Wiedziałam, dlaczego była zniecierpliwiona. W ciągu ostatniej godziny słyszeliśmy te słowa przynajmniej trzy razy, a świeża dostawa kawy raczej nie zapowiadała rychłego końca. Słońce zaczęło już zachodzić i prawdopodobnie nie byłam jedyną osobą marzącą o powrocie do domu, ciepłej kąpieli i gorącej kolacji. Modelka z pewnością czuła to samo, choć w trochę innej formie, skoro była ubrana w strój zwany „splot transformujący”.

Kiedy przybyłam do Nowego Jorku, styl wampiryczny był ostatnim krzykiem mody - nieco zbyt dosłownym, jeśli o mnie chodzi. Najwyraźniej w nadchodzącym sezonie królować będą „sploty transformujące”. Dżianina stanie się nową czernią. Zwłaszcza czarna dzianina, jak mniemam.

Nieskazitelna modelka przede mną była opatulona dzianiną i przyozdobiona jaskrawą emaliowaną biżuterią, w dużej ilości i formacie. Dopasowany ubiór

z dzianiny najwyraźniej „delikatnie modeluje figurę”. To ciekawe, gdyż wybrali modelkę z figurą idealnie proporcjonalną, niewymagającą modelowania ani transformowania. Świat mody był dziwnym miejscem.

- Miętowa. Świetnie - wymamrotał asystent fotografa i wziął z tacy kubek z moją herbatą.

- Och, właściwie ta była dla mnie... - zaczęłam, ale on już się oddalił. Westchnęłam zrezygnowana.

Fotograf wypił kolejny łyk kawy i rzucił okiem na ekran komputera stojącego w pobliżu na wózku. Robił zdjęcia aparatem cyfrowym, dzięki czemu natychmiast były one wyświetlane na monitorze. Zmrużył oczy, powiedział coś cicho do asystenta, który przeglądał zdjęcia. Zrobił zbliżenie twarzy modelki, przez Co każdy por jej skóry i każda plamka makijażu pojawiły się w niewyobraźalnie wysokiej rozdzielczości. A potem, kliknąwszy kilka razy myszką, wygładził niemal niewidoczną zmarszczkę na jej twarzy. Niewiarygodne.

-Potrzebujemy zmiany. Ta czerń jest zbyt... czarna. Potrzeba nam koloru na zdjęcie do okładki. Co z próbkami od Sandy Chow? Mamy je?

- Nie - odpowiedziała stylistka. Ona też krążyła w pobliżu ekranu monitora, wpatrując się w powiększone zdjęcia, jakby obrazowały sens jej życia. - Mają tam jakiś mega kryzys. Przywieziono nam tylko Smith & Co, Helmsworth, Mai i to. Wiktor Mai ma jakieś kolory.

- Za bardzo w stylu lat osiemdziesiątych - odparł fotograf.

- Czy mogę dostać swoją kawę? - zapytała nieco płaczkliwym głosem modelka. - Ekstra dużą? - Najwyraźniej nie była szczęśliwa z powodu tych nadgodzin.

Podeszłam bliżej, wchodząc w krąg światła, by podać jej duży kubek.

- Proszę. Jestem pewna, że już prawie skończyli - dodałam pocieszająco, lecz wyraz niezadowolenia nie zniknął z jej twarzy. Właściwie z tym grymasem wyglądała całkiem ładnie. Może dlatego tak często pojawiał się na jej twarzy.

Odeszłam z pustą tacą i chwilę później usłyszałam zduszony krzyk: -Och!

Modelka przesuwiała się do tyłu, opierając się na dłoniach i piętach, jej twarz była wykrzywiona w szoku. Czy poparzyła się kawą? Nie. Napój stał nietknięty na podłodze. *Dziwne.*

-Pająk! - krzyknął ktoś za mną.

Zobaczyłam go w tym momencie i niemal upuściłam trzymaną w dłoniach tacę. To prawda, to był pająk. Ale nie zwyczajny. To był bardzo duży, tłusty i włochaty pająk.

Stałam jak sparaliżowana, a razem ze mną pozostałe obecne w studiu osoby. Słyszałam już, że na Manhattanie żyły karaluchy wielkości szurów i szczury wielkości kotów, ale pająki takich rozmiarów?

- Czy to... tarantula? - zapytałam. *W Nowym Jorku? W zimie?*

- Nie, to niemożliwe. Może pogoniec? Albo...

- Spadam stąd! - krzyknęła modelka, zrywając się na równe nogi. Ściągnęła z siebie obcisły sweterek i uciekła do malutkiej garderoby w samym staniku i czarnych rybackach. Błyskawicznie pozbyła się reszty ubrań. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś rozbierał się tak szybko. Wizażystka stała na krześle, mamrocząc coś niewyraźnie. Modelka nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi. Migiem założyła swoje ciuchy i pędem ruszyła do wyjścia.

Trzasnęły drzwi.

- Czy w pobliżu jest jakiś sklep zoologiczny lub coś w tym rodzaju? - zapytałam, lecz nikt mnie nie słuchał.

Fotograf i jego asystent wycofali się pod ścianę studia, a stylistka szła wolno tyłem przez salę, trzymając przed sobą sweter niczym matador. Wszyscy zaniemówili na widok wielkiego pająka poruszającego się powoli po lśniącej białej podłodze. Był wielkości mojej dłoni, tłusty i włochaty. Zatrzymał się, zakołysał na boki, a potem stanął ponownie. Może spodobały mu się światła?

-Ja się tym zajmę - powiedziałam w końcu. Schyliłam się i ostrożnie postawiłam tacę z kawą na podłodze. Powoli wzięłam do ręki wielki kubek z kawą modelki i wylałam napój na podłogę. (Uznałam, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu). Trzymając pusty kubek, zbliżyłam się wolno do pająka. - Chodź tu, kolego... - powiedziałam do niego melodyjnym głosem.

- Zabij go! - powiedział fotograf piskliwym głosem.

- Nie, ja tylko... - zaczęłam.

Był tuż przede mną, na wyciągnięcie ręki. Poczułam spojrzenie jego ośmiu małych czarnych oczu i jeszcze coś. Ten pająk był świadomy mojej obecności. Nie tylko zmian światła i ruchu, i obecności zbliżającej się osoby, ale świadomy mnie. Wydawało się to nedorzeczne, ale czułam dziwne porozumienie z pająkiem. Niekoniecznie przyjazne połączenie, ale zawsze jakieś. I poczułam coś dziwnego w żołądku - jakby zimno.

Często miewam tak zwane przeczucia. Czasami wiem coś, choć w żaden prosty ani też naukowy sposób nie mogę tej wiedzy wytłumaczyć. Gdy byłam mała, ojciec często krytykował mnie za „żywą wyobraźnię”, kiedy

twierdziłam, że widzę różne rzeczy, wyczuwam prawdę, magię albo rozmawiam ze zmarłymi. Do niedawna sądziłam, że ma rację, ale cioteczna babka wyjaśniła mi, że jest to mój dar. Uważa, że jestem „genetycznie predysponowana do percepcji pozazmysłowej i wrażliwości na siły nadprzyrodzone” i że moja matka miała podobny dar, a przed nią jej matka. To dar kobiet z rodu Lucasta. A ja jestem Siódmą. Cokolwiek to oznacza. To wszystko było dla mnie nowością.

Wciąż nie do końca rozumiem uczucia, które odbieram, i nie jestem pewna, czy potrafię je odróżnić od zwykłych emocji, ale nie mam na to wpływu. Cioteczna babka Celia uważa, że powinnam się w nie wsłuchiwać.

W każdym razie czułam coś dziwnego w stosunku do tego dużego pająka, który wpatrywał się we mnie swoimi ośmioma małymi oczkami, i wydawało mi się, że to uczucie jest odwzajemnione.

- Nie ruszaj się kolego, dobrze? - nakazałam mu. Czekałam, patrząc i obserwując uważnie, czy przypadkiem nie przyjmie agresywnej postawy i nie stanie na tylnych odnóżach, obnażając kły, lecz on po prostu sobie siedział, wpatrując się we mnie. Zbliżyłam kubek, a pająk zakołysał się na boki. - Spokojnie... - Szybkim ruchem zgarnęłam go do kubka za pomocą tekturowej tacy. Zakryłam otwór dłonią, bo pająk tej wielkości mógłby łatwo wspiąć się po ściankach kubka i czmychnąć. Zaraz potem nakryłam kubek kawałkiem kartonowej podkładki. - Dajcie mi kawałek taśmy - powiedziałam.

Asystent fotografa poruszył się. Zachowując bezpieczny dystans, rzucił mi rolkę czarnej taśmy samoprzylepnej.

- Nie wypuść go... - wychrypiał.

-To tylko pająk - odparłam. - Nie jest niebezpieczny.

Pomyślałam, że to chyba rzeczywiście tarantula. Nigdy nie widziałam jej z bliska, ale czytałam o niej w wielu książkach mojej nieżyjącej już matki. Tarantule miały imponujący wygląd i wielkie kły, którymi mogły zadać bolesne rany, lecz ich jad był przeznaczony dla mniejszych ofiar i nie był śmiertelny dla ludzi. Żyły w klimacie tropikalnym i podzwrotnikowym. Tak więc ten osobnik uciekł ze sklepu albo z prywatnej kolekcji z pobliskiego domu i przywędrował tutaj w poszukiwaniu schronienia i ciepła. Nasza mała wymiana spojrzeń zrobiła na mnie pewne wrażenie, lecz jak przypuszczam, zabłąkana tarantula na każdym zrobiłaby wrażenie.

- Ona nigdzie się nie wybiera - zapewniłam wszystkich obecnych w sali, unosząc ostrożnie kubek, tak by pająk w środku nie spadł gwałtownie na dno. Za pomocą taśmy przymocowałam karton na kubku. Powinna wytrzymać.

Rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi.

- O mój Boże! - usłyszałam słowa wizażystki, gdy zeszła z krzesła na podłogę.

Przez chwilę stałam pośrodku studia, trzymając kubek i czekając na instrukcje, lecz nikt nic nie powiedział.

- Cóż - powiedziałam w końcu. - Czy to oznacza koniec zdjęć?

Wkroczyłam w zimną ciemność Soho ze skórzaną torbą przewieszoną przez ramię i szalikiem ciasno owiniętym wokół szyi. W prawej ręce trzymałam kubek po kawie z żywą tarantulą. Niewątpliwie nie takiej pamiątki się spodziewałam po pierwszej sesji zdjęciowej. Atelier, w którym mieliśmy sesję, znajdowało się niedaleko sie-

dziby redakcji magazynu „Pandora”, więc znałam tę okolicę i nie musiałam korzystać ze swojej pogniecionej mapy Nowego Jorku. Żeby wrócić do domu mojej ciotki, trzeba było wsiąść do metra na stacji Spring Street. Na gorącą kąpiel nie mogłam liczyć zbyt szybko.

Przeszłam kilka kroków i zauważyłam, że ktoś na mnie czeka. Obok długiego czarnego samochodu zaparkowanego przy krawężniku stał wysoki, budzący respekt mężczyzna w pozie ochroniarza: na rozstawionych lekko nogach i z założonymi rękami. Słońce już zaszło, lecz on nadal miał na nosie ciemne okulary i choć chodnikiem płynęła fala przechodniów, on zdawał się oazą spokoju. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy oddycha.

- Witaj, Wład - powiedziałam. Nie oczekiwałam odpowiedzi. Wład był szoferem mojej ciotecznej babki Celi. Nigdy nie powiedział ani słowa, a jeśli już, to nie w mojej obecności. Nie prosiłam, żeby po mnie przyjechał, a jednak znalazł się tutaj. Pewnie moja cioteczna babka go wysłała. Czasami tak robiła.

Wygląda na to, że nie pojedę dziś metrem.

Gdy Wład płynnym ruchem otworzył przede mną drzwi samochodu, wsunęłam się na tylne siedzenie i położyłam torbę u stóp, a kubek na kolanach.

- Dziękuję - powiedziałam.

Wkrótce ruszyliśmy na Górny Manhattan, trafiając na korek na Madison Avenue. Wlokąc się niemiłosiernie, przejechaliśmy obok Muzeum Guggenheima, a minawszy Upper East Side, skierowaliśmy się w stronę mojej ulubionej drogi przez Central Park. Wciąż zdumiewało mnie, że w tak monumentalnym mieście z betonu i stali można znaleźć tak wiele zieleni. A wśród niej

mało uczęszczaną wąską alejkę, wijącą się wśród cieni i znikającą w tunelu pełnym mgły - tunelu prowadzącym do Spektora, dzielnicy Manhattanu nie pojawiającej się na żadnej mapie.

Samochód zwolnił i zatrzymał się przed domem mojej ciotecznej babki - wielką wiktoriańską rezydencją przy Addams Avenue numer jeden. Zbudował ją w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku dr Edmund Barrett, słynny naukowiec, badacz zjawisk parapsychicznych. Zajmowała większą część działki w centrum dzielnicy. Nigdy nie widziałam takiego budynku. Wydawał się wąski i wyciągnięty w górę, zdobiły go liczne kamienne łuki, wieżyczki i szpice skierowane w górę. Miał pięć pięter, a jego fasadę stanowiły wiekowe, bogato zdobione wnęki okienne w kształcie łuków, zgrupowane po dwie, trzy. Ktoś spostrzegawczy zauważyłby, że okna na środkowych piętrach są zasłonięte deskami od wewnątrz. Budynek robił imponujące wrażenie, choć sprawiał wrażenie nieco zaniedbanego, co było charakterystyczne dla całej dzielnicy. Miał w sobie upiorne piękno.

Kiedy Wład otworzył przede mną drzwi, wysiadłam i otulił mnie zimowy zmierzch. Opar na ulicy był niemal przezroczysty w porównaniu z ciężką zasłoną mgły, przez którą przejechaliśmy w tunelu.

- Dziękuję, Wład - powiedziałam i podeszłam do żelaznej bramy budynku, czując ssanie w żołądku. Włożyłam klucz w dziurkę i przekręciłam. - No dobra, otwórzcie się - wymamrotałam cicho i ogromne drzwi pozwoliły mi wejść.

Wśliznęłam się do środka i poczułam znajomy, niemal grobowy chłód powietrza w holu. Ciężkie drzwi zamknęły się za mną, wzniecając niewielką chmurę pyłu,

a wraz z pstryknięciem przełącznika ciemna przestrzeń ożyła oświetlona migotliwym światłem starego żyrandola.

- O nie, znów to samo - wymamrotałam i potrząsnęłam głową.

Wiszący wysoko nad moją głową żyrandol znowu się przekrzywił. W zeszłym tygodniu próbowałam to naprawić, ale jak się okazuje - bezskutecznie. Zdążył się nawet pokryć pajęczynami. Jeszcze raz potrząsnęłam głową. Choć wydawało się to daremne, chciałam utrzymać to miejsce w czystości dla mojej ciotki. Zrobiła dla mnie tak wiele, ja mogłam przynajmniej usunąć kilka pajęczyn.

Hol zdobiony był wspaniałymi płytkami i rzeźbionymi kinkietami, które z wolna popadały w ruinę. Półkolista klatka schodowa prowadziła w kierunku zamkniętych drewnianych drzwi na piętrze, a staromodna winda opleciona była zdobionymi żelaznymi prętami zakończonymi motywem lilii francuskich, z wyjątkiem jednego. Niecały miesiąc temu użyłam go, by zadźgać wampira... przepraszam - sangwinika (jak się okazuje, wampir to określenie pejoratywne), stąd też moja nowa obsesja na punkcie nieumarłych. Próba zadźgania go zakończyła się niezłym bałaganem, dosłownie i w przenośni. W przeciwieństwie do zasad obowiązujących we wszystkich znanych mi powieściach, moja przeciwniczka przeżyła przebicie żelaznym prętem, a ja musiałam doprowadzić zalaną krwią podłogę holu do czystości porównywalnej z tą, która panuje w sali operacyjnej. Jeśli się nad tym zastanowić, to, co zrobiłam, niewiele się od operacji różniło. Mimo wszystko hol wyglądał dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy tu przybyłam prawie dwa miesiące temu - trochę jak krypta, lecz na swój sposób okazała.

Jednakże teraz nie miałam czasu, by się nad tym zastanawiać. Po zapadnięciu zmroku pojawiali się w tych murach zarówno moi przyjaciele, jak i wrogowie. Niektórzy z... hm, współlokatorów nie byli zadowoleni z mojej obecności. Zwłaszcza od czasu incydentu z żelaznym prętem. Pamiętając o tym, wyjęłam z torby woreczek z ryżem i trzymałam w dłoni, gotowa użyć go w każdej chwili. Na moich wrogach większe wrażenie robiło to, co miałam w tym woreczku, niż jakikolwiek ruch karate. Nawet moja nowa tarantula nic tu nie znaczyła.

Ruszyłam szybko do windy.

Sz-z-z-r-r-a-a-akh.

Zatrzymałam się tylko na chwilę. Często słyszałam takie odgłosy, zupełnie jakby dom osiadał. Tylko, że nigdy nie słyszałam, by osiadaniu towarzyszył taki dźwięk. Przez jakieś akustyczne sztuczki brzmiało to tak, jakby dźwięki te dochodziły spod podłogi. Ruszyłam dalej przez hol, wskoczyłam do starej rozklekotanej windy i rozpoczęłam jazdę w górę. W ciszy obserwowałam mijane piętra, poszukując najmniejszych nawet oznak ruchu.

Zanim weszłam do apartamentu ciotecznej babki Celi, zapukałam do ciemnoniebieskich drzwi. To była jedna z obowiązujących zasad. Po chwili otworzyłam je, używając swojego klucza.

- Cześć, ciociu Celio. Wróciłam - krzyknęłam. Powiesiłam płaszcz na edwardiańskim wieszaku z lustrem i zdjęłam buty.

To z powodu Celi znalazłam się w Nowym Jorku. Była siostrą matki mojej mamy i jedną z dwóch moich żyjących krewnych. (Druga to ciotka Georgia z Gretchenville - starsza siostra mojego ojca, z którą mieszkałam

przez ostatnie osiem lat od śmierci moich rodziców). Nie znałam Celi wcześniej, lecz z wdzięcznością przyjąłm jej propozycję zamieszkania u niej. Któż nie zamieniłby Gretchenville na Manhattan? Wyjazd z tego małego dusznego miasteczka był ekscytującą i pożądaną odmianą. Naturalnie wówczas nie miałam pojęcia, jaka to będzie odmiana.

Elegancki apartament ciotecznej babki Celi nie przypominał mieszkań, które dotychczas widziałam. Podłogi wyłożone były polerowanym drewnem, a najwyższy punkt kopulastego sufitu wieńczył błyszczący żyrandol. W ogromnym salonie, na który właśnie patrzyłam, stały rzędy imponujących regałów wypełnionych woluminami, na których widok niejeden antykwariusz zzieleniałby z zazdrości. Oszklone kredensy wypełniały osobliwe przedmioty, dzieła sztuki, egzotyczne rośliny i antyki - owadożerna muchołówka, rzeźbiony kieł, figurka bogini płodności, maleńka statuetka nimfy w stylu art déco, wyblakłe fotografie i wydruki, dziwne motyle oraz ćmy pod małymi szklanymi kopułami. Wszystko to było piękne i intrygujące. W pozostałych pokojach apartamentu dominowały eleganckie, rzeźbione meble z epoki edwardiańskiej i wiktoriańskiej z domieszką art déco. A jednak, w przeciwieństwie do reszty budynku, nie było tu pajęczyn, patyny ani kurzu. W pokojach Celi panował nieskazitelny porządek. Dziś odsunięte zasłony wpuszczały blade, niebieskawe światło księżycy przed pełnią. Słynna panorama Manhattanu widoczna była w pewnej odległości przez delikatną mgiełkę, z czarną sylwetką Empire State Building upstrzoną iskierkami oświetlonych okien.

Wciąż zadziwiała mnie myśl, że naprawdę byłam w Nowym Jorku, mieście, o którym od zawsze marzyłam.

- Kochanie, jak poszła sesja? - usłyszałam znajomy głos.

Moja cioteczna babka pólleżała w świetle lampy w ulubionym fotelu, stojącym w małej wnęce znajdującej się po jednej stronie wspaniałego salonu. Zdjęła buty, a stopy ułożyła na podnóżku i elegancko skrzyżowała. Widziałam jej cienkie czarne, jedwabne pończochy i wąski szew biegnący wzdłuż pomalowanych paznokci. Cioteczna babka Celia była wytworną kobietą, czego należało się spodziewać po byłej projektantce mody pracującej dla gwiazd Hollywood. Tuż przy fotelu stała para puszystych pantofli na obcasie, ozdobionych strusimi piórami. Moja cioteczna babka nigdy w życiu nie założyłaby rajstop uciskowych ani rozdeptanych kapci.

Celia zaznaczyła miejsce w czytanej książce zakładką z ptasiego pióra i odłożyła ją na oparcie skózanego fotela. Uniosła głowę i spojrzała na mnie. Była, jak zawsze, ucieleśnieniem uroku lat czterdziestych - wysokie kości policzkowe, brwi w kształcie łuku, alabastrowa cera i czerwone usta, ciemne włosy, ułożone jak u gwiazd filmowych w fale, zakrywała delikatna czarna woalka sięgająca aż do podbródka. Miała szczupłą sylwetkę w kształcie klepsydry, idealną dla ówczesnej mody, a dziś ubrana była w czarną jedwabną sukienkę z ciasno opinającym talię skózanym paskiem. Od śmierci jej męża Rogera upłynęło już wiele lat i wdowi woal zdawał się jej ekscentrycznym nawykiem. *Pasuje do niej* - pomyślałam. Cienka siateczka tylko częściowo zakrywała jej niezwykle młodzieńczą urodę - niezwykłą, gdyż miała przynajmniej osiemdziesiąt lat.

Było wiele rzeczy, których nie wiedziałam o swojej ciotecznej babce.

- Co tam masz? - zapytała, spoglądając na styropianowy kubek. - To niepodobne do ciebie, by przynosić do domu kawę na wynos.

Celia była zagorzałą wielbicielką herbaty.

-Och, to nie kawa. - Poczułam, że istota wewnątrz kubka poruszyła się. - Właściwie to dość dziwna historia. ..

-Dziwna historia? Zawsze mam na taką czas - zażartowała ciotka i uśmiechnęła się pod woalką. Zdjęła opięte jedwabiem nogi z podnóżka, zapraszając, bym usiadła obok niej.

Zostawiłam torbę przy drzwiach i wcisnęłam do środka woreczek z ryżem. Tu, w mieszkaniu Celi, byłam bezpieczna. Inni, którzy zamieszkiwali ten budynek, nie mieli do niego wstępu bez wyraźnego zaproszenia gospodyni.

-To było bardzo dziwne, ciociu Celio - wyjaśniłam, siadając na podnóżku. - Sesja z dzianinami ciągnęła się w nieskończoność i właśnie wysłali mnie po kolejną kawę, a gdy wróciłam, na środku studia znajdował się ten pająk. Modelka natychmiast rzuciła się do ucieczki, a pozostali zamarli. Musiałabyś widzieć fotografa i jego asystenta skamieniałych ze strachu. Wizażystka wskoczyła na krzesło...

Kąciki ust Celi uniosły się lekko.

- Myślę, że to tarantula. Dość dziwne, zważywszy, że one tu raczej nie występują - dodałam.

- To prawda, dziwne - zgodziła się.

-W każdym razie... opróżniłam kubek i zagarnęłam pająka do środka - dokończyłam. - Nie mogłam go tam

zostawić i nie wiedziałam, co robić. Dlatego wróciłam do domu z tarantulą, czy cokolwiek to jest.

- Nie bałaś się? - zapytała. Zmarszczyłam brwi.

- Chyba nie. Nigdy nie widziałam tak dużego pająka, ale czytałam o tarantulach i po prostu... działałam instynktownie.

Ucieszyło to Celię.

- Dobrze. Powinnaś częściej ufać swoim instynktom - rzekła i pokiwała głową. - A jak tam sesja? Zwróciłaś uwagę, jakich marek stroje wykorzystali?

- Nie sprawdziłam - odparłam, próbując przypomnieć sobie nazwiska projektantów. Może Celia będzie niezadowolona, że nie jestem tak zainteresowana modą jak ona, choć przecież próbowałam zacząć swoją karierę pisarską właśnie w magazynie mody. Co ze mnie za sty-listka.

- W porządku, kochanie. Zatem... - Uśmiechnęła się lekko. - Co chcesz z tym zrobić? Nie przyniosłaś go przecież na obiad, prawda?

Otworzyłam usta.

- Pająka?

- Smażona tarantula jest przysmakiem w Kambodży. Mówią, że jest przepyszna, choć ja nigdy nie próbowałam. - Zamilkła, widząc, jak krew odpływa mi z twarzy, a potem pochyliła się do przodu i poklepała mnie po kolanie. - Kochanie, żartuję, oczywiście, że jej nie zjemy.

Przez dłuższą chwilę trawiłam jej specyficzny żart.

- Nie wiem, co z nią zrobić - powiedziałam. - Nie chciałam jej tam zostawiać. Chcieli ją zabić, a na to nie mogłam pozwolić. I nie mogłam jej wypuścić na ulicę. Jest zima. Zamarzłaby na śmierć - urwałam. - Jutro spraw-

dzę sklepy zoologiczne w Sono. Pewnie uciekła z jednego z nich.

- Jesteś bardzo wrażliwa, Pandoro. Nie sędzę, by jakakolwiek młoda kobieta przejęła się losem pająka na ulicy Nowego Jorku w zimie, z własnej... - ząjrzała do kubka, który trzymałam na kolanach - ...i nieprzymuszonej woli - dokończyła.

- Moja matka uważała, że pająki są niepojęte.

- To prawda, są - rzuciła. - Na razie włożymy go do słoika, jeśli chcesz. Może Harold zdobędzie dla nas ładną klatkę albo coś innego, w czym trzyma się te istoty.

Harold to właściciel pobliskiego sklepu w Spektorze. Był miłym człowiekiem - bardzo miłym, choć niezwykłym.

- Jeśli dobrze pamiętam, to się nazywa terrarium. Ale nie sędzę, by ten pająk był tu wystarczająco długo, by go potrzebował.

Słyszałam, że ludzie trzymają tarantule jako zwierzęta domowe, lecz szczerze mówiąc, nie bardzo to rozumiałam. To nie było to samo, co posiadanie psa czy kota.

Rozległ się hałas i obie uniosłyśmy głowy.

- Och, tu jesteś - powiedziała Celia. Jak na zawołanie pojawiła się przy nas kotka Celii. Nosila imię nordyckiej bogini, która często przedstawiana była w rydwanie zaprzężonym w koty. Kotka była śnieżnobiała - była albinoską - o oczach w kolorze różowych opali. Czasami lubila zakradać się w nocy do mojego pokoju na pieszczoty. Dziś jednak, co wydało się dość dziwne, zatrzymała się kilka kroków ode mnie, czujnie strzygąc uszami.

- Cześć Freja, kotku - przywitałam ją melodyjnym głosem. Zamruczała niskim głosem.

- Chyba nie podoba jej się twoja nowa przyjaciółka
-zauważyła Celia.

Przyjaciółka? Pomyślałam o tym dziwnym uczuciu w studio - chwili połączenia między mną a pajakiem. To nie był przyjazny kontakt. To było coś innego. Jakby rozpoznanie? Nie miałam pojęcia, co mogło to oznaczać, ani czy nie poniosła mnie wyobraźnia, ale starałam się zaufać swoim przeczuciom tak, jak uczyła mnie Celia.

Moja cioteczna babka pochyliła się.

- Myślisz, że ona wie, kim jesteś? Że próbuje ci coś powiedzieć?

Zamrugalam.

- Masz na myśli tarantulę? To szaleństwo. Uśmiechnęła się.

-Tak, masz rację. Szaleństwo.

Rozdział 2

Stałam na porośniętym trawą wzgórzu ubrana w długą, białą, delikatną koszulę nocną. Owiewał mnie łagodny wietrzyk, wywołując gęsią skórkę na ramionach. Myślałam, że jest noc, ale niebo nade mną było jasne i błękitne. Czułam ciepło promieni słonecznych łaskoczących moją twarz. Zamknęłam oczy i odetchnęłam. Powietrze pachniało dzikimi kwiatami.

Nie wiedziałam, co to za miejsce, ale podobało mi się.

Spojrzałam i w oddali na horyzoncie ujrzałam mężczyznę na białym ogierze jadącego w moim kierunku. Gdy się zbliżył, zobaczyłam, że ma na sobie wysokie skórzane buty do jazdy konnej i dopasowany mundur w ciemnoniebieskim kolorze oraz długą kurtkę, opinającą talię, i szerokie bary. Do pasa miał przypiętą szablę w pochwie, a na głowie nosił czapkę z daszkiem. Zatrzymał swego wspaniałego wierzchowca tuż przede mną. Koń zarżał i stanął dęba, ciężko dysząc. Jego mięśnie drżały, a ja się uśmiechnęłam. Było to najpiękniejsze zwierzę, jakie kiedykolwiek widziałam. Chciałam wyciągnąć rękę i dotknąć go.

- Panienko Pandoro - odezwał się mężczyzna oficjalnym tonem.

Spojrzałam w górę. Mężczyzna był przystojny i wyglądał znajomo. *Porucznik Luke*, próbowałam odpowiedzieć, ale zabrakło mi słów. Wyciągnął dłoń.

-Chodź ze mną - powiedział głębokim męskim głosem, a jego jasne błękitne oczy zdawały się płonąć dziwnym blaskiem.

Nie wahałam się, lecz gdy wyciągnęłam dłoń, by chwycić jego rękę, poczułam, że nie mogę jej dotknąć. Choć wyglądała jak prawdziwa, nie dało się jej uchwycić; moja dłoń przechodziła przez nią jak przez powietrze.

Co się dzieje? - chciałam zapytać, ale zorientowałam się, że nie mogę mówić.

Poczułam drzenie ziemi pod stopami. Coś nadchodziło. Coś straszego. Ziemia się trzęsła. Cofnęłam rękę, tak jak on, i popatrzyłam na szczyt wzgórza. Oboje to usłyszeliśmy - pomruki i jęki, odgłos setek biegnących stóp.

Co się dzieje?

A potem zobaczyliśmy.

Ciała. Tysiące ożywionych ciał biegło w naszym kierunku, miały otwarte usta, wywieszane języki i oczy świecące na czerwono. Niektóre nie miały ramion, inne głów, lecz wciąż przemieszczały się ku nam z niezwykłą, nienaturalną szybkością. *Upiory. Zombie.*

Znów chciałam chwycić dłoń Luke'a, ale - ku mojemu przerażeniu - moja ręka znów napotkała powietrze. To *ja* - zdałam sobie sprawę - *ja jestem duchem* Nie mogłam go dotknąć, ponieważ nie byłam prawdziwa. A on nie mógł mnie uratować przed tym, co nadchodziło.

Biały koń Luke'a kręcił się niespokojnie, rzucając głową w górę i w dół.

- Spokojnie...

Upiorne istoty były już prawie przy nas. Cofnęłam się, gdy wspaniały biały ogier stanął dęba, a Luke wyciągnął swój błyszczący miecz.

- Luke! - W końcu byłam w stanie wydobyć z siebie głos. - Luke!

Ale już go nie było.

Jakiś dźwięk lub uczucie zbudziło mnie z koszmaru.

Przetałam dłonią spoconą twarz i uniosłam ciężkie powieki. Leżałam w łóżu z baldachimem w swoim pokoju w mieszkaniu ciotki Celi. To był piękny pokój z wysokim sufitem, elegancko urządzone starymi zdobionymi meblami. Nawet w półmroku mogłam rozróżnić lustro na dębowej toalecie i wysoką zabytkową szafę stojącą obok niej. Na drzwiach szafy, czekając na świt, wisiała sukienka przygotowana na następny dzień - właściwie na dzisiaj. To była kolejna z kreacji zaprojektowanych przez Celię w latach czterdziestych, czarna z ozdobnym złotym paskiem i białym kołnierzykiem. Widziałam też wiktoriański sekretarzyk ustawiony pod jednym z dwóch wysokich, zakończonych łukiem okien wychodzących na Addams Avenue. Jak zwykle jedno z okien było lekko uchylone, by wpuścić świeże powietrze. Zasłony nie były do końca zaciągnięte, tak jak je zostawiłam. Falowały lekko na nocnym wietrze. Nawet zaspana widziałam, że wszystko jest na swoim miejscu. Byłam bezpieczna. Nie otaczały mnie hordy okropnych upiorów. W każdym razie jeszcze mnie nie otaczały.

- Panno Pandoro?

Zastanawiałam się, czy nadal śnię. Zamrugałam i rozejrzałam się dookoła.

- Usłyszałem twój krzyk.

Moje oczy ujrzały biały mglisty kształt pojawiający się przy łóżku.

Porucznik Luke.

Zmaterializował się u stóp łóżka, na głowie miał ciemnoniebieską czapkę ozdobioną dwoma skrzyżowanymi złotymi mieczami, a długa kurtka, spięta pasem w talii, podkreślała jego męską sylwetkę, błyszczące guziki zapięte były aż po szyję. Był ubrany dokładnie tak, jak w moim śnie, jak zwykle zresztą - w mundur żołnierza Unii z czasów wojny secesyjnej. Wojny, w której walczył i zginął.

Pierwszy raz spotkałam porucznika Luke'a w tej sypialni dwa miesiące temu. Dopiero przyjechałam, zaś jego pojawienie się było dla mnie szokiem. Pomyślałam wówczas, że jakiś szalony nowojorczyk włamał się tu, żeby coś ukraść albo mnie skrzywdzić. Teraz rozumiem, jakie to było zabawne - Luke jest widmem, od wielu dekad uwięzionym w tym budynku, a ja byłam intruzem.

Jedną z wielu rzeczy, których dowiedziałam się od czasu przeprowadzki do ciotecznej babki Celi, był fakt istnienia duchów. Cóż... przyznaję, że dorastając, uzyskałam kilka wskazówek w tej materii. Już jako dziecko potrafiłam wyczuć obecność zmarłych, choć rodzice potępiali moje fantazyjne opowieści. Gdy przepowiedziałam śmierć miejscowego rzeźnika - i na dodatek twierdziłam publicznie, że rozmawiałam z nim już po jego śmierci - ludzie przestali nas odwiedzać. (Z wyjątkiem kilku męczących psychologów dziecięcych. Oni przychodzili chętnie). Po tej historii, choć byłam w miarę bystra i ładna, przyczepiono mi łątkę „dziwadła”. Nigdy nie byłam lubiana w szkole. Podejrzewam, że śmierć moich rodziców w wypadku w Egipcie, gdzie mama pracowała przy wykopaliskach, nie przyczyniła się do wzrostu mo-

jego powodzenia. Miałam wtedy jedenaście lat. Mieszkałam u ciotki Georgii, gdy nadeszła wiadomość o wypadku, i u niej już zostałam. Georgia uczyła matematyki w szkole w Gretchenville. Nie jest to lubiany przedmiot, a ona nie była specjalnie lubianą nauczycielką. Zamiast chłopaków miałam więc książki i tak do niedawna wyglądało moje życie. Życie z nosem w powieściach i czasopismach o modzie. (W nich każdy był popularny i taki wytworny. Takiego życia pragnęłam). I tak oto zamieszkałam na Górnym Manhattanie, w dzielnicy, która nie istniała na mapach, i prowadziłam rozmowy z przystojnym duchem.

To tyle, jeśli chodzi o wiedzę psychologów dziecięcych.

Oczywiście, trochę czasu zajęło mi zaakceptowanie takiego stanu rzeczy, jako części mojego nowego życia w Spektorze. Porucznik Luke z pewnością ma duże zasługi. Szczerze mówiąc, Luke był... Cóż, był raczej jak marzenie senne.

- Czy wszystko w porządku, panno Pandoro? - zapytał z typową dla niego troską. Zaciskał szczęki, które - z jakiegoś powodu - zawsze przywodziły mi na myśl kowadło. Luke miał dwadzieścia pięć lat, a dokładnie miał tyle lat, gdy zmarł w 1861 roku, na początku wojny secesyjnej. Miał szczupłą, opaloną, gładko ogoloną twarz z niewielkimi bokobrodami, które były popularne w jego czasach, a jasne włosy opadały mu na szyję. Miał też najjaśniejsze niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Czasami nawet zdawały się świecić w ciemności.

Luke podszedł wolno i stanął obok mnie. Kołatały się jeszcze we mnie resztki koszmaru sennego i nagle zapragnęłam przytulić się i pocałować go.

- Przepraszam Luke, to tylko sen - wyjaśniłam. - Nie chciałam cię wzywać.

-Pomyślałem, że możesz być ranna - odparł zmartwiony.

- Nic mi nie jest.

Wspomniałam mu kiedyś, że nie chcę, by się zjawiał u mnie bez wezwania. Co prawda, zawsze cudownie było go widzieć, ale nie czułam się komfortowo, wiedząc, że w każdej chwili może się pojawić w mojej sypialni. Zwłaszcza biorąc pod uwagę sny, w których śniłam o nim. Teraz wyczuwałam, że nie był pewien, czy dobrze zrobił, pojawiając się bez wezwania. Chociaż właśnie to zrobiłam, wypowiadając jego imię we śnie.

- Cieszę się, że tu jesteś - zapewniłam go, usiłując nieudolnie ukryć swoje podekscytowanie. Lubiłam przebywać z porucznikiem Lukiem; co więcej, rozkoszowałam się tym. Nieważne, że umarł sto pięćdziesiąt lat temu i dla innych ludzi nie istniał. Tęskniłam za nim, gdy przez wiele nocy nie zjawiał się z wizytą. Ale co można zrobić, jeśli ktoś zadurzył się duchu? Niewiele. - Usiądź, proszę. - Wskazałam na łóżko.

Usiadł na krawędzi materaca, delikatniej, niż mógłby to zrobić żywy mężczyzna jego postury.

- Przyniosłaś do domu dziwnego pająka - zauważył.

-Tak. - Znajdował się teraz w dużym słoiku z podziurkowaną nakrętką, na półce w salonie Celi. Do słoika wstawiłam mniejszą pokrywkę służącą jako pojemnik na wodę. - Widziałeś go?

Skinął głową.

- Nie jestem pewien, czy to bezpieczne trzymać go tutaj, Pandoro.

Uśmiechnęłam się.

-Wszystko w porządku, naprawdę. Jest niegroźny.

A jednak było to dziwne stworzenie. Miałam wrażenie, że tarantula wodzi za mną swoimi oczami za każdym razem, gdy przechodziłam przez salon, i odkryłam, że nieważne, w którą stronę odwróciłam słoik, ona zawsze ustawiała się tak, by mnie widzieć. Czy pająki normalnie tak robią?

- Poza tym jutro spróbuję się dowiedzieć, skąd pochodzi - ciągnęłam. - Biedne zwierzę, pewnie uciekło z jakiegoś sklepu zoologicznego. W każdym razie dowiem się tego. Jest tu tylko chwilowo.

Moje słowa chyba nie rozwiały jego wątpliwości.

-Czytałam trochę o tarantulach - powiedziałam. Czytałam o egzotycznych zwierzętach w książkach mojej mamy. - Tarantule z Ameryki Północnej nie są jadowite, tylko tak strasznie wyglądają. Zazwyczaj jedzą owady. - Wiedziałam, że jad tarantuli zawierał czynnik paralizujący i że wstrzykiwały one swoim ofiarom silny enzym, żeby je potem zjeść. Wyobraziłam sobie ponurą scenę z pająkiem rozpuszczającym tkanki swojej ofiary, a następnie wysysającym ją i odrzucającym wysuszoną łupinę.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, by trzymać ją tutaj - powtórzył, ale uparcie odrzuciłam jego ostrzeżenie.

- Nie zostanie tu długo. - Położyłam się na boku, opierając się na łokciu, i uśmiechnęłam do niego. - Możemy porozmawiać? - zapytałam. - Mam kilka pytań.

W tym momencie weszła Freja, łebkiem otwierając sobie przymknięte drzwi do mojej sypialni. Od razu wskoczyła na łóżko i, mruczac, zaczęła układać się między mną a Lukiem, w typowo koci sposób zawłaszczając dla siebie przestrzeń, co było zarówno ujmu-

jące, jak i czarująco aroganckie. Wydawało się, że patrzy na porucznika Luke'a, który siedział przy mnie w milczeniu. Byłam pewna, że go widzi. W przeciwieństwie do Celi.

-Jeśli chcesz, powiem ci, co wiem - odparł. - Ale potem musisz spać.

Spojrzałam na budzik przy łóżku i zobaczyłam, że jest dopiero pierwsza. Do pracy wstawałam około siódmej. Czułam się już trochę senna.

-Wiesz, jest tyle spraw, których nie rozumiem. Dokąd idziesz, gdy odchodzisz... stąd?

-Tego nie mogę ci powiedzieć, Pandoro. Są pewne... -urwał na chwilę - .. zasady, które określają, co mogę ci wyjawić, a czego nie.

Luke wspomniał już o tym wcześniej. Zmarli nie mogli ujawniać pewnych prawd żywym, dlatego w większości przypadków widzenie ducha ograniczało się właśnie tylko do tego - widzenia, nie dialogu. Komunikacja werbalna z duchem była dość rzadkim zjawiskiem. Celia uważała, że to jedno z moich specjalnych uzdolnień. Lecz mimo niezwykłości naszego związku, Luke nie mógł wyjawić mi wszystkiego, co chciałam wiedzieć. A mimo to próbowałam.

-Możesz mi powiedzieć, czy istnieje niebo albo piekło? - zapytałam.

- Pytasz dziś o poważne sprawy - stwierdził.

Uśmiechnęłam się ponownie.

-Nie zauważyłem dowodów na istnienie nieba czy piekła w takiej postaci, w jakiej były opisywane w moich czasach. Rogaty diabeł. Widły. Święci w białych szatach z aureolami wokół głów. Są pewne miejsca, do których kierują się duchy, ale...

- Nie ma tam „perłowych bram”?

- W każdym razie ja ich nie widziałem. Widzę, że jesteś zmęczona. Powinnaś trochę się przespać...

- I nie wiesz, gdzie się znajdowałeś po swojej śmierci, zanim się znalazłeś tutaj, w Spektorze? - zapytałam szybko. Ten dom zbudowano w 1888 roku, jakiś czas po jego śmierci.

- To dość tajemnicza sprawa, panno Pandoro. Po prostu, po jakimś czasie się tu znalazłem. Nie pamiętam dokładnie chwili swojego przybycia. Pewnie przedtem byłem w stanie jakiejś próżni. Nie jestem pewien, jak długo to trwało.

Już wcześniej odkryłam, że duchy nie miały poczucia czasu.

- Pamiętam doktora Barretta i jego żonę, ale...

- Naprawdę? - Celia opowiadała mi o nich i ich tragicznej śmierci. - Och, opowiedz mi o nich. Jacy byli? Jakie eksperymenty tu przeprowadzał?

Ale Luke nagle się wyprostował, jakby słysząc lub wyczuwając coś nieuchwytnego dla mnie.

- Co to? - zapytałam. - Słyszałeś coś?

- Zaczekaj tu - powiedział, jakbym mogła podążyć za nim, gdy przeszedł obok mojego łóżka, a następnie przez ścianę, znikając mi z oczu. Zawsze, gdy tak robił, czułam się nieswojo. Kiedy byliśmy razem, starał się przechodzić przez otwarte drzwi zamiast zamknięte, a nawet jeździł ze mną windą, choć wiedziałam, że bez problemu mógł się przemieszczać między piętrami, jak pewnie zrobił i teraz.

Czekałam, leżąc w łóżku o tej dziwnej porze i zastanawiając się, kiedy mój nieżyjący przyjaciel z wojny secesyjnej powróci. Musiałam się chociaż trochę wyspać

przed pracą. Ale może powinnam wstać i sprawdzić, co się dzieje? Minęły ze dwie minuty, nim usłyszałam głos Luke'a i poczułam chłodną mgłę.

- Na dole jest ktoś, kogo nie powinno tu być - powiedział, materializując się. - Musisz to zobaczyć.

-Och.

Usiadłam na łóżku i dotknęłam bosymi stopami zimnej podłogi. Luke dyskretnie się odwrócił, a ja odrzuciłam kołdrę i wstałam. Miałam na sobie białą koszulę nocną. Chwyciłam zimowy płaszcz i narzuciłam go na ramiona, a stopy wsunęłam w miękkie domowe pantofle.

- Już - powiedziałam, a on odwrócił się do mnie.

- Musimy się spieszyć.

Wziął mnie za rękę, lecz inaczej niż w moim śnie, jego dłoń była niemal tak prawdziwa w dotyku jak każda inna - ta iluzja czasem nam się udawała. Poprowadził mnie delikatnie, lecz szybko w kierunku drzwi sypialni, jak zawsze pamiętając, by je otworzyć przede mną. Przeszliśmy przez salon i zbliżyliśmy się do drzwi wejściowych.

-Czy musimy iść na dół, czy...? - zaczęłam, ale było jasne, że sprawa jest zbyt pilna, by martwić się o środki ostrożności, takie jak ryż. Wyszliśmy z mieszkania i Luke podprowadził mnie do balustrady.

-Była właśnie tam, w holu - wyjaśnił, wskazując w dół.

-Ale kto?

- Nie jestem pewien. Miałem nadzieję, że ty będziesz wiedziała.

Przez chwilę staliśmy, spoglądając w dół. Windy nie było na poziomie apartamentu, gdzie ją zostawiłam. Ktoś z niej skorzystał.

- Kimkolwiek była ta kobieta, była tu obca. Ostatnio widywałem ją, jak przychodzi i wychodzi - mówił, wyraźnie zmartwiony. - Nie powinno jej tu być.

- Jest śmiertelna? To masz na myśli? Skinął głową.

-Tak.

Niewielu nas było w Spektorze.

- Jak myślisz, co tu robiła? - zapytałam.

- Myślę, że ktoś ją wykorzystał. Wydawało się, że jest w jakimś transie...

- Och - odparłam. To brzmiało złowrogo. Zastanawiałam się, kto to mógł być.

Rozdział 3

Kiedy we wtorek szłam do pracy, Spektor sprawiał wrażenie wymarłego. Powoli przyzwyczajałam się do specyficznej ciszy tego miejsca, a nawet do spowijającej budynki mgły, pachnącej starymi książkami i naftaliną. Na końcu Addams Avenue, dokąd zmierzałam, zapach był trochę bardziej intensywny. *Sklep Harolda.*

Sklep Harolda niby był typowym sklepikiem spożywczym, ale z drugiej strony nim nie był. Po pierwsze, był zawsze otwarty, za dnia i w nocy. Harold utrzymywał też, że jest w stanie zdobyć wszystko dla każdego w Spektorze. Byłam ciekawa, czy moja dzisiejsza prośba podważy tę teorię.

- Dzień dobry Haroldzie - przywitałam się, otworzywszy drzwi. Dźwięk dzwonka nad nimi oznajmił moje wejście.

Sklep trącił nieco myszką, na półkach stały rozmaite produkty spożywcze jakby z innej epoki. Harold miał detergenty i mydła, warzywa w puszkach, sosy i pudełka z płatkami śniadaniowymi i ryżem, ale nie rozpoznawałam żadnej marki ani ich przedpotopowych nalepek. Zawsze miałam wrażenie, że te pudełka i puszki stoją tu od dłuższego czasu. Znajdowała się tu też stara, brzęcząca, oszklona lodówka z towarami, które regularnie kupowałam: mleko, ser, napoje gazowane. Harold

trzymał też zawsze zapas moich ulubionych krakersów. Pomyślałam, że te puszki stojące na półkach miały już swoje lata. Na zewnątrz, nad drzwiami wejściowymi wisiał staromodny szyld z prostym napisem „U Harolda”, a jego kasa byłaby szczytem marzeń kolekcjonerów. Była to duża metalowa kasa z okrągłymi klawiszami, metalowymi nóżkami niczym stara maszyna do pisania, i dużymi białymi cyframi, które wyskakiwały, wskazując kwotę do zapłaty. Jednakże jeszcze bardziej imponujący niż sklep był sam Harold. -Witaj, Pandoro English.

Harold wyszedł z zaplecza otoczony chmurą kurzu niczym liniejący pies sierścią. Był niski, zawsze ubrany w tę samą kraciastą koszulę, wciśniętą za pas roboczych spodni, z okrągłym brzuchem wylewającym się znad paska. Kępki cienkich włosów na jego głowie chwiały się do przodu i do tyłu niczym zielone wodorosty, a okrągłe policzki były w kolorze jabłek odmiany Granny Smith. Był, muszę to przyznać, najbardziej zieloną osobą, jaką znałam. Białka jego oczu były żółte. Trochę czasu zabierało przyzwyczajenie się do koloru jego skóry, lecz trudno było Harolda nie lubić, gdyż był zawsze bardzo miły.

-Witaj, Haroldzie. Miło cię widzieć. Jak się masz?

- Zielono mi, a jakże - zażartował. Często tak żartował. Za każdym razem się uśmiechałam.

- Mam prośbę - zaczęłam.

- Pani Celia już dała mi znać, że panienka potrzebuje małego domku dla zaprzyjaźnionego pająka - odparł Harold, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

-Och, więc rozmawiała z tobą wczoraj wieczorem? Cóż, nie wiem, czy ten pająk jest przyjacielem, ale... Nie, nie sądzę, żebym potrzebowała terrarium. Będzie

u mnie jeszcze tylko przez jeden dzień. Chciałam zamówić dla niego coś do jedzenia. Jakieś świerszcze?

- Pani Celia powiedziała, że potrzebne będzie terrarium. Ale, to prawda, nie użyła słowa przyjaciel - zauważył.

Celia zawsze upewniała się, że wszystko, co kupowałam u Harolda, było dopisywane do jej rachunku, ale kupowanie terrarium dla zbłąkanej tarantuli to już za dużo.

-Sądzę, że pająk musi mieć odpowiednie warunki, zanim znajdę mu dom - powiedziałam, namyśliwszy się.

- Ten mały słoik jest trochę niehumanitarny. - Celia zazwyczaj miała rację w wielu sprawach. - Cóż, pewnie będę go potrzebować tylko na kilka dni. Maksymalnie na tydzień. Czy możesz zdobyć coś takiego? Nic wymyślnego. Wystarczy zwykłe, tanie terrarium.

-Już złożyłem zamówienie. Powinno dotrzeć wieczorem.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Naprawdę? To szybko.

- Tak właśnie działałam - odparł Harold z uśmiechem.

- Chciałem się jeszcze upewnić... to nie jest goliat, prawda?

- Słucham?

-Cóż, pani Celia - wspaniała dama, pani Celia -wspomniała, że pani zdaniem to tarantula. Chodzi o to, że istnieje południowoamerykański gatunek tarantuli zwany ptasznik goliat, który potrzebowałby znacznie większego terrarium. Po łacinie *Theraphosa blondi*. Uważa się, że to największy dotąd odkryty pająk na świecie. Sprawdziłem w książkach.

- Och, na miłość boską, nie. To najzwyklejsza tarantula, normalnych rozmiarów. Złapałam ją w duży kubek po kawie.

Harold zaśmiał się cicho, a jego brzuch zatrzęsł się w górę i w dół.

- Rozumiem. To dobrze.

- A jak duży jest goliat?

- Ma około trzydziestu centymetrów.

Nie, nie byłabym w stanie zmieścić czegoś takiego w kubku po kawie.

-O nie. To nie jest to. To tylko mała tarantula. Ale i tak będę potrzebowała dla niej jedzenia na kilka dni, aż znajdę dla niej dom - powiedziałam. - Myślisz, że uda ci się zdobyć dla niej kilka świerszczy?

- Zakładam w takim razie, że nie boi się panienka robali?

- Żaden pająk nigdy mnie nie skrzywdził.

To była prawda. Moja nieboszczka matka, archeolożka, powiedziała mi, że w niektórych kulturach uważano pająki za tkaczy, którzy przędą cały wszechświat. W naszym domu nigdy nie zabijano pająków. Zupełnie inaczej postępowała ciotka Georgia. Ona rozpląszczała je za pomocą magazynów kulinarnych, nieważne, czy były jadowite, czy nie.

- Żaden świerszcz też mi nigdy nic nie zrobił - dodałam. - Ale myślę, że pająk musi jeść, więc...

Harold przytaknął.

- Jest pani interesującą młodą damą, Pandoro. Załatwione, jedno terrarium i kilka świerszczy. Przy okazji, ma panienka dziś piękną sukienkę.

- Och, dziękuję - odparłam, rumieniąc się lekko. Rozsunęłam poły zimowego płaszcza od Celi i zakręciłam się dookoła, aż krawędź sukienki zawirowała wokół moich kolan. - Celia ją uszyła.

To była ta czarna, ze zdobionym, przeplatany zło-

tym paskiem i białym wykrochmalonym kołnierzykiem. Miałam ogromne szczęście, że jej garderoba pasowała na mnie. Celia twierdziła, że kobiety z rodu Lucasta nosiły zawsze te same rozmiary ubrań i butów. Często powtarzała, że jestem Lucastą w każdym calu. Mówiła też, że nazywałabym się Pandora Lucasta zamiast Pandora English, gdyby dzieci nie dziedziczyły nazwiska po ojcu.

- Pani Celia jest wielką damą - zauważył ponownie Harold i westchnął.

Często tak mówił o mojej ciotecznej babce, bardziej do siebie niż do mnie. Zaczynałam myśleć, że się w niej zadurzył.

-Cóż, do widzenia, Haroldzie - powiedziałam, idąc w kierunku wyjścia. - Wpadnę po pracy.

- Do zobaczenia. Mój sklep jest zawsze otwarty - powiedział, gdy drzwi zamykały się za mną z brzękiem dzwonka.

Dojechałam na Spring Street trochę za wcześnie i wyszłam na ulicę w radosnym nastroju. Czułam się wspaniale, zważywszy wczorajszą nieprzespaną noc. Spotkania z Lukiem zawsze tak na mnie wpływały.

Dzielnica Soho, South of Houston, była niegdyś znana jako „piekielne sto akrów”, lecz gentryfikacja dała jej nowe życie, stała się wręcz modna, z przekształconymi powierzchniami magazynowymi, ekskluzywnymi butikami projektantów mody i przytulnymi kafejkami. Mieszkało tu wielu artystów. To właśnie tutaj odbywała się wczorajsza sesja zdjęciowa i tu zaczęłam swoją karierę pisarską w czasopiśmie „Pandora”. Właściwie, jeszcze nic nie napisałam - zatrudniono mnie jako asystentkę -

ale przynajmniej była to praca w Nowym Jorku, a tu o to trudno. Była o niebo lepsza niż praca kelnerki, a poza tym uwielbiałam moje codzienne wizyty w Soho.

Przyjechałam kilka minut wcześniej i właśnie wpatrywałam się w muchołówki i dziwne wypchane zwierzęta, ustawione w oknie wystawowym sklepu Evolution przy Spring Street 120, gdy poczułam, że ktoś stanął obok mnie, i zeszywniałam.

- Marzę o tej czaszce.

Odetchnęłam. To była Morticia, sekretarka z redakcji „Pandory”. Uważam, że jej imię jest dość zabawne, choć nigdy jej tego nie powiedziałam. W końcu nie jest dziwniejsze od Pandory. Poza imieniem i bladą karnacją w żaden sposób nie przypomina władczej matrony z *Rodziny Addamsów*. Właściwie, jest bardziej podobna do Olive Oyl, ukochanej marynarza Popeye... Wygląda jak Olive Oyl widziana oczami Tima Burtona. Podmuch wiatru sprawił, że jej farbowane rude włosy spadły na oczy, więc odsunęła kosmyk, zakładając go za ucho. Posłała mi krzywy uśmiezek, aja przywitałam ją.

-Którą czaszkę? - zapytałam. Oprócz muchołówek i wypchanych zwierząt sklep wypełniały czaszki i szkielety, zarówno ludzkie, jak i zwierzęce. To był dziwny sklep. Złapałam się na tym, że często oglądałam jego wystawę.

- Widzisz szafkę na ścianie, po lewej? - wskazała. Zbliżyłam twarz do szyby, osłaniając dłońmi oczy,

i zajrzałam do środka. W nieskazitelnej witrynce na ścianie stało pięć ludzkich czaszek. Środkowa wyglądała niesamowicie. Była bogato zdobiona wykonanymi ze srebra elementami - miała srebrne zęby, uszy i nos oraz opaskę z małych srebrnych czaszek. Na środku

czoła umieszczono jej trzecie oko w postaci kamienia szlachetnego, a w oczodołach widniały wielkie srebrne dyski z lśniącymi czarnymi kamieniami jako źrenicami.

- Tam trzymają prawdziwe cudeńka - wyjaśniła Morticia. - Nie modele medyczne, ale prawdziwe kości. Chcę mieć tę środkową.

Spojrzałam na cenę.

- Kosztowna - zauważyłam.

- Nie jest tak... no dobra, jest. Ale nawet gdybym miała pod ręką sześć tysięcy i tak nie mogliby mi jej sprzedać.

Słyszałam o tym. Handel ludzkimi częściami ciała w jakiegokolwiek postaci był nielegalny. Ta zasada odnosiła się do wszystkiego, co pochodziło z ciała ludzkiego, z wyjątkiem włosów. Widywałam delikatne pamiątki rodzinne z epoki wiktoriańskiej - naszyjniki i bransoletki - wykonane z ciasno splecionych włosów nieżyjącej ukochanej osoby. Trochę upiorne, ale i urocze.

- Ten sklep ma licencję na sprzedawanie takich rzeczy - ciągnęła Morticia. - Mogą sprzedawać prawdziwe szkielety, tak samo jak plastikowe, pod warunkiem że przeznaczone są do badań medycznych.

- Dużo wiesz na ten temat - powiedziałam. - Wiem, jestem dziwna - odparła szybko. Zaprzeczyłam.

- Nie, nie. Wcale nie uważam, że jesteś dziwna, Morticio.

Byłyśmy w tym samym wieku - miałyśmy po dziewiętnaście lat - i dotąd widywałyśmy się jedynie w biurze czy w drodze do metra, lecz pomyślałam, że byłoby miło przebywać z nią częściej. Druga strona mojego życia - ta z duchami i dziwnymi wydarzeniami - była jednak dość absorbująca.

Odeszliśmy od wystawy, otworzyliśmy sąsiadujące ze sklepem drzwi pod numerem 120b i ruszyliśmy w górę po schodach, mijając drzwi opatrzone tabliczkami z nazwiskami fotografów i nazwami firm PR. Kiedy dotarliśmy na nasze piętro ze skromną, lecz stylową tabliczką z napisem „Pandora”, weszliśmy do jasno oświetlonego biura i stwierdziłyśmy, że jesteśmy pierwsze. Całkiem nieźle.

Szybko i nerwowo rozejrzałam się po dużej otwartej przestrzeni dawnego magazynu, w którym mieściła się nasza redakcja. Zawsze trudno było stwierdzić, czy moja szefowa Skye już była czy nie, ponieważ jako jedyna miała własny gabinet. Drzwi były zamknięte. Nigdzie nie widziałam ani jej, ani też jej zastępczyni - Pepper. Uznałam, że teren jest bezpieczny.

-Nie, jeszcze nie przyszła - potwierdziła Morticia, więc odetchnęłam z ulgą. Skye DeVille była redaktor naczelną pisma „Pandora” i, delikatnie mówiąc, osobą o niełatwym charakterze. Widocznie uważała się za owoc miłości Anny Wintour i Meduzy.

Postawiłam skórzaną torbę na podłodze, zdjęłam piękny płaszcz Celi i przysiadłam na szerokim blacie biurka Morticii. Ona sama usiadła za biurkiem, włączyła komputer i zrzuciła z ramion czarny płaszcz. Przygryzając równie czarny paznokieć, skrzywiła się.

-Wyglądasz na zmęczoną. Nic ci nie jest?

Jej słowa były niewinne i szczerze. Nie mogłam czuć się urażona. A jednak było coś dziwnego w tym, że tak często przychodziłam do pracy zmęczona i nie mogłam nikomu opowiedzieć, dlaczego się nie wyspałam. Może wszyscy zakładali, że prowadzę intensywne życie nocne? W każdym razie raczej nie mogłam się przyznać do tego, że do późnej nocy rozmawiałam z przystojnym

zmarłym przyjacielem. Albo że musiałam wstać wcześniej, żeby zamówić coś w miejscowym „zieleniaku”.

Moje życie jest takie dziwne.

-Nic mi nie jest. Czasami chodzę za późno spać.

- Zawsze coś czytasz - skomentowała.

To była prawda. Chociaż mój ogromny apetyt na książki ostatnio nieco osłabł za sprawą innych szczególnych i naglących zajęć w Spektorze.

- Już dawno chciałam cię zapytać, co się stało z tym gościem, z którym się spotykałaś. Tym od róż. Nadal się widujecie? - spytała Morticia.

Facet od róż. Pewnego dnia przyszedłam do pracy i zobaczyłam na moim biurku imponujący bukiet róż. Zrobił na Morticii niesamowite wrażenie, na mnie zresztą też. Pamiętam dziwne uczucie, jakiego doznałam, gdy spotkałam tego faceta po raz pierwszy w windzie, jadąc do pracy. Wstrząsnęła wtedy mną wizja mojej dłoni przesuwanej się po jego nagim torsie. Wyobraziłam sobie siłę jego pocałunku, umięśnione ciało, chwilę napiętości, która nigdy się nie wydarzyła. A potem, tak po prostu, znów stałam obok niego w windzie, wciąż go nie znając. Poczułam zażenowanie, choć oczywiście on nie mógł wiedzieć, co czułam.

Często o nim myślałam. *Jay Rockwell* Mieliśmy mały zgrzyt w naszym związku jakiś miesiąc temu. Zgrzyt polegał na tym, że on mnie nie pamiętał. Mogło być gorzej. Wpadł w niezłe tarapaty (naturalnie, z mojej winy), bałam się, że zginął. Przez kilka kolejnych dni nie mogłam go odnaleźć. A gdy już się dowiedziałam, że nie zginął, okazało się, że cierpi na amnezję. Mieliśmy za sobą zaledwie dwie randki, lecz nie wyglądało na to, że je pamiętał. Było to raczej krępujące doświadczenie. Nie chciała-

bym przeżywać jeszcze raz takiej rozmowy telefonicznej. Już nie dostawałam od niego mejli. Nie przysyłał róż. Nic. W końcu miałam własną komórkę, lecz on nie pamiętał nawet, że chciał, bym podała mu swój numer.

Czułam, że znów będziemy razem. Ale cóż mogłam wiedzieć?

- Już się nie spotykamy - powiedziałam.

- Szkoda.

Wzruszyłam ramionami.

-A jak poszła wczorajsza sesja? - zapytała.

- Nigdy wcześniej nie uczestniczyłam w czymś takim. To było jak...

Pomyślałam o dniu, który spędziłam w atelier, obserwując, jak robią blond modelce makijaż, jak ją fotografują i jak ona ziewa z nudów między ujęciami. Upinali jej ubrania w talii, żeby lepiej na niej leżały, i poprawiali niedoskonałości w Photoshopie, zanim jeszcze opuściła studio. Nie byłam pewna, jak opisać to doświadczenie.

- Nie tak to wygląda na zdjęciach, prawda? - dokończyła Morticia.

-Dokładnie. Stało się za to coś dziwnego, w studiu zniecka pojawił się pająk i wszyscy zaczęli panikować.

- Naprawdę? - Uniosła cienkie brwi.

-Zdjęcia się już właściwie kończyły, więc nie miało to wielkiego znaczenia. Ale było bardzo dziwne. To był duży pająk. Myślę, że nie był tutejszy.

- Mój brat miał kiedyś pająka - zamyśliła się. - Tak naprawdę one wcale nie są takie straszne.

-Myślę, że ten wczorajszy to tarantula. Zamierzam znaleźć jakiś sklep zoologiczny, żeby ją oddać, bo nie mogę jej zatrzymać. - Planowałam wykorzystać służbowy komputer i zrobić listę sklepów zoologicznych

w Soho. Pająk na pewno uciekł z jednego z nich. Ktoś musi szukać tego dużego faceta - a może damy? Z pewnością na Manhattanie nie było aż tylu tarantul?

- Masz pająka? - zapytała zszokowana Morticia. -Nie przy sobie. Wyobraź sobie, co by powiedziała Skye!

Rzeczywiście, to byłoby dość zabawne położyć tarantulę na jej biurku i zobaczyć wyraz jej twarzy. Ale nie, nie mogłabym tego zrobić.

- Trzymam go w domu - wyjaśniłam. - Chcieli go zabić. Morticia potrząsnęła głową.

-Rany. Więc ocaliłaś mu życie? - Położyła stopy na biurku. Robiła to, gdy naszej szefowej nie było w pobliżu. Na co dzień nosiła martensy i pasiaste legginsy, dziś również. Podobało mi się, że ubiera się po swojemu, choć pracuje w recepcji czasopisma zajmującego się modą. Co prawda, nie był to „Vogue”, ale...

Usłyszałam, jak ktoś otwiera drzwi, i Morticia zerknęła ponad moim ramieniem.

-O, przyszła Pepper - wyszeptała i błyskawicznie zdjęła nogi z blatu biurka.

Wstałam.

Weszła zastępczyni redaktor naczelnej. Wyglądała poważnie, była modnie ubrana i chuda niczym chart wyścigowy. Rozjaśnione blond włosy miała związane w krótki kucyk. Jej starannie postrzępione dzinsy, idealnie dopasowana jedwabna bluzka i futro były prawdopodobnie warte więcej niż wszystkie moje ubrania. Skinęłam głową na powitanie i wróciłam do swojego biurka w głębi sali, naprzeciwko drzwi prowadzących do gabinetu Skye. Usłyszałam, że Morticia wita się z nią uprzejmie, jak zwykle bez odzewu ze strony Pepper.

Morticia i ja byłyśmy obywatelami drugiej kategorii w redakcji „Pandory” - tego nauczyłam się szybko. Jednak po wydarzeniach poprzedniego miesiąca uważałam za ironię losu to, że Pepper i Skye traktują mnie jak zwykłego wyrobnika. No cóż, nieważne...

Położyłam torbę na biurku, powiesiłam płaszcz na oparciu krzesła i usiadłam. Nie zastanawiając się, otworzyłam górną szufladę biurka i spojrzałam na małą, częściowo podartą fotografię, która tam leżała - znalazłam ją, gdy dostałam tę posadę i opróżniałam biurko. Było to zdjęcie młodej kobiety o jasnych, falujących, długich do ramion włosach. Stała obok starszej kobiety. Miały podobne fryzury, ten sam uśmiech, takie same duże niebieskie oczy i okrągłe twarze. To była moja poprzedniczka. Miała dwadzieścia lat, gdy zginęła, a ja wiedziałam, że nigdy nie wróci - w każdym razie nie do redakcji „Pandory”. Wiedziałam, gdzie się znajdowała i co się z nią stało. Ale nie mogłam tego nikomu powiedzieć. Nawet kobiecie ze zdjęcia - jej matce.

Tajemnice. Tak wiele tajemnic.

Na biurku Morticii zadzwonił telefon, odebrała go, a jej głos brzmiał jak zwykle radośnie. Po chwili także na moim biurku zadzwonił telefon i wyrwał mnie z zamyślenia.

- Biuro Skye DeVile, w czym mogę pomóc?

- Mówi Mark Winston.

Fotograf. Przypomniałam sobie jego dziecinny krzyk na widok pajaka i wykrzywiłam usta w małym uśmieszku.

- W czym mogę pomóc, panie Winston?

- Zostałem Skye?

- Niestety, nie ma jej - odparłam, spoglądając na duży, okrągły zegar na ścianie. Była 9.40.

- Po południu będę miał stykówki - powiedział.

- Przekażę pani DeVile.

-I powiedz jej, że próbki Chow nie dotarły, więc zrobiliśmy tylko zdjęcia Helmsworth, Smith & Co, Arachne i Wiktora Mala.

I tyle. Rozłączył się.

Sporządziłam notatkę z rozmowy, starając się zignorować jego opryskliwość.

Dwie godziny później podniosłam głowę znad biurka i zobaczyłam Skye przechodzącą przez biuro. Poświęciłam karygodnie dużo czasu na surfowanie po Internecie w poszukiwaniu najbliższych sklepów zoologicznych i znalazłam odpowiedź na pytanie o pochodzenie mojego pająka. Prawdopodobnie był to sklep z egzotycznymi zwierzętami, który znajdował się dwa piętra niżej niż atelier, w którym odbywała się sesja zdjęciowa. Zamierzałam sprawdzić to w porze lunchu.

- Dzień dobry, Skye - powiedziałam, gdy mijała moje biurko ubrana w długi brązowy płaszcz z frędzlami, kozaki na obcasie i jedwabną apaszkę zawiązaną wokół szyi. Skye była niską, ciemnowłosą zadbaną kobietą, starszą ode mnie o około dziesięć lat. Jej fryzura była nienaganna, żaden kosmyk czarnych włosów nie ośmielał się ułożyć w innym kierunku, a wszystko, co wkładała na siebie, nieważne w jakim stylu, wyglądało na niej jak elegancka zbroja. Ciekawa byłam, czy potrafiłaby odbijać promienie laserowe.

Z ignorowaniem mnie z pewnością nie miała problemów. Moje uprzejme powitanie pozostało bez odpowiedzi. Wróciła chwilę później z wyciągniętą ręką, a ja

szybko wręczyłam jej kartkę z notatkami. Następnie wróciła do swojego gabinetu, bez słowa zamykając za sobą drzwi.

Tak, praca dla niej to czysta przyjemność - pomyślałam.

Usiadłam i powróciłam do przedzierania się przez skrzynkę odbiorczą, segregując jej korespondencję od ambitnych przyszłych projektantów i drugorzędnych re-klamodawców. Zajęło mi trochę czasu, nim nauczyłam się odróżniać jednych od drugich. Początkowo nie miałam pojęcia, kto jest kim w nowojorskim świecie mody, ale zaczynałam się już orientować.

Nagle otworzyły się drzwi, a ja odwróciłam się na krześle.

-Słuchaj no! Gdzie są próbki Chanel? - wrzasnęła Skye.

Otworzyłam szeroko oczy, a serce podskoczyło mi w piersi.

- Próbki czego? - zapytałam zaskoczona.

- Próbki tatuaży Chanel, które wczoraj leżały na moim biurku. Gdzie one są?

- Tatuaży? Chanel robi tatuaże? - Byłam zdumiona. Rzuciła mi miażdżące spojrzenie.

- Pepper! - krzyknęła, a całe biuro nadstawilo uszu. Skye zazwyczaj nie zdarzały się takie wybuchy złości. O ile nie zbliżał się termin zamknięcia numeru.

Wiotka zastępczyni naczelnej podeszła natychmiast, także miażdżąc mnie wzrokiem.

- Zginęły tatuaże Chanel. Wzięłaś je? - zapytała Skye. Pepper zaprzeczyła.

Stałam, czując się mała obok nich, dosłownie i w przenośni.

-A nie zabrano ich na zdjęcia? - zasugerowałam.

- Nie bądź głupia - warknęła Skye. - Były z zeszłego sezonu. Nie używamy ich w tym numerze.

Och, były modne w sezonie neogotyckiego wampirycznego stylu? *Pewnie bytom zbyt zajęta prawdziwymi wampirami, by to zauważyć.* Nie wyglądało na to, żeby któraś z tych dwóch aroganckich kobiet wiedziała cokolwiek o wampirach albo pamiętała, co im się przydarzyło w nocy po pokazie mody, na którym były. Wydawało się, że ich wspomnienia o tym wydarzeniu zostały wymazane. Tak jak wspomnienia Jaya. Szybko to zrozumiałam. Jakakolwiek próba przypomnienia im, że w pewnym sensie uratowałam im życie, była z góry skazana na niepowodzenie. Tak więc byłam po prostu Pandora English, podrzędną asystentką. A jednak, ośmieliłam się zadać pytanie:

-Skoro nie używamy ich w tym numerze, to dlaczego...? - zaczęłam. Obie kobiety odwróciły się, by na mnie spojrzeć, i reszta pytania utknęła mi w gardle. -Dlaczego to takie ważne? - dokończyłam słabym, ledwo słyszalnym głosem.

- Nie wyjdiesz dziś na lunch. Przeszukasz całe biuro - zarządziła Skye.

-Ale... - zaprotestowałam.

Nim zamknęłam usta, obie kobiety weszły do gabinetu Skye i zatrzasnęły drzwi.

Pod koniec dnia siedziałam przygnębiona na krawędzi szerokiego biurka w recepcji. W brzuchu mi burczało. Bolało mnie serce. To był długi, wyjątkowo nieprzyjemny dzień, a brak przerwy sprawił, że jeszcze trudniej było go przetrwać. Cieszyłam się, że to już koniec.

Morticia zawiązała swoje martensy, zebrała rzeczy i wyszłyśmy razem bez słowa.

- Co za dzień - powiedziałam, gdy zeszłyśmy na dół. Ogarnęło nas chłodne zimowe powietrze i poczułam, jak spływa ze mnie napięcie.

- Widziałam. O co chodziło Skye? O jakieś tatuaże? - zapytała Morticia. - Nie wiedziałam, że masz tatuaż.

Roześmiałam się, chowając dłonie głęboko w kieszeniach. Mój oddech stawał się białą mgiełką odpływającą w dal zimnej ulicy.

- Nie mam tatuaży. Mówiła, że coś zginęło z jej gabinetu, jakieś tatuaże Chanel. Chciała, żebym ich poszukała.

Nie znalazłam ich. Co zresztą wypominała mi nieustannie do końca dnia.

Na twarzy Morticii pojawił się błysk zrozumienia.

- Zmywalne tatuaże Chanel? Ma nowe? Czad! Potrząsnęłam głową i zatrzymałam się na moment.

- Słuchaj no, pogubiłam się. Masz na myśli Chanel, tak? Chanel od pereł, garsonek i takich tam? Coco Chanel, Chanel?

Celia wygłosiła do mnie coś w rodzaju wykładu na temat słynnej francuskiej projektantki Coco Chanel i jej wpływu na świat mody - jej pionierskiego podejścia do damskich strojów, wzorowania ich na modzie męskiej, połączenia spodni od garnituru i sznurów wytwornych pereł w czasach, gdy kobiety wciąż krępowały się gorsetami i niewygodnymi rozłożystymi sukniami. Celia nawet pożyczała mi, od czasu do czasu, niektóre swoje stroje od Chanel; na przykład ten uroczy zakieciak, dzięki któremu najprawdopodobniej dostałam pracę w „Pandorze”. Sama nie mogłabym sobie pozwolić na coś takiego, nawet w secondhandzie. Nie trzeba do-

dawać, że trudno mi było pogodzić ten wizerunek Coco Chanel z tatuażami.

-Taak - odparła Morticia. - Są niesamowite. Nie widziałas ich? Naprawdę wymiatają, chociaż nie są trwałe. Po prostu cudo.

Po raz kolejny przypomniano mi, że żadna ze mnie faszjonistka.

-A ja mam nowy tatuaż - powiedziała Morticia. -Prawdziwy.

- Och, mogę zobaczyć?

Zatrzymałyśmy się na chodniku, ignorując płynącą wokół nas falę pieszych, i Morticia odsunęła na bok swoje rude włosy.

- Jest z tyłu, na szyi. Mam go dopiero od tygodnia. Pociągnęłam nieco w dół jej kołnierz i zobaczyłam

dużą karykaturę czaszki. Skóra wokół była jeszcze trochę zaczerwieniona.

- Ha, podoba mi się - powiedziałam. - Pasuje do ciebie.

Rozstałyśmy się na stacji metra, jak zawsze. Zaczęłam się zastanawiać, zresztą nie po raz pierwszy, czy kiedykolwiek będę mogła przedstawić moją koleżankę Celi. Albo Spektorowi.

Czułam, że Spektor wolał nie ujawniać swoich sekretów.

Rozdział 4

Można czuć się samotnym w morzu ludzi.

Ta myśl naszła mnie, gdy wychodziłam po schodach na Sto Trzecią Ulicę, opuszczając duszną stację metra, by odetchnąć rześkim powietrzem zimowego wieczoru. Mijali mnie okutani po czubki nosów mieszkańcy hiszpańskiej części Harlemu, jakiś mężczyzna potracił mnie mocno ramieniem i oddalił się, nie zwróciwszy na mnie uwagi. Ulice zapchane były prywatnymi samochodami i taksówkami przemieszczającymi się wolno w korkach i trąbiącymi. Zauważyłam nawet czarny samochód podobny do tego, którym jeździł Wład, lecz nie widziałam twarzy kierowcy. Po spokojnym życiu w Gretchenville, gdzie dorastałam, charyzmatyczny chaos panujący na Manhattanie wciąż mnie porażał. Nowojorczycy żyli w ciągłym pośpiechu, żeby gdzieś zdążyć, kogoś spotkać, coś zrobić. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek zatrzymali się, by powąchać różę. W końcu ten kwiat był symbolem ich stanu.

W ciągu tygodnia jeździłam metrem prawie codziennie rano i wieczorem i wciąż mnie dziwiło, jak ograniczony był kontakt między ludźmi podczas tych podróży, mimo tłumów pasażerów. Ludzie unikali kontaktu wzrokowego i nawet grajkowie uliczni czy żebracy, którzy czasem wsiadali do metra, by śpiewać bądź recytować poezję, albo po prostu poprosić o pieniądze, często mieli trudności z uzyskaniem czegoś więcej niż przelotne spojrzenie. Naturalnie, czasami

Wład przyjeżdżał, by zabrać mnie do domu - zwykle bez uprzedzenia -lecz nie chciałam, by weszło mi to w nawyk. Być może winne tu było moje małomiasteczkowe wychowanie, ale myśl, że posągowy szofer Celi miałby mnie wszędzie wozić, wydawała mi się nieodpowiednia, niezależnie od jej osobliwego stwierdzenia, iż „musi mieć jakieś zajęcie”. Nowy Jork może i był wielkim obcym miastem, lecz po tak długim okresie stłamszenia w moim małym miasteczku, czułam potrzebę niezależności.

W Spektorze nie było stacji metra, więc wysiadałam na przedmieściach, a ostatni odcinek pokonywałam pieszo przez Central Park. Jeśli nawet moja cioteczna babka uważała ten zwyczaj za przejaw upor, to nie skomentowała tego.

Owinęłam się ciasno kaszmirowym płaszczem Celi i ruszyłam samotnie do domu. Po mojej pierwszej randce na Manhattanie przystojny nowojorczyk Jay Rockwell - *ten od róż* - odwiózł mnie do domu i powiedział: „Mam nadzieję, że nie chodzisz sama przez Central Park w nocy”. Zabrzmiało to wówczas protekcjonalnie, jakbym według niego była nieświadoma zagrożeń, które mogą się tu na mnie czaić. A jednak zwykle wieczorem po pracy szłam samotnie przez ten park.

Rzecz polega na tym, że po wydarzeniach ostatnich dwóch miesięcy złoczyńcy w ludzkiej skórze już mnie nie przerażali.

Na szczęście nie zaczepił mnie żaden bandyta w kominiarce, a nagrodą za ten spacer był widok złotoczerwonych promieni zachodzącego słońca, zanim niebo za-

kryła ciemność. Gdy pogrążyłam się we mgle w tunelu prowadzącym do Spektora, wyciągnęłam z torby woreczek z ryżem. Ostrożności nigdy za wiele.

Pół godziny później otworzyłam ciężkie drzwi domu Celi. Oprócz swojej torby niosłam zakupy od Harolda, w tym pudło z terrarium, które dla mnie zdobył. Och, racja... i jeszcze pudełko z żywymi świerszczami, żeby nakarmić pająka, zanim padnie z głodu. Pudełko żywych świerszczy. Nie pomyślałam o tym wcześniej. Nie będzie to miłe.

Weszłam do holu, z trudem balansując paczkami. Drzwi zamknęły się za mną, wzbijając niewielką smugę kurzu. Kiedy ruszyłam w kierunku windy, zobaczyłam, że nie jestem sama.

-1 kogo my tu mamy?

O, *nie*.

To była moja nemezis Atanazja i jej asysta w postaci trzech supermodelek - moje „współlokatorki”. Atanazja była niepokojąco piękną istotą, od kasztanowych włosów po stopy w modnych szpilkach, i miała niezwykle dar oczarowywania ludzi od pierwszego wejrzenia. (Widziałam, jak niemal zahipnotyzowała salę pełną cynicznych typów ze świata mody. Niesamowity wyczyn). Jej atrybuty zewnętrzne były niewątpliwie bardzo pomocne. Miała smukłą sylwetkę z wąską talią, ciemne, szeroko rozstawione kocie oczy i pełne usta, których mogła jej pozazdrościć nawet Angelina Jolie. Trzy przyjaciółki Atanazji były również wyjątkowo atrakcyjne, jak zresztą przystało na modelki, lecz ich uroda nie mogła prze-

wyższyć piękna ich przywódczyni. Jedna z kobiet była blondynką, druga brunetką, a trzecia była rudowłosa. Wszystkie były wysokie, blade i każda na swój sposób zachwycała. Stanowiły jakby zabójczą wersję Spice Girls, tylko że każda z nich była Scary *. Widziałam je razem na wybiegu. Miały swoje pięć minut, gdy królował styl wampiryczny. Nowojorski świat mody nie miał o tym pojęcia, lecz za pięknymi wargami modelek skrywały się prawdziwe wampiry kły niczym u dzikich kotów. Były sangwinikami.

Nie wampirami, a sangwinikami. Powiedziano mi, że określenie „wampir” jest nacechowane negatywnie i nigdy, przenigdy nie powinnam wypowiadać go w obecności nieumarłego, jeżeli nie chciałam, by mnie ugryzł. (Nosferatu było jeszcze gorsze. Oznaczało „szerzącego zarazę”. Jak mawiała Celia, Bram Stoker powinien się gęsto tłumaczyć). Sangwinik, tak brzmiała właściwa nazwa, pochodząca od łacińskiego *sanguineus* - „krwisty”. O tym wszystkim dowiedziałam się całkiem niedawno.

Oprócz typowej dla nich krwiożerczości, cztery modelki cechowało również upodobanie do drogich, opinających figurę ubrań od projektantów oraz, jak się wydawało, skóry. Dziś Atanazja miała na sobie obcisłe skórzane spodnie. Gdy przyjechałam do Nowego Jorku, nasza znajomość zaczęła się źle. Atanazja pracowała wtedy dla producentki kosmetyków, Elżbiety Batory. Te skórzane spodnie nosiła tego dnia, gdy znalazłam ją uczeponą sufitu holu, z głową wykręconą do tyłu, żądną mojej krwi.

*** Gra słów: *scary* (mg.) - przerażający, straszny. Także przydomek jednej z członkiń zespołu Spice Girls, Melanie Brown (przyp. tłum.).**

Przebiłam ją żelaznym prętem. Przeżyła.

Od tego czasu nasze relacje były mocno napięte.

-Małomiasteczkowa prostytutka - dodała Atanazja, odpowiadając tym pogardliwym określeniem na swoje własne pytanie.

Przeszłam przez hol, niemal ocierając się o te cztery upiornie piękne kobiety. Zamierzałam szybko uciec windą. Wiedziałam doskonale, że mnie nienawidzą z odwieczną pasją nieumarłych i przy pierwszej okazji wyssałyby moją krew do ostatniej kropli. Jedno je tylko powstrzymywało -mieszkały pod dachem Celi i musiały się zachowywać odpowiednio. Środkowe piętra tej podupadającej rezydencji dawały schronienie sangwinikom, stąd zasłonięte okna. W każdym razie, tak zostało mi to opisane. Celia zawarła taką właśnie umowę tu, w Spektorze - nie wiadomo dlaczego - i obowiązywała ona od dłuższego czasu. Sangwinicy mogli przychodzić i odchodzić, mieszkać na środkowych piętrach, jeśli mieli na to ochotę, ale nie mogli wejść do apartamentu. Celia, właścicielka budynku, mogła unieważnić to zaproszenie w każdej chwili. Zapewniła mnie, że rozmawiała ze swoim przyjacielem Deusem, który był bardzo potężnym sangwinikiem i który rozkazał tym demonicznym kobietom trzymać się z dala ode mnie. Byłam pod ochroną Celi i nie mogły mnie skrzywdzić. Ta zasada została wyraźnie podkreślona.

A jednak było coś niepokojącego w tym rozejmie.

Gdy przechodziłam, bombardowana wściekłymi spojrzeniami czterech modelek, powtarzałam sobie, że jestem bezpieczna. *Me optaca im się ciebie krzywdzić. Nie chcą wylądować na bruku. Wszystko będzie dobrze...*

-Ładna sukienka. Na czasie - wysyczała ruda, gdy

mijałam ją z opuszczoną głową. Najwyraźniej nie ceniła stylu vintage. Blondynka szła tuż za mną i wachała moje włosy.

- Och, czuję dziewicę! - krzyknęła. - Mniam.

To *nie twój cholerny interes* - chciałam odpowiedzieć, ale ugryzłam się w język. Nie było sensu prowokować piskląt. Powściągliwość nie była ich mocną stroną. Jasne, Celia mogła wyrzucić je na ulicę, ale niewiele bym zyskała, jeśliby wcześniej mnie rozszarpały. Nie, musiałam tylko przejść przez hol, wsiąść do windy i nic mi się nie stanie. Pospieszyłam do windy, co utrudniały mi liczne paczki, i odkryłam, że łokciem nie zdołam nacisnąć guzika przywołującego windę. Serce biło mi szybko, gdy odstawiłam terrarium na podłogę i drżącą ręką nacisnęłam guzik. Na szczęście winda była na poziomie holu. Drzwi się otworzyły, a ja szybko pozbierałam swoje rzeczy i weszłam do środka, zaciskając szczęki i oddychając szybko.

- Och, słuchajcie. Jej serce bije tak szybko. Mniam, mała kaszaneczka... - powiedziała brunetka.

Kaszanka. Kiełbasa z krwi.

Poczułam, że tracę panowanie nad sobą.

- Styl wampiryczny jest niemodny w tym sezonie - wyrzuciłam z siebie. - Jakże mi was żal - dodałam i nacisnęłam guzik wskazujący piętro, na którym znajdował się apartament.

Drzwi windy zablokowała wyciągnięta ręka i natychmiast pożałowałam swojej dowcipnej uwagi. Dłoń z długimi krwistoczerwonymi paznokciami zacisnęła się mocno na żelaznych prętach drzwi, nadgarstek zdobiły bransoletki wyglądające tak, jakby je namalowano.

- Dorwę cię, pamiętaj - wysyczała Atanazja. - Przegryzę ci gardło! - krzyknęła, na wypadek gdybym nie

zrozumiała, i pokazała kiel - całkiem spory. Sytuacja wymykała się spod kontroli.

-Na razie musi ci wystarczyć ryż - wybuchnęłam i rzuciłam pełną garść białych ziaren za drzwi windy. Ziarenka uderzyły o płytki podłogi, odbiły się i rozsypały dookoła. Atanazja cofnęła rękę i drzwi zamknęły się.

- Och! - powiedziała brunetka, pochyliła się i zaczęła liczyć.

Wkrótce wszystkie cztery były na kolanach.

-Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...

Patrzyłam na ten żaloszny spektakl przez kraty jadącej w górę windy.

Nieumarli cierpią na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne.

W dawnych czasach zwykło się rozrzucać ziarna na podwórzach oraz w rowach wokół cmentarzy, aby spowolnić nieumarłych wychodzących z grobów na żer wśród żywych. Według niektórych błędnych przesądów, wampiry liczyły z prędkością jednego ziarna na rok, lecz to, niestety, nie była prawda. Liczyły szybko, ale przynajmniej liczyły. Najwyraźniej musiały. Mieszkańcy Europy Wschodniej preferowali nasiona marchwi, lecz moja ciotka wierzyła w skuteczność ryżu. Ziarenka ryżu są małe i wygodne do noszenia oraz łatwe do zdobycia. Opowiadała mi, że niektórzy mądrzy ludzie w Nowym Jorku wciąż rozsypywali ziarna przed swoimi domami, na wszelki wypadek. W Halloween kładli na schodach domów pestki dyni, by odróżnić nieumarłych ukrywających się wśród przebierańców. Ostrożności nigdy za wiele.

Pod ciemnoniebieskie drzwi Celi dotarłam zziębnięta i trochę roztrzęsiona spotkaniem z Atanazją i jej bandą.

Nie była to bynajmniej pierwsza utarczka z tą czwórką, lecz z każdą kolejną nasz niełatwy rozejm stawał się coraz trudniejszy. Zapukałam i weszłam.

- Celio, już jestem.

Z ulgą zdjęłam buty i pozbyłam się terrarium, torby i zakupów. Zobaczyłam oparte na skórzanym podnóżku stopy Celi. Tuż obok leżała Freja, która, by mnie powitać, zeskoczyła i podeszła do mnie z uniesionym ogonem.

- Cześć Freja, jak się masz? - powiedziałam i pochyliłam się, by pogłaskać jej jedwabistą sierść.

- Miau - odezwała się zadowolona.

-A jak ty się masz, Pandoro? - zapytała moja cioteczna babka, odwracając się do mnie.

- Och, dziękuję dobrze. Tylko... - zawahałam się.

- Na Boga, znów miałaś kłopoty z Atanazją i jej przyjaciółkami? - Włożyła zakładkę i zamknęła książkę.

- Nic się nie stało - powiedziałam cicho i zatrzymałam się na chwilę w drzwiach. Serce wciąż waliło mi w piersi po tej konfrontacji - dokładnie tak, jak powiedziała brunetka. Przerażające było to, że potrafiły wyczuć bicie mojego serca nawet z odległości kilku metrów. Co za straszna umiejętność. A z powodu jakiejś starej umowy, której nie rozumiałam, Celia pozwalała tym upiornym istotom mieszkać w swojej rezydencji. Był tu jeszcze jeden sangwinik, o którym wiedziałam. *Samanta*. Kobieta z fotografii w szufladzie mojego biurka. Pracowała w redakcji „Pandory”, zanim Atanazja ją przemieniła, i za sprawą niezwykłego zbiegu okoliczności dostałam jej posadę. Ale Samanta była inna niż pozostali. Było mi jej żal, ponieważ wiedziałam, że jest ofiarą. To nie jej wina, że stała się potworem. Może właśnie dlatego nie

mogłam wyrzucić pogniecionej fotografii przedstawiającej ją i jej matkę. Przypominała mi, że kiedyś była człowiekiem.

Przypominała mi też, jak niebezpieczni są sangwinicy. Samanta i ja pozostawałyśmy w przyjaznych stosunkach, chociaż ostatnio rzadko ją widywałam. I nawet ona próbowała kiedyś mnie zjeść. Był to dość nieprzyjemny zwyczaj sangwiników. Nie można było im ufać. Jednak moja cioteczna babka pozwalała im tu przebywać, a nawet miała przyjaciela, który był sangwinikiem, bardzo potężnego. Jak mogła to wytrzymać? Jak mogła znieść te istoty? Wytrzymała i znosiła. Tego wieczoru była ubrana w zapierającą dech suknię w kolorach czarnym i ciemnoczerwonym, jej nogi okrywały czarne jedwabne pończochy, a twarz przesłaniała jak zwykle woalka. Wsunęła stopy w puszyste pantofle domowe i z gracją podeszła do mnie, stukając obcasami po drewnianej podłodze.

-Chodź - powiedziała i objęła mnie. Jej uścisk był chłodny, lecz serdeczny. - Będę musiała porozmawiać z Deusem, jeśli w jakikolwiek sposób cię skrzywdziły.

Deus. Tylko nie Deus.

- Nic mi nie jest - zapewniłam ją. - Nic się nie stało.

- Znów musiałaś użyć ryżu?

Skinęłam głową. Poczułam, że się czerwienię.

- O rany - odparła Celia i oparła dłonie na biodrach. Przechyliła głowę na bok. - Może jednak powinnam z nim porozmawiać.

- Nie! - poprosiłam. - Naprawdę, to nie jest konieczne. Deus był wpływowym sangwinikiem, przyjacielem Celi. Nie poznałam go, ale bałam się okropnie. Oczywiście, Celia przedstawiała go jako kogoś kulturalnego i wiedziałam, że byli ze sobą blisko.

Do licha, ze strzępków informacji, jakie mi przekazała, wywnioskowałam, że to jemu zawdzięczała nienaturalnie młody wygląd. Widziałam, jak bardzo jest mu za to wdzięczna. Lecz moje kontakty z istotami o wampirzych kłach były o wiele mniej przyjemne, więc myśl o bardzo potężnym sangwiniku była podwójnie przerażająca. Nie był pisklęciem, ryż na niego nie działał.

-Rozumiem - powiedziała Celia i westchnęła. Zastanowiła się przez chwilę. - Cóż, zobaczmy, co my tu mamy. - Wskazała na pudło z terrarium.

Ucieszyłam się, że mogę zmienić temat.

Otworzyłyśmy pudło i wyjęłyśmy śliczny, lekki kontener. To z pewnością nie było typowe terrarium. Przypomniało miniaturowy zameczek z małutkimi wieżyczkami i łukowato zakończonymi zamykanymi drzwiczkami. Dach był zamykany na małą kłódkę. Całość zrobiono z przezroczystego tworzywa przypominającego szkło i sprawiającego wrażenie zamku z lodu. Freja obwąchała terrarium nieufnie.

- Jest piękne! Jak myślisz, skąd je ściągnął?

- Harold ma swoje sposoby. Potrafi zdobyć wszystko -odparła Celia.

Słyszałam to już od niego, ale takie królewskie terrarium?

- Z czego ono może być zrobione? Ze szkła? Albo jakiegoś rodzaju plastiku? Myślisz, że jest przeznaczone specjalnie dla pajaków, czy dla innych stworzeń? - ciągnęłam podekscytowana.

Celia wzruszyła ramionami.

- To świetny dom dla twojego przyjaciela. *Rany.*

-Aż wstyd, że nie posłuży mu długo. - Zdjęłam folię ochronną i postawiłam zameczek na półce Celi. Wyglądał tam doskonale, choć z lekkim trudem mieścił się między półkami.

-Wygląda, jakby tu było jego miejsce - powiedziała Celia.

Śmieszne, ale tak właśnie było.

Wróciła na swoje miejsce i obserwowała, jak sprzątam opakowanie.

Mój wzrok przyciągnął słoik na półce. Tarantula obserwowała mnie w ciszy. Dziwne, jak intensywnie odbierałam spojrzenie jej oczu, jakby naprawdę zadawała sobie sprawę, na co patrzy. Jakby miała świadomość. *Dziwne* - pomyślałam znowu. *Dziwne...*

- Mówiłaś komuś o swoim zwierzątku?

-To nie jest moje zwierzątko - zaprotestowałam. - Naprawdę szkoda tego pięknego terrarium, bo chyba znalazłam sklep zoologiczny, z którego uciekł ten pajak. Pójdę tam jutro. Pewnie go szukają.

Celia uśmiechnęła się tajemniczo.

-To będzie ciekawe. Daj mi znać, jak ci poszło.

Postanowiłam przenieść tarantulę do nowego domu. Współpracowała zaskakująco chętnie - po prostu zsunęła się po ścianie słoika i weszła do terrarium, jakby było jej własnością. Nalałam wody do małej miseczki, wstawiłam ją do środka i zamknęłam drzwiczki. *Aha, jeszcze jedzenie* - przypomniałam sobie. Sięgnęłam po pudełko z żywymi świerszczami, które dostałam od Harolda. Celia przyglądała się, jak niezgrabnie chwyciłam jednego za tylne nogi. Wystraszyłam się, że zrobię mu krzywdę, i puściłam go. *Dziwne uczucie.*

Spróbowałam jeszcze raz, wił się i wyślizgiwał, ale zdołałam szybko wrzucić go do terrarium i ponownie zamknąć drzwiczki. Byłam pewna, że nie chcę tego powtórzyć.

Zasłoniłam oczy i spojrzałam przez palce.

Mijały sekundy. Minuty.

Spotkanie dwojga zwierząt okazało się dość rozczarowujące. Pająk po prostu siedział w swoim zamku, obserwując mnie.

Me patrz na mnie, patrz na świerszcza!

Chciałam mu pokazać, że ma jeść. Musiał przecież być głodny, prawda?

Byłam skołowana.

- Może to nie jest odpowiednie dla niego jedzenie. Myślałam, że pająki lubią świerszcze - powiedziałam. - Tak, wygląda na to, że lubi świerszcze - odparła Celia. Skrzywiłam się.

Rozdział 5

W środę rano szłam do pracy lekko zaniepokojona. Nie wiedziałam, w jakim nastroju będzie Skye, a naprawdę nie chciałam, żeby się powtórzyły wtorkowe nieprzyjemności. W ramach działań prewencyjnych przyniosłam sobie bajgla z serem, na wypadek gdyby Skye znów chciała mnie głodzić, żywiłam jednak nadzieję, że uda mi się wyjść w porze lunchu. Miałam plany.

Kiedy weszłam, Morticia siedziała z nogami na stole ze swoim krzywym uśmiechem na twarzy.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Cześć. Jest...?

- Tutaj? Nie. Jeszcze nie.

Rozluźniłam się odrobinę. Zdjęłam płaszcz Celi i przysiadłam na krawędzi biurka. Ostrożnie położyłam torbę na podłodze. Na razie w biurze było tylko kilka osób. Jak zwykle, nie zwracały na nas uwagi.

-Jak minęła ci noc? - zapytała Morticia.

Pomyślałam o Atanazji i o chwili, gdy wyszczerzyła na mnie swoje ogromne kły, gotowa zaatakować.

- Jak zwykle - odparłam. - A tobie?

- Jak zwykle - odpowiedziała z lekką melancholią. Po chwili jednak jej oczy się rozjaśniły. - Chcesz usłyszeć najnowszą plotkę? - zapytała podekscytowana.

-Jasne.

Zdjęła nogi z biurka i pochyliła się ku mnie.

- Słyszałaś o tej sprawie z Sandy Chow? Nazwisko brzmiało znajomo.

- O tej projektantce, tak? - Wciąż się uczyłam, kto jest kim.

- Właśnie. Wygląda na to, że zaginęła. Naprawdę. Mówią o tym we wszystkich wiadomościach. Widziałaś?

Celia i ja nie oglądałyśmy wiadomości. W rzeczywistości, z tego co wiedziałam, nie miała telewizora. I czy telewizor w ogóle by tu działał? W budynku ani Internet, ani sieć komórkowa nie miały zasięgu. Na wyświetlaczu mojej taniej komórki nie było ani jednej kreski.

Morticia odgarnęła z twarzy kilka niesfornych kosmyków.

- I wyobraź sobie, że pracownia Sandy została zdemolowana. Wszystkie próbki, wzory, wszystko zniszczono. Policja uważa, że to mogło być porwanie. A nawet morderstwo.

- Naprawdę?

- I jest jeszcze coś. Richard Helmsworth - na pewno o nim słyszałaś - no więc, jego pracownia została zamknięta, a on sam zniknął. Niektórzy sądzą, że może być... no wiesz, odpowiedzialny.

- Dlaczego tak sądzą? - zapytałam.

- Bo wszyscy wiedzieli, że ze sobą rywalizują. Na pewno o tym czytałaś. Nie czytałam.

- A teraz ona zaginęła, i on też - zakończyła Morticia, wstrząśnięta i podekscytowana zarazem.

- Przypominam sobie, że stylistka podczas sesji zdjęciowej wspominała, że nie dostała próbek Sandy Chow.

Zastanawiałam się, o co w tym wszystkim chodziło - powiedziałam.

-Tak. Dziwne, co? - Jej źrenice były rozszerzone z podniecenia. Najwyraźniej dramatyczne wydarzenia ją ekscytowały. - Miej oczy otwarte - dodała.

Przytaknęłam.

- W porządku. Lepiej wrócę do swojego biurka - powiedziałam.

Ostrożnie podniosłam torbę i poszłam w głąb biura.

Skye DeVille pojawiła się w pracy dwie godziny później. Jakaś część mnie miała nadzieję, że pojawi się po lunchu, żebym mogła wyjść. Ostatnio często się spóźniała. Niestety, o jedenastej trzydzieści przemknęła obok mnie w markowych dżinsach, krótkiej pikowanej kurtce i eleganckiej apaszcze zawiązanej starannie wokół szyi. Na nogach miała buty do jazdy konnej, wyglądała, jakby uczestniczyła w pokazie mody jeździeckiej.

- Dzień dobry, Skye - przywitałam ją.

Nie wygląda szczególnie dobrze, pomyślałam. Może walczyła z przeziębieniem.

-Nikt nie dzwonił - dodałam, a ona bez słowa zamknęła się w gabinecie.

Przez następne pół godziny nerwowo spoglądałam na zegar. Miałam pewne plany co do przerwy na lunch i zależało mi, żeby czas minął jak najszybciej. Martwiłam się, że może...

- Gdzie jest biżuteria!

Drzwi gabinetu Skye otworzyły się z hukiem, a ja odwróciłam się na krześle, przygotowując się na jej wybuch gniewu. Stała w drzwiach, zaciskając pięści, jej

pomalowane na różowo usta były teraz wąską linią, patrzyła na mnie swymi głęboko osadzonymi oczami. Szczerze mówiąc, wyglądała na trochę szaloną. Miałam nadzieję, że nie był to wstęp do nowego etapu pracy w redakcji - pracujesz przez dwa miesiące, a potem zaczyna się molestowanie.

- Gdzie jest biżuteria?

- Eee - to wszystko, co zdołałam z siebie wydusić. -Ja...?

- Biżuteria z sesji zdjęciowej. Biżuteria Chanel. Miała być zwrócona dzisiaj - wymawiała powoli każde słowo i każde ociekało jadem.

Nigdy nie widziałam jej w takim stanie i byłam w takim szoku, że nie potrafiłam skupić się na tym, co do mnie mówiła, i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Biżuteria z sesji? Może mają stylistka?

- Stylistka... może ona - zaczęłam nieskładnie.

- Była w moim biurku wczoraj! - ryknęła Skye w odpowiedzi. Zebrałam się w sobie.

-Masz na myśli zmywalne tatuaże, których szukałaś wczoraj? Nie udało mi się ich znaleźć - powiedziałam. -Przykro mi...

- Cudownie - odparła, jakby trochę się uspokajając. Ściszyła nawet głos. - A teraz zaginęła jeszcze biżuteria. - Zmrużyła oczy. - Otwórz szuflady biurka.

Zerwałam się na równe nogi. -Ależ Skye...

- Otwórz je!

Krew odpłynęła mi z twarzy. To kolejny etap upokarzania. Przez dwa miesiące pracy w „Pandorze” traktowała mnie nieuprzejmie - zazwyczaj mnie ignorowała

- a teraz oskarżała mnie o kradzież? Zszokowana i przerażona, milcząc, pochyliłam się i po kolei otwierałam wszystkie szuflady mojego biurka. Były w nich długopisy, spinacze i notatniki, a także pogniecione zdjęcie Samanty i jej matki, którego nie umiałam wyrzucić. Oczywiście, nie było tam biżuterii. Nie miałam nawet pojęcia, jaką biżuterię miała na myśli. Próbowałam przypomnieć sobie sesję i to, co modelka miała na sobie. Coś w jaskrawych kolorach? Najpierw Skye zginęły zmywalne tatuaże, a teraz biżuteria? O co tu chodzi?

- Teraz torba - zażądała Skye, gdy już pokazałam jej zawartość każdej szuflady.

- Moja torba?

Otaczał nas już tłumek ciekawskich. Pepper podeszła, marszcząc brwi. Oglądała to przedstawienie z niepokojem. Za jej plecami tłoczyli się inni pracownicy „Pandory”, z których żaden wcześniej nie raczył mi się przedstawić. To *robi wrażenie* - pomyślałam. *Pandora podejrzana o kradzież.*

Zauważyłam, że Morticia nie opuściła swojego biurka, lecz wyciągnęła szyję, by zobaczyć, co się dzieje. Uniosła dłoń do ust i zrobiła wielkie oczy. Patrzyła na mnie z troską. To nas łączyło.

Spojrzenia moje i Skye skrzyżowały się.

- Otwórz - powtórzyła rozkazująco. *Naprawdę nie chcę tego robić...*

Ostrożnie podniosłam torbę i postawiłam ją na biurku, na mojej twarzy malowało się głębokie upokorzenie. Otworzyłam ją.

- Widzisz - powiedziałam. - Nic tu nie ma.

Zrobiła krok do przodu i zaczęła przeszukiwać moją torbę, a potem, ku mojemu przerażeniu, podniosła ją

i odwróciła do góry nogami. Zaczęła nią potrząsać, wyrzucając zawartość. -Nie!

Jakimś cudem złapałam słoik z tarantulą, zanim rozbił się na biurku. W mgnieniu oka znalazł się w mojej dłoni i schowałam go za plecami. Nigdy w życiu nie byłam taka szybka. Nawet nie wiem, jak to zrobiłam.

Cofnęłam się o kilka kroków, a potem zdałam sobie sprawę, że Morticia ze swojego miejsca widzi, co trzymam za plecami. Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam, że wpatruje się w słoik. Jej oczy miały wielkość spodków. Znów podniosła rękę do ust. Nic nie powiedziała.

Nie byt to najlepszy dzień, by przynosić tarantulę do pracy.

Ku memu zdziwieniu, Skye nie zauważyła, co trzymam w rękach, albo nie obchodziło jej to. Zbyt była skupiona na poszukiwaniu biżuterii. Oczywiście, biżuterii w mojej torbie nie było. Może i jestem dziwna. Może nawet prowadzę podwójne życie, ale nie jestem złodziejką.

W końcu wkroczyła Pepper.

- Pandoro, chciałabym, żebyś coś załatwiła - powiedziała.

Sztywno skinęłam głową.

- Chcę, żebyś uzyskała wypowiedź Wiktora Mala do tekstu o dzianinach. Kilkaset znaków wystarczy. Kilka słów o kolekcji i ogólnie o dziewiarstwie. Dobrze?

Skinęłam ponownie.

- Dobrze.

- Nic więcej - dodała z naciskiem.

Wręczyła mi kartkę z adresem. Potem poprowadziła Skye do jej gabinetu, podczas gdy ja zbierałam swoje rzeczy.

-Wracajcie do pracy - zarządziła Pepper, zamykając drzwi gabinetu Skye, i współpracownicy się rozeszli. Zapadła pełna napięcia cisza.

Chwyciłam swój płaszcz i torbę i podeszłam do biurka Morticii. Wzięłam głęboki oddech.

- O rety - wyszeptała Morticia.

-Wiem - odpowiedziałam cicho, zakładając płaszcz.

- Dobrze się czujesz? Przytaknęłam.

- Pepper kazała mi załatwić coś na mieście, żeby pozbyć się mnie z biura.

- Dobrze - odparła. - A...

Jej wzrok padł na słoik w mojej dłoni. Wsunęłam go do torby. To nie był dobry moment na pokazywanie i opowiadanie. Musiałam wynieść tarantulę z redakcji. Biedactwo, na pewno się zestresowała tym potrząsaniem. Byłam głupia, chcąc ją uratować. Powinnam była pozwolić, żeby ktoś inny w studiu się tym zajął. Co by było, gdyby Skye ją znalazła, na oczach wszystkich?

-Wiem - odpowiedziałam. - Wiem.

Wyszłam.

Świeże powietrze było jak wybawienie. Zimno uderzyło obuchem w moje rozpalone policzki, a potem powoli chłodne zimowe powietrze i anonimowość mijającego mnie obojętnie tłumu sprawiły, że znów poczułam się człowiekiem. Nie znajdowałam się już w centrum uwagi i nie byłam obiektem potępienia. W tym tłumie byłam nikim i było mi z tym dobrze.

Zastanawiałam się nad swoją przyszłością w „Pandorze”. Czy mogę odejść? Czy powinnam? Znalezienie pracy w Nowym Jorku było trudne, to już wiedziałam. Cholera, w dzisiejszych czasach wszędzie było trudno o pracę - wszyscy tak mówili. Moje kwalifikacje nie były raczej imponujące. Miałam szczęście, starając się tu

o posadę za namową Celi - wielkie szczęście - i nie mogłam liczyć na takie szczęście ponownie. W liceum pracowałam w księgarni Bettiny i Bena, zanim ją zamknęli z powodu rosnącej popularności sprzedaży internetowej. (Ta księgarnia była błogosławieństwem dla mojego apetytu na książki). A potem zostałam asystentką Skye.

I to wszystko. Nie udało mi się dostać pracy w miejscowej gazecie, żaden z moich artykułów nie został opublikowany. A moje „specjalne” zdolności (jak uprzejmie określała je Celia) nie miały znaczenia w świecie biznesu. Kto chciałby zatrudnić dziwną dziewczynę ze skłonnością do nietypowych przeczuć na temat wydarzeń nadprzyrodzonych i umiejętnością rozmawiania z duchami?

Trzymałam w dłoni karteczkę od Pepper. Wiktor Mai. Miałam zdobyć kilka zdań do numeru. *Nic więcej* - powiedziała, jakbym potrzebowała przypomnienia, że gdy ostatnio skorzystałam ze swoich talentów reporterskich, wyszedł z tego sensacyjny materiał o przemyśle kosmetycznym, a Pepper przypisała sobie wszystkie zasługi. Nie musiała mi o tym przypominać.

Sięgnęłam do torby i wyciągnęłam z niej słoik z pajakiem. Znów na mnie patrzył. Wydawał się zaskakująco łagodny - martwiłam się, że jest bardzo głodny. Choć to miło ze strony Celi, że pozwoliła mi przechować go w swoim domu, potrzebował ludzi, którzy potrafiliby go nakarmić i zająć się nim lepiej niż ja. Musiał wrócić do siebie. A ja byłam przekonana, że wiem, skąd pochodzi.

- Dzień dobry - przywitałam się, podchodząc do lady sklepu zoologicznego „Egzotyczne Zwierzęta Soho”. Sklep był zaskakująco zaniedbany, pełen terrariów i akwariów. Unosił się w nim charakterystyczny zapach gadów. Za ladą klęczała kobieta, lecz słysząc mój głos, wstała.

- Witamy w „Egzotycznych Zwierzętach Soho”. W czym mogę pomóc? - zapytała. Miała grube okulary na nosie i jeszcze grubszy sweter robiony ścięciem warkoczowym. Chyba nie opuszcza sklepu zbyt często.

- Zastanawiałam się, czy nie zginęło wam coś? - powiedziałam z uśmiechem, choć wcale nie było mi do śmiechu. Wydobyłam z torby słoik i postawiłam go na ladzie. Tarantula w środku uniosła się odrobinę i ustawiła naprzeciw mnie. Znowu poczułam na sobie jej spojrzenie.

- Szuka pani jedzenia dla swojego zwierzątka? - zapytała sprzedawczyni. - Mamy świeższe oraz inne smaczne kąski...
Smaczne kąski?

- Och nie, to nie jest mój pajak. *Znalazłam* go niedaleko stąd i przypuszczam, że uciekł z waszego sklepu - wyjaśniłam. - Zagubiona tarantula w Nowym Jorku.

- Hm - westchnęła. - Proszę chwilę poczekać. - Odsunęła się od lady. - Jason! - zawołała. - Zginęła nam jakaś tarantula?

W sklepie było jeszcze dwóch innych klientów. Obaj, jak na komendę, odwrócili się, by popatrzeć. Skrzywiłam się.

Po kilku minutach pojawił się Jason. Jeśli okulary i swetry mogą świadczyć o pokrewieństwie, to tych dwoje było rodziną.

- Chce pani, żebyśmy ją od pani odkupili? Jest pani hodowcą?
- zapytał, drapiąc krótki szarawy zarost.

-Hodowcą? Nie. Nie. Pomyślałam, że wam zginęła. Znalazłam ją niedaleko stąd, w atelier fotograficznym. - Wskazałam na pobliskie studio. - Byłam pewna, że uciekła stąd.

- Nie uciekła stąd - odparł.

- Ale to jedyny sklep zoologiczny w okolicy.

- Nie zginęły nam żadne zwierzęta - powtórzył. *A niech to. Jak ja się w to wpakowałam?*

Nie mogłam upierać się, że pająk jest stąd, skoro twierdzili, że nie jest. Ale co miałam robić? Podniosłam słoik i spojrzałam na pająka. Wciąż na mnie patrzył.

-Nie mogę go zatrzymać - powiedziałam w końcu bezradnie. - Może wiecie, skąd mógł uciec? Jest tak łagodny, że musi być udomowiony.

- Nikt ostatnio nie szukał pająka. Postawiłam słoik z powrotem na ladzie.

-To tarantula, prawda? Przecież one nie występują w Nowym Jorku?

Kobieta pochyliła się i spojrzała na pająka.

-Tak, to tarantula. Ale nie jestem pewna, jaki gatunek. Nie chilijski różowy ani czerwonokolonowy - powiedziała, poprawiając okulary na nosie.

- Czerwononogi też nie, ani kędzierzawy - dodał Jason, przyłączając się do nas. - Znakowania są trochę nietypowe. Może jest ze Starego Świata?

- Cóż, to nie azjatycki *Cyriopagopus* ani *Haplopelma minax*. Spójrzcie na tę kolorystykę...

Przyglądałam się, jak badają pająka, podczas gdy ten badawczo patrzył na mnie. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że ten pająk obserwuje mnie swoimi ośmioma malutkimi oczami.

A potem poczułam coś jeszcze.

Znajome zimno z brzuchu. *Śmierć.*

Niebezpieczeństwo.

Zesztywniałam. Przeszły mnie ciarki. Odwróciłam się błyskawicznie, czując rosnącą panikę. *Coś tu nie gra.* Zbliżało się niebezpieczeństwo, nieznane niebezpieczeństwo. Wrażenie było tak silne, że poczułam potrzebę natychmiastowej ucieczki ze sklepu. Odsunęłam się od lady.

- Muszę już iść - powiedziałam szybko, podczas gdy dwoje sprzedawców wciąż debatowało, do jakiego gatunku tarantula nie należała.

- Zajmiecie się nią? - poprosiłam. Spojrzeli po sobie.

- Nie możemy jej po prostu odkupić od pani - zaczął Jason.

- Nie chcę pieniędzy - powiedziałam, chwytając torbę i kierując się do wyjścia. Oboje popatrzyli dziwnym wzrokiem.

-Tylko proszę, zajmijcie się nią. Nie chciała jeść.

Popchnęłam drzwi wyjściowe i wyszłam na ulicę. Czułam się, jak człowiek, który przechodzi atak klaustrofobii. Chłodne zimowe powietrze działało orzeźwiająco po dusznym zapachu sklepu, lecz niestety złe przeczucie nie minęło. Rozchyliłam kołnierz płaszcza Celi i ruszyłam ulicą w kierunku stacji metra.

Kiedy doszłam do schodów, odwróciłam się. Mijało mnie wielu pieszych, lecz jedna osoba się wyróżniała.

Ona.

Niezwykle wysoka kobieta szła w moim kierunku, dzieliły ją ode mnie jakieś trzy metry. Byłam przekonana, że idzie za mną od sklepu zoologicznego. Teraz, gdy się zatrzymałam, ona też przystanęła. Była ubrana

na czarno, miała ciemne włosy ostrzyżone na boba i duże ciemne okulary. Od razu przyciągnęła mój wzrok i mimo ciemnych okularów poczułam, że moje spojrzenie zostało odwzajemnione. Coś w tym było. *Coś.*

Nie czekałam, by się przekonać. Odwróciłam się i zbiegłam po schodach na stację.

Rozdział 6

Otworzyła się przede mną zielona przestrzeń parku przy placu Waszyngtona. Przez całą drogę na Czwartą Zachodnią byłam spięta, wstrząśnięta dziwnym zdarzeniem i wysoką kobietą o ciemnych włosach. Podskakiwałam, słysząc każdy głośniejszy dźwięk i każdy obcy głos. Po upokorzeniu, jakie przeżyłam w biurze, moja nadpobudliwa wyobraźnia wyrwała się spod kontroli. Musiałam odpocząć. Teraz, idąc przez park pod adres wskazany przez Pepper, rozkoszowałam się świeżym powietrzem i przebłyskami zimowego słońca, i cieszyłam się, że jestem na otwartej przestrzeni. Dzięki poleceniu Pepper mogłam na chwilę uciec od przygniatającego betonu tej miejskiej wyspy w towarzystwo drzew.

Park był azylem, choć przejmująco zimnym. Wiatr chłostał bezlistne drzewa i szarpał połacie trawy, przerzucając z miejsca na miejsce suche liście i stare gazety. W tygodniu po południu można było tu spotkać osoby uprawiające jogging, wyprowadzające psy i studentów z pobliskich uniwersytetów zwlekających z powrotem na zajęcia po lunchu. Pomimo zimna uśmiechałam się, wchodząc do parku północno-zachodnim wejściem i czując, jak wiatr rozwiewa moje długie włosy. Złe przeczucia ze sklepu zoologicznego zniknęły i zdałam sobie sprawę, że mimo mojej paniki, pajak był w końcu w dobrych rękach.

Nikt go nie zabił. Moja matka byłaby dumna.

Myśląc o mojej matce, przeszłam pod ciemnym, wyciągającym nagie gałęzie wiązem, jakieś trzydzieści metrów ode mnie, górującym nad innymi drzewami, i znów poczułam zimny ciężar w brzuchu.

Śmierć.

Ludzie umierali każdego dnia, każdy zakątek Ziemi był świadkiem naturalnego cyklu życia. Ale śmierci będące skutkiem niesprawiedliwości - morderstwa, egzekucje, cierpienie nie do opisania - wywierały trwałe piętno i często duchy zmarłych nie mogły opuścić miejsca, w którym przeżyły ostatnie, straszliwe chwile. Niektóre duchy krążyły bez końca, uwięzione w swoim cierpieniu. Niektóre zwracały się do mnie. Tym razem usłyszałam charczenie. Zamknęłam oczy i starałam się nie widzieć wyblakłych postaci około dwudziestu wychudzonych mężczyzn w łachmanach, wielu z nich bardzo młodych, usiłujących złapać oddech mimo lin zaciskających się wokół ich gardeł, dokładnie tak jak dwieście lat temu, gdy zostali skazani na śmierć przez powieszenie za przestępstwa, które tylko niektórzy z nich popełnili.

Wiąz Wisielców.

Kilkoro studentów siedziało pod Wiazem Wisielców, rozmawiając i jedząc kanapki w zimowym słońcu. Stopy wisielca były zaledwie kilka centymetrów od ust nieświadomej niczego kobiety. Odwróciłam wzrok i przyspieszyłam kroku, kierując się do wyjścia. Zanim doszłam do placu Waszyngtona i Greene Street, zdołałam wyrzucić obraz Wiazu Wisielców i jego ofiar z mojej głowy. Jednak, co dziwne, uczucie zimnego ciężaru nie zniknęło. Zatrzymałam się przy Brown Building, by złapać od-

dech. Nie biegłam szybko, ale ściśnięte gardło i ucisk w piersi nie pozwalały mi zaczerpnąć tchu.

Odkaszlnęłam.

Jeszcze raz.

Czułam... *Czy to dym?*

Spojrzałam w górę i stłumiłam krzyk. Ujrzałam spadającą z góry młodą kobietę. Skuliłam się, by uniknąć uderzenia, zanim zdałam sobie sprawę, że jest zawieszona w powietrzu. Ona także była bladym kształtem w świetle dnia, zjawą zawieszoną między światłami. Z jej otwartych ust wydobywał się niemy krzyk, a ubranie powiewało za nią niczym ogniste skrzydła. Nie była sama. Ponad nią, na tle nieba, widać było inne, podobne do niej postacie. Same młode kobiety. Płonące.

Zjawy nie widziały mnie. Nie były duchami jak porucznik Luke. Nie mogłam z nimi rozmawiać. Nie mogłam nawiązać kontaktu, ale widziałam je i czułam.

Zadrżałam.

Pomyślałam, że Wiktor Mai wybrał oryginalne miejsce na swoją pracownię. Chociaż, jak sądzę, mało kto pamiętał wydarzenia sprzed wielu lat albo odczuwał dramat największego wypadku w historii nowojorskiego przemysłu jako wciąż aktualny. Dla mnie taki był i musiałam bardzo się postarać, by wymazać psychiczne pozostałości straszliwego pożaru w fabryce Triangle Shirtwaist w 1911 roku oraz piętno odcisnięte przez śmierć stu czterdziestu sześciu kobiet, w większości młodszych ode mnie, które spłonęły zamknięte w pomieszczeniach fabryki włókienniczej lub zginęły, próbując uciekać przed ogniem - rzucając się w szyb windy albo skacząc z okien budynku. Ponad sto lat później wciąż rzucały się w dół w odwiecznej ucieczce.

Minął mnie jakiś nowojorczyk w eleganckim garniturze, z teczką, całkowicie odporny na piętno śmierci. Nie spojrzał w górę.

Pandoro. Jesteś dziwaczką.

Odnalazłam adres, pod który wysłała mnie Pepper, zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie sto lat wcześniej spadały ciała ofiar pożaru. Wyczerpana przeszłam przez hol i wsiadłam do windy. Odnalazłam tabliczkę z napisem „Wiktor Mai”. Gdy wysiadłam na właściwym piętrze, znalazłam się w jasno oświetlonej recepcji rozmiarów małego boiska baseballowego. Tak, to była pracownia Wiktora Mała. Każda litera w słowach WIKTOR MAL DESIGN była większa ode mnie, a poza tym ów imponujący napis otaczały sięgające sufitu reprodukcje reklam z minionych dekad.

Czy to Cindy Crawford? Claudia Schtffer? Gisele Bundchen?
Zatrzymałam się w połowie drogi, wpatrując się w nie nabożnie.

- W czym mogę pomóc? - Słowa były uprzejme. Głos, jakim były wypowiedane, już nie.

Odwróciłam się i zobaczyłam przyglądającą mi się sekretarkę. Była niewysoką blondynką, zadziwiająco opaloną jak na tę porę roku. Domyślałam się, że miała na sobie kreację Wiktora Mała. Właśnie pakowała swoje rzeczy.

-Pandora English z pisma „Pandora”, jestem umówiona z panem Małem na wywiad.

Podniosła głowę, a potem uniosła brwi.

-No tak. Zastanawiałam się, kiedy pani przyjdzie -odparła, jakbym była spóźniona, choć było inaczej. -A gdzie fotograf?

-Fotograf? Nie. Jestem sama. Mam kilka pytań. To nie potrwa długo.

Dwaj mężczyźni, wypiełgowani i wymuskani nawet bardziej niż ja, przeszli obok, nie zaszczyciwszy mnie choćby jednym spojrzeniem. Przez ramiona przewieszzone mieli modne teczki zwane „męskimi torbami”. Biuro pustoszało przed lunchem.

- Zaprowadzę panią do jego pracowni - oznajmiła sekretarka.

Podążyłam za nią krótkim korytarzem, aż do wielkich białych drzwi. Naprawdę miała na sobie strój zaprojektowany przez jej szefa - obcisłą dzianinową sukienkę do kolan, z jaskrawym wzorem krzyża i asymetrycznym drapowaniem przy dolnej krawędzi, kołyszącym się przy każdym jej ruchu. Zatrzymała się przy drzwiach i zapukała.

-Wiktorze, dziennikarka do ciebie.

Wyprostowałam się na te słowa. Nie byłam pewna, czy przedtem ktokolwiek nazwał mnie dziennikarką. Brzmiało to nieźle.

Pandora English. Dziennikarka.

I biło na głowę określenie „dziwadło”.

Usłyszałyśmy stłumioną odpowiedź i sekretarka otworzyła szeroko drzwi, zostawiając mnie na progu ogromnej sali wypełnionej szpulami z przędzą oraz próbkami materiałów. Znajdowało się tu także kilka na wpół ubranych manekinów, między którymi lawirowałam, wchodząc do środka.

Wiktor Mai był człowiekiem zaskakująco drobnej budowy - miał nie więcej niż półtora metra wzrostu - lecz od razu widać było, że rekompensuje sobie niski wzrost **11**; i różne sposoby.

Nie uśmiechając się, odwrócił się do innej i pochylił nad ogromnym drewnianym stołem, zajmującym jedną stronę długiego pomieszczenia. Gdy się zbliżałam, skrzyżował ramiona i uniósł podbródek w geście powitania. Ubrany był w jasny sweter z dużym dekoltem w kształcie litery V, jakie zazwyczaj noszą kobiety. Był tak mocno opalony, że sztuczna opalenizna jego sekretarki wypadła przy nim blade.

-Nazywam się Pandora English, reprezentuję pismo „Pandora”. Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać -powiedziałam, odwracając wzrok od głębokiego dekoltu.

- Mam mało czasu, kochana, ale czego się nie robi dla reklamy. „Pandora”, tak? Masz piętnaście minut. Strzelaj.

Zrozumiałam, że powinnam strzelać pytaniami, więc zaczęłam to robić.

- Proszę powiedzieć, co takiego ma w sobie dzianina, którą pan tak kocha - zapytałam. Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, wiedziałam, że popełniłam błąd. To nie był zbyt ciekawy sposób rozpoczęcia rozmowy. Jego oczy zaszklily się i odwrócił się do swojego stołu,

- Kochana, dzianina jest wszystkim. Jesteśmy w Nowym Jorku, stolicy dziewiarstwa.

Naprawdę? „Stolica dziewiarstwa” - zapisałam w notatniku.

Zauważyłam, że miał zwyczaj wypowiadania słowa „kochana” protekcyjnym tonem. Stałam po drugiej stronie stołu, chcąc nawiązać z nim kontakt wzrokowy, obawiając się, że nie mam na to szans. Muszę popracować nad swoją metodą prowadzenia wywiadów.

-Widzę, że w pana zawodzie potrzebne jest ogromne doświadczenie - powiedziałam. - Pana prace są piękne.

-Ja nie tylko projektuję, ja *tworzę* - poinformował mnie, rzucając mi wyniosłe spojrzenie.

Sumiennie zapisywałam jego słowa w notatniku. „Nie

projektuje. Tworzy". Właśnie wtedy weszła sekretarka w powiewającej sukience. Niosła paczkę.

- Przesyłka. Właśnie dostarczono. - Nie była zbyt rozmowna. Zważywszy, że jej słowa skierowane były do pracodawcy, ich ton wydawał się nieco wrogi. Spojrzała na niego gniewnie, podając mu paczkę. Najwyraźniej między tym dwojgiem była jakaś niewyjaśniona sprawa. A może wrogość była w modzie? Nie miałam pojęcia.

Wiktor przyjrzał się paczce, obracając ją w dłoni. Cokolwiek znajdowało się w środku, było pięknie owinięte wstążkami i ozdobione kokardkami w kolorach smolistej czerni i szmaragdowej zieleni.

-Wychodzę na lunch - poinformowała sekretarka, a Wiktor Mai skinął w roztargnieniu głową, ewidentnie zauroczony pudełkiem. Elegancko wroga sekretarka zamknęła za sobą drzwi i znów zostaliśmy sami. Przez chwilę oboje wpatrywaliśmy się w paczkę, a potem zdałam sobie sprawę z osobliwości sytuacji. Jakby przesyłka miała w sobie magnes przyciągający uwagę, pomyślałam. *Dziwne.*

Szybko zdecydowałam się zadać kolejne niezręczne pytanie.

-Jak to się stało, że zainteresował się pan projektowaniem... to znaczy, tworzeniem? - zapytałam. Nie miałam dotąd zbyt wielu okazji do przeprowadzania wywiadów i to było widać. Słyszając moje pytanie, postawił fascynujące pudełko na stole i ponownie skrzyżował ramiona. - Już jako dziecko chciał pan zostać projektantem? - ciągnęłam.

- Zawsze chciałem tworzyć coś pięknego - odparł bezbarwnym głosem, jakbym nacisnęła guzik „często zadawane pytania" i słuchała nagrania.

To staje się męczące. Czas na prawdziwe pytania -pomyślałam.

-Zastanawiałam się, czy słyszał pan o zniknięciu Sandy Chow i Richarda Helmswortha? Wszyscy troje byliście uważani za głównych nowojorskich projektantów. Zastanawiałam się, czy ma pan może jakąś teorię na temat, co mogło się przytrafić Sandy i Richardowi?

To pytanie go zaskoczyło. Wyprostował się.

- Naprawdę, nie można porównywać moich dzieł z projektami od Sandy Chow czy Richarda Helmswortha.

- Słucham?

- Oni byli wyrobnikami. Ciekawe. Zapisałam: „wyrobnicy”.

- Naprawdę - ciągnął. - Wszyscy wiedzą, że w jestem najlepszym projektantem dziewiarstwa wszech czasów.

-Jest pan najlepszym projektantem dzianin wszech czasów? - powtórzyłam. Uważał, że jest lepszy niż Missoni? Niż Sonia Rykiel? Nawet dla mnie było to raczej dowód pychy.

- Cóż, kochana, tak. To nie przechwałki. To jest mój teren, to znaczy, Hugo Boss niech sobie robi garnitury, ale w dziewiarstwie ja jestem królem.

Uniosłam brwi zdziwiona. Wyglądało to na nieprawdopodobną pychę, lecz najgorsze, że wcale nie obchodziło go, co się stało z dwojgiem projektantów. Czy naprawdę tym się nie przejmował? A może coś ukrywał?

Chyba wyczuł moje zaskoczenie.

-Może upozorowali swoją śmierć, żeby zdobyć rozgłos? - Machnął ręką.

- Razem? Słyszałam, że niespecjalnie się dogadywali.

- Skąd ja mam to wiedzieć? - odparł. - Teraz muszę już wracać do pracy. Kiedy to się ukáže?

- W najbliższym numerze „Pandory” - odpowiedziałam.

Skinął głową i znów skrzyżował ramiona. *Koniec wywiadu.* Wyraźnie nie lubił pytań dotyczących czyjogoś zniknięcia. Zrozumiałam, że już nic więcej nie zdołałabym z niego wyciągnąć. Podziękowałam i wyszłam. Miałam chyba jednak kilka cytatów do artykułu Pepper.

Kilka cytatów i nic więcej.

Było krótko po szóstej wieczorem, gdy zapukałam i weszłam do mieszkania. Marząc o odpoczynku, zsunęłam buty i powiesiłam piękny zimowy płaszcz Celi na wieszaku obok lustra przy drzwiach. Złowiłam swoje odbicie w małym owalnym lustrze i aż mnie zamurowało. Czy to kwestia wyobraźni, czy też w moim wyglądzie zaszła jakaś nieuchwytna zmiana? Czy to spojrzenie moich oczu? Coraz częściej miałam wrażenie, że zrzucam z siebie skórę mojego poprzedniego życia. Ślady Gretchenville niemal dosłownie ze mnie odpadały.

-Miałam dziś naprawdę dziwny dzień... - zaczęłam, odwracając się i wchodząc do salonu.

Pomyślałam o zaskakującym i upokarzającym wybuchu Skye, dziwnym uczuciu, jakiego doznałam w sklepie zoologicznym, i o kobiecie, którą widziałam na stacji metra. Ale przede wszystkim, o wybitnie nudnym spotkaniu z Wiktorem Malem. Jego przechwałki brzmiały jak nowy rodzaj pychy. A może wszyscy w tym mieście tak mówili? Często reszta Manhattanu była dziwniejsza nawet od Spektora. Co, trzeba przyznać, było ciekawym stwierdzeniem. Celia?

Zwróciłam uwagę, że tym razem moja cioteczna babka nie siedziała w swoim fotelu.

Wkrótce usłyszałam delikatne stukanie jej obcasów, a po chwili ona sama pojawiła się w holu, trzymając w jednej ręce puder, a w drugiej ciemnoczerwoną pomadkę. W jej uszach połyskiwały długie kolczyki ze szmaragdami. Była ubrana w dopasowaną w talii, czarną satynową sukienkę sięgającą do kolan z przypiętą do niej szmaragdową broszką, pasującą do kolczyków. Oczywiście, twarz przysłoniła czarną woalką. Moim zdaniem wyglądała oszałamiająco.

- Wychodzisz? - zapytałam.

Wyglądała, jakby się wybierała na uroczystą kolację lub koncert. Choć tak naprawdę nigdy nie widziałam jej w codziennym stroju. Zastanawiałam się, czy miała w swojej szafie chociaż jeden T-shirt.

- Może później - odparła. - Mamy dziś gościa.

- Naprawdę?

-Tak. - Skończyła malować usta. - Pandoro, musimy porozmawiać.

Serce podskoczyło mi do gardła. Gdy Celia mówiła, że musimy porozmawiać, zwykle chodziło o sprawy śmiertelnie poważne. (Że tak powiem).

- Jeśli chodzi ci o pajaka, wiem. Przede wszystkim nie powinnam była go tu przynosić. Zabrałam go dziś do sklepu zoologicznego. Już go nie ma. Więcej go tu nie zobaczymy. Jest w dobrych rękach. - Odwróciłam się, by spojrzeć na puste terrarium na półce. - I nie potrzebujemy już tego zamku, więc odniosę go do Harolda.

-Nie martw się teraz o to, Pandoro. - Podeszła do mnie i położyła chłodną dłoń na moim ramieniu. - Deus jest tutaj i chce się z tobą spotkać.

Szczęka mi opadła. Zapomniałam o tarantuli, o Skye i Wiktorze Malu, i wszystkim innym, co zajmowało mnie tego dnia.

Deus...

Sangwinik Deus przyszedł, żeby się ze mną spotkać?

- Nie jestem pewna, czy jestem na to gotowa - wyrwało mi się.

- Jesteś - odparła Celia spokojnie. Całe moje ciało pokryło się gęsią skórką. - Cóż... czy mam... - Urwałam. - Czy powinnam się uzbroić...

- Na dorosłych sangwiników ryż nie działa - powiedziała Celia. - Zazwyczaj wyrastają z zachowań obsesyjno-kompulsywnych. Już ci to mówiłam. Nie rób sobie wstydu, wypychając kieszenie ryżem.

Racja.

- A pamiętasz, jak założyłam krzyż, gdy myślałam, że jesteś...

- Tak, pamiętam - odpowiedziała Celia obojętnym tonem.

Kiedyś myślałam, że jest wampirem. Ostatecznie wygląda podejrzanie dobrze jak na staruszkę dobiegającą dziewięćdziesiątki. W dodatku nie toleruje czosnku i nie przepada za spacerami w pełnym słońcu.

- Pamiętam, jak mówiłaś coś o tym, że wizerunek krzyża nie działa na żadnego sangwinika. Miałaś na myśli, że nie zadziała, bo to plastikowy krzyż z teledysku Madonny z lat osiemdziesiątych czy że krzyże w ogóle na nich nie działają?

Celia zmrużyła oczy i skrzyżowała ramiona.

- Podejrzewam, że plastikowy krzyż z teledysku „The Material Girl” byłby szczególnie bezużyteczny - odparła z nutką sarkazmu w głosie.

- Ale czy dlatego że... To zależy od siły wiary.

- Naprawdę? Czyli jeśli głęboko wierzysz, możesz sprawić, że krzyż będzie działał? - Oczami wyobraźni już widziałam seminarium na temat obrony przed wampirami pod tytułem „Wiara twoją bronią”.

- Nie, kochanie, jeśli sangwinik wierzy w to wystarczająco głęboko. Co, zapewniam cię, jest mało prawdopodobne. To wymagałoby wielkiej wiary. - Podejrzewam, że miała rację. - I pomyśl o tym... Jeśli krzyże - czy po prostu dwa patyki ułożone pod właściwym kątem - wywołałyby taką reakcję, musisz zadać sobie pytanie: Jak upiór wstający z grobu miałby przetrwać choćby sekundę w poświęconej ziemi cmentarza usianego krzyżami? Bram Stoker... to śmieszne.

Zastanowiłam się nad tym.

-Czy to już wszystkie pytania? - zapytała Celia. -Wszystko to wiesz. *Nie chcę, żeby mnie zjadł.*

-Widzę, że panikujesz, choć naprawdę nie ma powodu - zapewniła mnie. - Deus jest naszym sprzymierzeńcem. Już ci to mówiłam. Większość plotek o sangwinikach to czysta propaganda - że są rzekomo „demonami”, że na widok krzyża stają w płomieniach, i tak dalej... Wszystko po to, żebyś nie opuściła niedzielnego kazania. Widziałam sangwiników pijących wodę święconą dla frajdy. Wybij sobie w końcu to z głowy. - Oparła dłonie na biodrach. - Nie zamierzasz chyba przywitać naszego przyjaciela Deusa zaostrzonym kołkiem ani niczym podobnym, prawda? To nie byłoby najlepsze pierwsze wrażenie.

Zbladłam.

-Nie. Nie, oczywiście, że nie. Nie zrobiłabym czegoś takiego.

O ile nie będzie próbował mnie skrzywdzić.

-Ja tylko nie chcę popełnić nietaktu... na przykład nie chcę włożyć czegoś, przez co stanie w płomieniach.

- Zapewniam cię, że Deus nie jest łatwopalny. A teraz, biegnij do siebie i odśwież się. Niedługo go spotkasz - ponagliła mnie i poszła do kuchni, zostawiając mnie w delikatnej chmurze swoich perfum.

Jasne było, że dyskusja na ten temat została zakończona. Tak naprawdę musiałam wybić sobie z głowy nie powieść Stokera, tylko moje własne spotkania z mniej kulturalnym sangwinikiem. Wyglądało na to, że po dwóch miesiącach słuchania opowieści Celi, spotkam nareszcie sangwinika odpowiedzialnego za jej niespotykany wygląd.

Zastanawiałam się, czy jestem na to gotowa.

Rozdział 7

Czasem odnosiłam wrażenie, że według Celi każdy problem można rozwiązać za pomocą świeżej warstwy szminki i filiżanki herbaty.

Kiedy wyszłam ze swojego pokoju, czekała na mnie z piękną srebrną tacą, na której stały imbryk z herbatą i dwie filiżanki. Dwie, zwróciłam uwagę, nie trzy. Naturalnie, Deus nie będzie pił herbaty.

- Weź, proszę, tacę - powiedziała, podając mi ją.

Włożyłam jedną z moich ulubionych sukienek, bursztynową, harmonizującą z kolorem moich oczu. Dawno temu została zaprojektowana przez Celię dla aktorki filmowej Lauren Bacall. Pasowała idealnie. Pomyślałam, że może była zbyt strojna, ale coś mi mówiło, że niegrzecznie byłoby założyć coś gorszego dla Deusa.

- Kochanie, wyglądasz cudownie. I jak widzę, nie obwiesiłaś się krzyżami. Słusznie - pochwaliła mnie Celia. - Nie denerwuj się. On jest naprawdę uroczy i bardzo potężny. Będzie twoim wspaniałym sprzymierzeńcem.

Bardzo potężny. Cóż, właśnie z tego powodu obawiałam się spotkania z nim. No i jeszcze dlatego, że był nieśmiertelny i prawdopodobnie miał kły jak tygrys. Większość istot z kłami, jak się przekonałam, chciała mnie zagryźć. A jeszcze niektóre z nich uważały za konieczne

ciągle wypominać mi moje dziewictwo, co było dość niemiłe. (Nie chciałam nawet myśleć, skąd o tym wiedzieli).

- Jeszcze jedno pytanie, ostatnie. Jak mam z nim rozmawiać? - zapytałam.

- Normalnie, jak z człowiekiem, Pandoro. Sangwinik może być bardzo potężny i nieco się od nas różnić, ale nie myśl, że nie zostało w nim nic z ludzkiej natury.

Różnić się. Tym, że żywi się ludźmi? Przypomniała mi się Atanazja z obnażonymi zębami i jakoś nie udało mi się odnaleźć w niej ludzkiej natury.

- Czy są jakieś specjalne zasady? - nalegałam. - Mam się uklonić? Dygnąć? Czy nieuprzejmie jest uścisnąć dłoń albo pokazać podeszwy butów? Mam się czuć zaniepokojona, jeśli pociągnie nosem na mój widok?

- Po prostu, nie nazywaj go wampirem - zażartowała Celia w odpowiedzi i poprawiła swoją czarną woalkę.

Celia porównała słowo na „w” ze słowem na „c”, które ostatnio zniknęło z powieści Marka Twaina, a które jeszcze czasami pojawiała się w tekstach piosenek raperów. Być może to nic złego, jeśli użył go sangwinik, lecz niemądre byłoby użycie go przez nie-sangwinika. Byłam pewna, że nie popełnię tego błędu.

-Tędy.

Wskazała mi drogę i, ku mojemu zaskoczeniu, elegancka cioteczna babka poprowadziła mnie do swoich pokoi. Kiedy tu przyjechałam, bardzo wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie powinnam nigdy tam wchodzić. Jej słowa były tak sugestywne, że w wypadku pożaru tylko wielka presja zmusiłaby mnie do czegoś więcej niż zastukania do jej drzwi.

- Powinnaś wiedzieć, że wielu najbardziej utalentowanych przywódców ludzkości, myślicieli i artystów wy-

brało drogę sangwiników - poinformowała mnie Celia spokojnym, kojącym głosem, starając się mnie rozluźnić. - Królowa Wiktorja, Nietzsche, Michael Hutchence... - ciągnęła.

-Królowa Wiktorja? Nietzsche, filozof? - zapytałam z niedowierzaniem. To zapewne było nieuniknione, że niektóre sławne osobistości stały się nieumarłymi, ale królowa Wiktorja? Czy to możliwe? (Nie wiadomo dlaczego, Michael Hutchence z INXS jako nieumarły nie wydawał mi się nieprawdopodobny).

- O, tak. Wdowa z Windsoru została sangwinikiem na krótko przed końcem swojego sześćdziesięcioletniego panowania. Podejrzewam, że nie była gotowa tak po prostu wycofać się z życia publicznego. Teraz jest obiektem kultu dla wtajemniczonych. I nie rozumiem, dlaczego tak cię dziwi Nietzsche. Zawsze interesował się „wampiryzmem”. Pamiętasz jego słowa? „Ze wszystkiego, co napisano, tylko to miłuję, co człowiek napisał własną krwią”.

To brzmiało dość mrocznie.

-Czy on nie zmarł na... - Zastanawiałam się przez chwilę.

- Syfilis, tak mówią - dokończyła Celia. *Auć.*

Zatrzymała się tuż przed drzwiami do własnego pokoju.

-Wielu z nich pozoruje własną śmierć. Tak naprawdę, nie pozorują śmierci, żeby zostać nieumarłymi, tylko muszą upozorować sposób, w jaki umarli - poprawiła się. - Mimo to syfilis to raczej dziwny wybór. Myślę, że chodziło mu o „śmierć w szaleństwie”. Nietzsche jest skomplikowaną osobowością.

Celia mówiła o nim w czasie teraźniejszym. Jakie to dziwne.

- Kto jeszcze? - zapytałam, celowo przedłużając naszą rozmowę.

- Niech pomyślę... Jest ich tak wielu. Napoleon, Ludwik I Bawarski, Maria Antonina, Picasso, Frida Kahlo, Oskar Wilde, Jim Morrison, Aaliyah, Courtney Love...

-Czekaj, wdowa po Kurcie Cobainie? Piosenkarka? Przecież ona żyje - zaprotestowałam.

- Na pewno? - odparła Celia, a jej słowa na chwilę zawisły w powietrzu. - Cóż, może to tylko plotki - poddała się.

-A Bela Lugosi? - Przypomniałam sobie aktora grającego Drakulę w 1931 roku, w filmie, który stał się legendą horrorów.

- Nie sędzę - powiedziała Celia.

To wydawało się trochę okrutne, zważywszy, że kazał się pochować w stroju wampira. -A ty nie chcesz zostać sangwinikiem? - naciskałam.

- Nie. Gdybym chciała, już bym nim była.

-Ale nie starzejesz się. - Umierałam z ciekawości, jak to robiła.

- Dziękuję ci, kochanie, za miłe słowa. A teraz dość tych głupstw. Już czas.

O rany.

Wsunęła gładko klucz w zamek i otworzyła drzwi. Po raz pierwszy miałam zobaczyć, co się kryje za drzwiami, które ciekawiły mnie od miesięcy. Najpierw uderzył mnie zapach. W powietrzu czuć było kadzidło. Kadzidło i coś jeszcze? Zapach był przyjemny, choć nieco mdły.

Za drzwiami znajdował się mały, lecz wygodny pokój dzienny, z perskimi dywanami, ciężkimi aksamitnymi kotarami i oszłamiającym rzeźbionym kredensem, na którym paliło się kilka świec w srebrnych lichtarzach. Zobaczyłam też dwie pary drzwi, jedne obok kredensu,

a drugie - na dalszej ścianie. Nie było okien. Na środku pokoju stały dwa bogato rzeźbione w drewnie fotele, wyściełane aksamitem w kolorze burgunda. Między nimi znajdował się niski okrągły stolik. Pod jedną ze ścian stał szeslong pokryty aksamitem.

- Uważaj na stopnie - uprzedziła. Pokój był niżej położony i prowadziło do niego kilka schodów.

Zeszliśmy trzy stopnie w dół. Celia skierowała się do rzeźbionego okrągłego stolika. Postawiłam na nim srebrną tacę. Usłyszałam pukanie i wyprostowałam się gwałtownie. Nie dochodziło od strony żadnych drzwi, lecz zza moich pleców. Odwróciłam się i zszokowana wciągnęłam powietrze. Myślałam, że jestem spostrzegawcza. Myliłam się. Inaczej nie mogłabym przegapić ogromnej trumny stojącej za mną.

O Boże. Deus jest w środku. W trumnie!

W kącie pokoju stała trumna z ciemnego błyszczącego mahoni.

-Wejdz, proszę - odezwała się radośnie Celia, nieco podniesionym głosem. Odwróciła się do mnie. - Zawsze puka przed wejściem. Czyż to nie urocze?

Rozległo się lekkie skrzypienie i spod wieka trumny wyłoniły się palce. Ktoś... albo coś otwierało ją od środka. Pomyślałam o horrorach, w których rozkładające się zombie wstawały z grobów. Zakryłam usta dłonią, odwróciłam wzrok i zamknęłam oczy. Usłyszałam szuranie, jeszcze raz skrzypienie i w końcu stanęłam twarzą w twarz z istotą, której tak się obawiałam.

- Deusie, poznaj Pandorę English. Pandoro, oto Deus - dokonała prezentacji Celia.

Osoba stojąca przede mną nie była w stanie rozkładu. Właściwie, wyglądał dość dobrze, choć był trochę blady.

(Całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę alergię na słońce). I tak miał karnację ciemniejszą, niż sobie wyobrażałam, i jeśli spodziewałam się wysokiego europejskiego wampira w smokingu i podbitej czerwonym materiałem pelerynie, to się zawiodłam. Miał na sobie bardzo elegancki, dopasowany garnitur. Wyglądał, jakby wybierał się na to samo przyjęcie, co Celia. Deus był nieco wyższy ode mnie, mierzył ponad metr siedemdziesiąt, miał ciemne wyraziste brwi i najdłuższe rzęsy, jakie kiedykolwiek widziałam u mężczyzny. Choć, oczywiście, nie był mężczyzną, prawda? Był sangwinikiem. I z tego, co wiedziałam, miał przynajmniej kilkaset lat. Jak można rozmawiać z kimś, kto ma takie doświadczenie i władzę? Jak rozmawiać z kimś, kto mieszka w trumnie?

- Cieszę się, że cię w końcu poznałem, Pandoro - odezwał się Deus z uśmiechem.

Nie wyłapałam akcentu, ale nie pochodził z Rumunii.

- Eee, tak... hm... - jąkałam się, nie mogąc znaleźć słów.
-Zostawię was samych. Macie sobie wiele do powiedzenia - powiedziała Celia.

Nie!

Celia wyczuła moją panikę. Wymieniłyśmy spojrzenia, wzrokiem nakazała mi zachować spokój. Ale jak, na Boga, miałam zachować spokój?

Deus skłonił się przed nią uprzejmie i odprowadził do drzwi. Czekałam na pocałunek lub uścisk kochanków u szczytu schodów, lecz nie doczekałam się. A jednak zauważyłam, że Celia promienieje. Czy się zarumieniła? Wróciła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Deus odwrócił się, a ja uciekłam spojrzeniem.

- Przepraszam za to wejście. Musiało wyglądać dość teatralnie - powiedział, wracając do mnie.

-Nie, nie bardzo. To znaczy, jesteś... To jest... Nie,

wszystko w porządku - wyjąkałam, wpatrując się w swoje buty. *Trumna. Czy on naprawdę wstał z trumny? Celia trzyma dla niego trumnę?* - Czy mogę usiąść? - Usłyszałam jego pytanie.

- Och, tak, proszę - odparłam. Usiadłam w jednym fotelu, on zajął drugi.

Skrzyżowałam nogi i podrygiwałam nerwowo, próbując uniknąć jego spojrzenia. Pragnienie spojrzenia na jego twarz było tak przerażająco intensywne, że musiałam walczyć ze sobą. Z tego, co zdołałam zauważyć, to nie był szczególnie przystojny, ale był za to niezwykle pociągający, w jakiś magnetyczny sposób. Wiedziałam, że się uśmiecha. Musiałam coś powiedzieć. Cisza przeciągała się w nieskończoność.

-Zatem, tak... miło cię poznać, Deusie... Czy Deus po łacinie nie znaczy „Bóg”? - zapytałam, popadając w sło-wotok, jak tylko otworzyłam usta. Spojrzałam szybko na jego twarz, zobaczyłam gładką skórę, miły uśmiech. Opuściłam wzrok.

Nie, nie przystojny, ale...

-To prawda. Znasz łacinę? - odparł ze spokojem. Zarumieniłam się.

-Nie bardzo... tylko... znam niektóre słowa z książek mojej matki. To wszystko. Zapadła długa cisza.

- Może napijemy się herbaty? - zaproponował w końcu. -Och, nie wiedziałam, że... Tak, oczywiście...

Nim zdołałam skończyć kompromitujące zdanie, wykazując się nagłą niezdolnością do łączenia zdań w sensowną całość, nalał herbaty do obu filiżanek.

- Śmietanka i cukier?

- Dziękuję.

Podał mi filiżankę i wsypał cukier do swojej. Zrezygnował ze śmietanki.

- Nie toleruję laktozy - wyjaśnił. *Och.*

Wypiłam łyk herbaty.

- Podobno masz problem z moim gatunkiem? - zasugerował Deus.

Omiał się nie zakrztusiłam.

-Nie, nie! Nie mam nic przeciwko twojemu gatunkowi. Absolutnie nic.

-Miałem na myśli, że masz problem z niektórymi przedstawicielkami mojego gatunku.

Teraz zrozumiałam.

-Och, tak, jest kilka wamp... modelek sangwiników w tym budynku, które za mną nie przepadają.

Me mogłam uwierzyć, że niemal powiedziałam „wampiry”!
Idiotka... idiotka...

W końcu udało mi się spojrzeć na jego twarz. I natychmiast pomyślałam: *Och, nie. On jest przystojny.* Przystojny wampir. To straszne. Straszne z powodu władzy, jaką sangwinik, taki jak Atanazja, miał nad innymi, zwłaszcza nad mężczyznami. Z łatwością ich hipnotyzowała. Tracili przy niej zdrowy rozsądek. Gapili się na nią. Czy to samo stanie się teraz ze mną? Będę się wgapić w Deusa?

-Rozumiem, że masz kłopoty z Atanazją - zachęcił mnie łagodnie Deus.

Przytaknęłam entuzjastycznie, odrywając się od dziwnych myśli.

-Tak, ona chce mnie zabić - urwałam. - Właściwie, chce mnie zabić i pożreć. - Wypiłam kolejny łyk herbaty. Celia potrafiła zaparzyć pyszną herbatę Earl Grey.

- Rozumiem - odparł Deus łagodnie, wciąż się uśmiechając.
Wieczny uśmiech - pomyślałam. -A ty przebiłaś ją kołkiem -
dodał. Zagryzłam wargi.

- Chwila, to niesprawiedliwe. Ona mnie zaatakowała. To było
w samoobronie. Zaatakowała mnie w holu na dole. A potem po
pokazie mody i jeszcze wczoraj, też by to zrobiła, gdybym nie
rzuciła ryżu.

- Hm, jeszcze nie wyrosła z liczenia - zamyślił się. -Zatem nie
prowokowałaś jej?

Przez chwilę pomyślałam o swoim komentarzu na temat
przemijania stylu wampirycznego. Sądzę, że ktoś taki jak
Atanazja mógłby uznać tę uwagę za prowokującą, ale raczej
trudno to uznać za powód do morderstwa.

- Raczej nie - odparłam. Skinął głową.

- Rozumiem. Porozmawiam z nią i jej przyjaciółkami. -Nie
chcę pogarszać sprawy - powiedziałam. - Nie
trzeba mi kolejnych kłopotów. Po prostu chcę, żeby zostawiła
mnie w spokoju. Deus ponownie skinął głową.

- Słyszałem, że zanosisz się na coś, ale Atanazja zostawi cię w
spokoju.

- Zanosisz się na coś? Na co? Pochylił głowę.

-Celia ostrzegła mnie, że lubisz zadawać pytania. - Wciąż się
uśmiechał. Lecz nie dodał nic więcej na temat tego, co się
szykuje. - Powiedz, jak ci się pracuje w „Pandorze”? - zapytał.

Zaskoczył mnie. Nie sądziłam, że ktoś taki jak on poświęci chociaż jedną myśl mojej pracy.

- Praca jest w porządku - powiedziałam ostrożnie. - Nie jest łatwo coś znaleźć w Nowym Jorku. - Zmrużyłam oczy. - Dlaczego pytasz? Nie miałeś nic wspólnego z zatrudnieniem mnie na tym stanowisku, prawda?

- Ja? Nie. Nie załatwiłem ci tej posady. Chociaż, oczywiście, wiedziałem, że jest wakat, po tym co zrobiła Atanazja.

- Chodzi o to, że zabiła moją poprzedniczkę i zmieniła ją w sangwinika.

- Tak - odparł.

Zatem to Deus powiedział mojej ciotecznej babce o tym, co się stało, a ona kazała mi iść do redakcji. Dostałam swoją pierwszą pracę w Nowym Jorku dzięki Atanazji. Wampirzycy. A teraz ta sama wampirzyca usiłowała mnie zabić. W milczeniu przyswajałam nowe informacje.

- Dawno nie widziałam Samanty. Czy wszystko u niej w porządku? - zapytałam.

- Myślę, że tak - odpowiedział. - Lecz nie o niej chciałem z tobą porozmawiać. Myślałem o twoich koleżankach z pracy, o Skye i Pepper.

- Co z nimi?

- Na pewno zorientowałaś się, że nie pamiętają incydentu z zeszłego miesiąca.

Tak, incydent. Incydent, gdy uratowałam im życie.

- Zorientowałam się - powiedziałam, obserwując jego twarz. - Ty... to zrobiłeś?

- Tak, miałem za zadanie wymazać to z ich pamięci. Nie było okazji, byśmy o tym rozmawiali. Ciekaw jestem, jak to się sprawdziło.

Deus wymazał to z ich pamięci. No jasne. Wiedziałam, że ktoś musiał to zrobić. Nie można było pozwolić, by dwie kobiety chodziły po Manhattanie, plotąc o tym, co widziały. Gdyby nie interweniował, pewnie nosiłyby już kaftany bezpieczeństwa.

- Cóż, wykonałeś dobrą robotę - przyznałam. - Niczego nie pamiętają. - Oparłam głowę na rękach i westchnęłam. - Rozumiem. Naprawdę. A w każdym razie, staram się zrozumieć. Musiałeś wymazać to z ich pamięci.

- Świat jeszcze nie jest gotowy na to, czym jesteśmy, Pandoro. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Nie mogłeś wymazać tego z ich pamięci, ale zostawić choć odrobinę wdzięczności za to, że uratowałam im życie? Nie mogłyby chociaż trochę mnie lubić, nawet gdyby nie wiedziały dlaczego? Ach, nieważne. - A potem pomyślałam o Jayu. *Facet od róż.* - Z pamięci mojego chłopaka też coś wymazałeś? - musiałam zapytać.

- Nie. Ktoś to zrobił wcześniej. Westchnęłam.

- Och. Teraz nawet nie wie, kim jestem. Mój pierwszy prawdziwy facet w Nowym Jorku.

Opowiadam o swoich problemach sercowych nieżyjącemu sangwinikowi? Moje życie robi się śmieszne.

- Nieważne - mruknęłam w końcu pod nosem. Deus poprawił krawat.

-Miło było cię poznać, Pandoro. Przepraszam, ale mam dziś wieczorem jeszcze kilka spraw do załatwienia. - Wstał z fotela i wyciągnął dłoń.

Uścisnęłam ją i gdy dotknęłam jego skóry, poczułam dziwne przyciąganie. Jego dłoń była gładka, chłodna i jakby cielesna. Zamrugałam kilkakrotnie i zastanowi-

łam się... czy on na pewno był martwy? Przecież był tak bardzo rzeczywisty?

-Podziękuj, proszę, swojej uroczej ciotecznej babce za herbatę - powiedział Deus.

Spojrzałam na jego twarz i poczułam, że wcale nie chcę uciekać wzrokiem. Miał takie długie rzęsy. Jego skóra wydawała się jedwabista. Jak to możliwe? Pochylił się ku mnie, wciąż delikatnie przytrzymując moją dłoń.

- Masz jeszcze jakieś pytanie? - stwierdził raczej, niż zapytał. Przełknęłam ślinę.

-Tak - powiedziałam. Puściłam jego dłoń. - Czy to prawda, że jesteś... martwy? Że twoje serce nie bije?

Deus wydał z siebie dziwny dźwięk przypominający cichy śmiech i zapytał.

- Chcesz się przekonać?

Skinęłam energicznie głową. Chciałam. Chwycił moją prawą rękę i położył na swojej klatce piersiowej.

Zatkało mnie. Jego ciało było zimne, ale serce biło. Czułam wyraźnie równe uderzenia pod swoją dłonią. Rytm był powolny, hipnotyzujący.

-Ale... słyszałam...

-Jestem pewien, że słyszałaś wiele rzeczy - powiedział, powtarzając słowa Celi.

Zamilkłam. Założył ręce do tyłu, a ja stałam z dłonią na jego sercu, czując, jak bije.

-Miło było cię poznać, Pandoro, ale teraz przepraszam, muszę już iść - powtórzył. - Przekaż swojej ciotecznej babce podziękowania za gościnność. Na pewno wkrótce się spotkamy.

- Tak. Och, dziękuję - odparłam i cofnęłam się. Zacisnęłam i opuściłam dłoń.

Jego serce bije. Czuję to. Ono bije.

Wciąż się uśmiechając, Deus podszedł do trumny, otworzył wieko i zniknął w jej ciemnym wnętrzu. Każdy jego ruch był płynny. Wieko trumny zamknęło się powoli i już go nie było.

Zmrużyłam oczy i przechyliłam głowę na bok.

Minęła chwila, nim otrząsnęłam się z magnetycznego uroku Deusa. Potem podeszłam do trumny, przyłożyłam ucho do wieka i słuchałam. Na początku nie słyszałam nic, a później dotarło do mnie delikatne echo kroków.

Aha!

Otworzyłam wieko.

Trumna nie miała dna. Zerwałam się, chwyciłam jedną ze świec Celi i poświeciłam sobie. Wewnątrz znajdowały się kamienne schody prowadzące w dół.

Tajemne wejście. Oczywiście.

I pomyśleć, że przez chwilę uważałam, że Deus naprawdę leżał w trumnie w pokoju Celi. Co za niedorzeczność.

- Pandoro?

To była Celia. Ostatni raz spojrzałam na wnętrze trumny i pospiesznie zamknęłam wieko. Klamka drzwi prowadzących do apartamentu poruszyła się i do pokoju weszła moja cioteczna babka. Zobaczyła mnie stojącą przy trumnie ze świecą w ręce i miną winowajczyni.

- Uważaj, żebyś się nie poparzyła - powiedziała od niechcena, popatrzyła na trumnę i kąciki jej ust uniosły się na chwilę. - Mam nadzieję, że wybaczysz mi to wejście.

-Wejście?

Oparła się o framugę drzwi, krzyżując ramiona.

- Ukryte wejście. Było tu już, kiedy kupiłam ten dom.

- Och! - *Było? Ale kto... ?*

-Przyznasz chyba, że to nie jest w moim stylu. Chciałam zamontować tam zwykłą klapę w podłodze, ale jakoś nigdy się za to nie zabrałam. Poza tym sądzę, że trumna może skutecznie odstraszać ciekawskich. Chodź - skinęła na mnie ręką.

Odstawiłam świecznik z powrotem na kredens i wyszłam za nią do holu. Zamknęła drzwi na klucz i prze-szłyśmy do salonu.

- Deus nie może wejść głównymi drzwiami z kilku powodów - powiedziała, spoglądając na drzwi, których używałam na co dzień.

Jasne. Sangwinik nie ma wstępu do apartamentu.

- Poza tym byłoby to dla niego kłopotliwe, gdyby spotykał na ulicy pisklęta. Płaszczyłyby się przed nim i tak dalej. Niektóre z nich naprawdę nie wiedzą, kiedy przestać.

-Przepraszam, zostawiłam tacę z herbatą. - Nagle poczułam, że muszę usiąść.

- Nie martw się, ja się tym zajmę, kochanie. Ty idź się położyć.

Zamiast tego usiadłam na podnóżku przy jej fotelu do czytania. Czułam się dziwnie wyczerpana po spotkaniu z Deusem. Miałam wrażenie, jakbym spędziła dłuższy czas w klatce z lwem. Teraz, gdy emocje opadły, czułam zmęczenie i potrzebę odpoczynku, może nawet snu. Przebywałam już wcześniej w towarzystwie sangwiników - choć nigdy z własnej woli - lecz Deus był inny. Nawet w porównaniu z liczącą czterysta lat Elżbietą Batory, jego obecność była w jakiś sposób bardziej inten-

sywna. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem roztrzęsiona, dopóki nie zniknął.

-Nie uważasz, że zachowuje się... dziwnie? - Nie mogłam się powstrzymać od pytania.

Celia przysiadła na oparciu fotela.

- Co masz na myśli?

Pomyślałam o jego nieustannym uśmiechu i poczułam lekki skurcz żołądka. Był miły, ale... Zastanawiałam się, jak to ująć.

- Przez cały czas wyglądał na szczęśliwego.

-Jest katanem, Pandoro. Oni zawsze się uśmiechają.

- Jest czym?

- Katanem - wyjaśniła - sangwinikiem ze starożytnej Krety. Starożytnej Krety? *O rany.*

-Zgadza się, starożytnej. - Kąciki jej ust lekko się uniosły.

Naprawdę rozmawiałam przed chwilą z kimś, kto żył na Ziemi od czasów starożytnej Grecji? Jak to jest, żyć tak długo... i ciągle się uśmiechać?

- Z czasem będzie ci łatwiej kontrolować wpływ, jaki wywiera na ciebie.

- Co masz na myśli?

-Jego obecność może być na początku dość przytłaczająca - wyjaśniła. - To naturalny skutek drapieżnych odruchów tego gatunku. Z reguły im sangwinik jest starszy, tym lepiej stosuje swoje sztuczki, więc efekt jest większy. Założę się, że połowę spotkania spędziłaś, wpatrując się w niego lub rozpaczliwie próbując nie patrzeć, albo myśląc o jego twarzy i za-

stanawiając się, co w niej jest takiego pociągającego. Zadawałaś sobie pewnie pytanie, jakby to było znaleźć się blisko niego. Jakby to było, gdyby wyciągnął rękę i dotknął cię? Albo gdybyś ty go dotknęła? Zarumieniłam się.

- Nie przejmuj się. To zupełnie normalna reakcja na obecność sangwinika, zwłaszcza tak silnego. To nie było nic osobistego. Nie próbował cię uwieść. - Uniosła brew, rzucając mi nieprzyzwoite spojrzenie. - Gdyby próbował, wiedziałybyśmy o tym.

Zarumieniłam się jeszcze bardziej. -Z czasem będzie łatwiej. Zwłaszcza tobie, Pandoro. Masz dar.

- Czy to ma związek z byciem Siódmą? - Celia często powtarzała, że jestem Siódmą - siódmą córką z rodu Lucasta. Oznaczało to, że miałam obowiązki oraz potężne wrodzone dary. Siódmy syn siódmego syna był niczym w porównaniu z siódmą córką Lucasty - tak mi powiedziała. Miałam nadzieję, że wyjaśni mi, dlaczego tak jest.

Celia uśmiechnęła się tylko.

- Następnym razem, gdy się spotkacie, będziesz w stanie lepiej kontrolować swoje reakcje.

Następnym razem. Czy chciałam następnego razu? Jakaś część mnie chciała tego. Ale zamierzałam ją zignorować, gdyż czułam się oszukana. To była sztuczka sangwinika. Mam na myśli to, że dotknęłam jego serca. Czułam bicie jego serca!

-Dotknęłaś jego klatki piersiowej, prawda? To było odważne - zauważyła Celia.

-Och, ja... tak. Ja myślałam, że ich serca nie biją -wyjąkałam.

- A w jaki sposób miałyby być pompowana krew w ich ciałach? - zapytała, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. - Są sangwinikami. Krew to życie.

Krew to życie. Czyżby moja cioteczna babka cytowała samego hrabiego Drakulę?

- Myślałam, że nie cierpisz Brama Stokera? Celia zaśmiała się cicho na moją reakcję.

- Cóż, to niezły tekst.

Nigdy w życiu nie czułam się tak niewiarygodnie obnażona. Moja cioteczna babka wiedziała wszystko o moich uczuciach - wszystko o moich uczuciach do jej... chłopaka? Czy właśnie tym był? Co ich właściwie łączyło? W jakiś sposób pomagał jej zachować młodość, ale nie przemienił jej. Rozmawiałam już z nią o tym, ale była bardzo tajemnicza, jeśli chodzi o szczegóły, i wciąż nic nie rozumiałam. Jej sposób udzielania wyjaśnień ograniczał się do samych podstaw. Czy to była miłość? W powieściach czytałam o wiecznej miłości wampira, ale czy taki drapieżca jak sangwinik mógł naprawdę kochać, nawet jeśli jego serce biło?

- Co was łączy? - wyrwało mi się, ale już w chwili, gdy wypowiadałam te słowa, wiedziałam, że są zbyt pochopne, zbyt grubiańskie. Moja cioteczna babka nie reagowała na grubiaństwo. Jej oczy rozszerzyły się nagle, a potem zwężyły.

-To dość osobiste pytanie, kochanie - powoli odparła i uśmiechnęła się, ale jej blada, piękna twarz była jak maska. Znałam to spojrzenie. Znaczyło: koniec dyskusji. - Dama musi mieć swoje tajemnice - dodała i wygładziła sukienkę. - Kochanie, wyglądasz na wyczerpaną. ..

- Ciociu Celio, przepraszam, jeśli to niegrzeczne zada-

wać te wszystkie pytania... ale... Skąd wiesz, że możesz się czuć przy nim bezpiecznie? Uśmiechnęła się szelmowsko na te słowa.

- Nie musisz się o mnie martwić. Nie jestem aż tak bezbronna. Zastanowiłam się nad tym. Jakie właściwie miała moce? Jak mogła się czuć bezpieczna z kimś tak potężnym jak Deus? Z kimś żyjącym od stuleci?

-Wzrusza mnie twoja troska, lecz zapewniam cię, że jestem z nim bezpieczna. Znam się na ludziach - powtórzyła z błyskiem w oku.

Choć Celia nigdy nie powiedziała tego wprost, byłam coraz bardziej przekonana o tym, że potrafi czytać w moich myślach. Może potrafiła też czytać w myślach innych ludzi? Jego też? Wyciągnęła do mnie rękę.

- Chodź, musisz odpocząć. Znosi się na coś w Spektorze, czuję to.

- Deus też tak mówił. O co chodzi? - zapytałam.

- Dowiemy się wkrótce, prawda? Teraz musisz się położyć. Zostawiłam ci ziółka przy łóżku. Szybciej zaśniesz. -Pomogła mi wstać. Czułam, że mam nogi z ołowiu. - Śpij dobrze, Pandoro. Cieszę się, że w końcu poznałaś Deusa.

Skinęłam głową. Zrobiłam krok do przodu i zatrzymałam się.

-Ale on nie jest człowiekiem - powiedziałam.

- Słucham?

-Powiedziałaś, że znasz się na ludziach. Ale on nie jest człowiekiem.

-Nie? Cóż, jest kimś więcej, zdecydowanie. Podobnie jak ty, Pandoro.

Rozdział 8

W czwartek Skye DeVille nie zjawiała się w pracy. Nie było to w jej stylu, ale - egoistycznie - poczułam ulgę. Może scedowała swoje obowiązki na Pepper i wzięła kilka dni wolnego, żeby wyleczyć gripę. (Albo atak niepoczytalności). Może pomieszała swoje lekarstwa na przeziębienie. W każdym razie podczas jej nieobecności w redakcji było cicho i spokojnie.

Pod koniec dnia, gdy pakowałam swoją torbę, podeszła do mnie Morticia, żeby poplotkować. Była czymś wyraźnie podekscytowana. Widocznie nie mogła się doczekać, aż wyjdziemy, więc - wbrew naszemu zwyczajowi - podeszła pierwsza do mojego biurka.

- Czytałaś dzisiejsze wiadomości? - zapytała. Podniosłam swój płaszcz i zaczęłam się ubierać.

- Nie - odpowiedziałam, przemilczając to, że wczorajszy wieczór spędziłam na pogawędce ze starożytnym greckim wampirem, który wyszedł z trumny. Po takich wydarzeniach wieści ze świata mody wydawały się dość nudne.

-Jest to we wszystkich serwisach internetowych -ciągnęła.

-Co się stało? - zapytałam, spodziewając się informacji o celebrytach, którzy się schodzili, rozwodzili lub mieli dzieci. Ewentualnie plotek o modzie. Morticia śle-

działa takie wydarzenia, więc doszłam do wniosku, że ja już nie muszę.

Oparła się o ściankę mojego boksu, długie nogi w pasiastych legginsach.

- Wygląda na to, że wczoraj w nocy zaginął kolejny projektant - powiedziała.

- Kolejny projektant? - To było ciekawe. Skinęła głową.

- Wiktor Mai. Zabrakło mi tchu.

- Nie! Przecież zaledwie wczoraj z nim rozmawiałam. - Nic nas nie łączyło, ale to był prawdziwy szok, dowiedzieć się, że coś mogło mu się stać i to wkrótce po naszej rozmowie. Potrząsnęłam głową. - Nie wyglądał, jakby planował wyjazd. Właściwie wydawało się, że na serio zamierzał zdobyć tytuł „Króla Dziewiarstwa” Nowego Jorku. Nie ma mowy, żeby wyjechał gdzieś z własnej woli.

Morticia wyprostowała ramiona.

- Wiem. To szaleństwo.

- To jakaś śmierdząca sprawa - powiedziałam. - Czy nadal podejrzewają Helmswortha? - Nigdy go nie spotkałam, ale sądzę, że musiałby być stuknięty, żeby zorganizować coś takiego i myśleć, że uniknie podejrzeń. Porywanie ludzi? Samych projektantów dzianin? Miał z nimi wszystkimi na pieńku?

Morticia wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

Miałam złe przeczucia w związku z tą sprawą, a ostatnie wieści były co najmniej niepokojące. Próbowałam wyobrazić sobie, co mogło się wydarzyć od chwili, gdy rozmawiałam z Wiktorem. Spakował swoje rzeczy i wyszedł? Ale dlaczego? Został porwany? Wyłączyłam kom-

puter i zabrałam swoją torbę. Razem z Morticią ruszyliśmy do drzwi. Pepper siedziała zgarbiona przy swoim biurku. Pewnie odwaliała robotę za dwóch.

- Do widzenia - powiedziała Morticia do pozostałych pracowników w biurze. Kilkoro z nich wymamrotało pożegnanie. *Nie brataj się z dziwakami* - niemal słyszałam ich myśli.

-Słuchaj, czy Skye dzwoniła i mówiła, że jest chora? - zapytałam cicho, gdy wyszliśmy na klatkę schodową.

-Chyba Pepper powiedziała jej, żeby wzięła wolne -odparła niepewnie. - Nie wyglądała zbyt dobrze.

-To prawda - zgodziłam się. - Nie wyglądała.

Opatulone płaszczami doszliśmy do wejścia na stację metra przy Spring Street i tam każda z nas skierowała się w swoją stronę. Chciałam coś jeszcze załatwić, zanim pojedę do domu. Byłam przekonana, że sklep „Egzotyczne zwierzęta Soho” będzie otwarty do późna.

Miałam rację.

Gdy weszłam, zadźwięczał dzwonek u drzwi. Sklep był pusty, jeśli nie liczyć wszechobecnych terrariów, akwariów i stęchłego zapachu zwierząt. Innymi słowy, nic się nie zmieniło. Ciekawa byłam, jak udaje im się z tego utrzymać.

Sprzedawczyni w okularach wyszła zza regału i przywitała mnie.

- Witamy w „Egzotycznych Zwierzętach Soho”. W czym mogę pomóc? - Poprawiła okulary na nosie.

-To znowu ja - powiedziałam, gdy mnie rozpoznała.

- Mieliśmy nadzieję, że pani wróci.

- Naprawdę?

- Jak się ma pani pajak? Dowiedziała się pani, co to za gatunek? - zapytała.

Zmrużyłam oczy.

- Ten pająk nie był mój... jak już mówiłam. I nie mam pojęcia, jak się ma, ponieważ zostawiłam go u was.

- U nas? - zdziwiła się, a potem uśmiechnęła. - Pani, oczywiście, żartuje. To była śliczna tarantula. Niezwykła, ale...

- Chwileczkę - powiedziałam, przerywając jej. - Chce mi pani powiedzieć, że tej tarantuli tu nie ma? Czy ktoś się po nią zgłosił?

- Oczywiście, że pani tarantuli tu nie ma.

To *nie była moja tarantula* - chciałam powiedzieć, ale się powstrzymałam.

- Ale przecież zostawiłam ją u was, pamięta pani?

- Jason! - krzyknęła i ostrożnie odsunęła się o krok ode mnie.

Sprzedawca pojawił się wkrótce, ubrany w ten sam sweter, co ostatnio. Nie wyglądało, żeby go wyprał od poprzedniego razu. Na ramieniu miał brudną plamę, którą wytarł machinalnie, podchodząc do nas.

- Witamy ponownie. Dowiedziała się pani, co to za gatunek tarantuli? *Haplopelma minax*, prawda? A może to jakaś nowa hybryda? - zapytał.

Zmarszczyłam brwi. Spojrzałam na ich twarze. Byli przekonani, że zabrałam pająka ze sobą. Słyszałam to w ich głosach, widziałam w ich oczach. Nic nie rozumiałam. Jak mogli tak myśleć, skoro zostawiłam ją na ladzie przed nimi i wybiegłam w pośpiechu?

- Jason, pani chyba myśli, że zostawiła u nas swoją tarantulę - wyjaśniła cicho sprzedawczyni. W jej głosie wyczuwało się obawę, że mogę być wariatką. Odsunęła się ode mnie o kolejny krok.

- Co takiego? - zaczął. - Nie wiem, w co pani gra, ale...

Oni naprawdę uważają, że ją zabrałam.

-Żartowałam tylko - powiedziałam słabym głosem. -
Przepraszam... ja, ee, chciałam podziękować wam za pomoc
tamtego dnia. Miałam nadzieję, że będziecie wiedzieli, jaki to
gatunek. Nieważne - dodałam i zaśmiałam się nerwowo. -
Weźcie, proszę te świerszcze. - Wyjęłam je z torby. Nie
potrzebowałam ich, a trudno było wypuścić je na ulice
Spektora. Słyszałam, jak chrzęszczą w pudełku. - Proszę. I...
cóż... do widzenia. - Odwróciłam się na pięcie i wyszłam. Jeśli
po mojej pierwszej wizycie nie doszli do wniosku, że jestem
dziwna, to na pewno teraz tak uważali.

Szłam na stację Spring Street głęboko zamyślona. Oni byli
przekonani, że wyszłam ze sklepu, zabierając tarantulę ze sobą.
Dlaczego? Wybiegłam w popłochu, może ktoś inny ją wziął,
korzystając z zamieszania? Czy to możliwe? Kto mógłby to
zrobić? Było to co najmniej nieprawdopodobne. A jednak, nie
sądziłam, żeby tych dwoje kłamało. Coś tu się nie zgadzało.

Zeszłam po schodach na stację metra i wsunęłam bilet przy
wejściu. Pociąg przyjechał po kilku sekundach i wsiadłam do
wagonu. Jak zwykle o tej porze był wypełniony po brzegi
wracającymi z pracy.

Poczułam szarpnięcie w żołądku i podniosłam głowę.

Tam.

Pociąg ruszył i w tym momencie zobaczyłam przyglądającą
mi się kobietę. Stała na peronie, jej ciemne włosy rozwiał pęd
powietrza wywołany ruchem pociągu. Była niezwykle wysoka.
Jej twarz miała delikatne, klasyczne rysy. Oczy były ciemne i
intensywnie wpatrywały się we mnie.

Wysoka kobieta.

- Och - wyrwało mi się z ust.

Szła za mną ze sklepu zoologicznego tego dnia, gdy zostawiłam tam tarantulę. A dokładniej mówiąc, gdy myślałam, że zostawiłam tam tarantulę. A teraz była tu i patrzyła na mnie.

Miałam to okropne, zimne uczucie w brzuchu.

Chwilę potem zniknęła mi z oczu, zastąpiona migawkami betonowych ścian tunelu, gdy pociąg ruszył ze stacji. Stałam, przyklejona do szyby, wciąż mając przed oczami wysoką kobietę, której widok zmroził mnie niczym lód. Uspokoiliam się w końcu i na następnym przystanku usiadłam na wolnym miejscu. Od czasu do czasu rozglądałam się dookoła trochę spanikowana. Czułam, że ta kobieta mnie śledziła i że w każdej chwili może się pojawić na peronie, tuż za szybą. Szaleństwo. Wiem. Wreszcie dałam spokój i zagłębiłam się w książce.

Znajdowałam się dwa przystanki od mojej stacji na Sto Trzeciej Ulicy, gdy znajome zimno w brzuchu powróciło.

Tanatos. Śmierć.

Podniosłam głowę, rozglądając się wokół w poszukiwaniu śladów wysokiej kobiety. *Śledziła mnie!* Czy była w tym wagonie? Nigdzie jej nie widziałam. Próbowałam skupić się na tym, co czułam, jak mnie uczyła Celia, i zauważyłam, że tym razem uczucie było inne, chociaż trudno było to dostrzec. Pod warstwą trwogi, niebezpieczeństwa i śmierci znalazłam coś znajomego. Już zaczęłam myśleć, że to na pewno jakiś duch sięgający do mnie z tunelu metra albo uwięziony między jadącymi wagonami, gdy zdałam sobie sprawę, że dobrze wiem, kto to jest.

Atanazja.

A niech to. Najbardziej wredna supermodelka, jaką znam, ze mną w tym samym pociągu? (No dobrze, jedyna supermodelka, jaką znam). Jeśli mnie nie śledzi, to oznacza, że wskutek paskudnego zbiegu okoliczności znalazła się na tej trasie o tej samej porze, co ja. Pewnie słyszała, że Deus dowiedział się ode mnie ojej ostatnich wybrykach i ma to i owo do powiedzenia na ten temat.

Proszę, żeby to nie była ona... Proszę...

A jednak, gdy pociąg, trzęsąc się, jechał po torach, drzwi na końcu wagonu się otworzyły i weszła Atanazja, a tuż za nią pojawiły się blondynka, brunetka i ruda. Śmiały się i rozmawiały z udawaną nonszalancją, przyciągając uwagę wszystkich podróżnych, podczas gdy one same udawały, że wcale o to nie dbają. Wszystkie miały na sobie ciuchy od projektantów, zupełnie nieodpowiednie do zimowej pogody, odsłaniające umięśnione ramiona i uda. Rażąco kontrastowały z okutanymi w ciepłe szale śmiertelnikami. Blondynka ubrana była w modnie pociętą koszulę, skórzaną minispódniczkę i botki na wysokich obcasach. Ruda miała na sobie dopasowaną sukienkę bez ramion, która eksponowała jej nienaganną figurę. Brunetka założyła kabaretki, minispódniczkę przypominającą raczej przepaskę na biodra oraz jedwabną bluzkę odsłaniającą kusząco jedno ramię. Atanazja nosiła obcisłe dżinsy i skórzaną kamizelkę bez rękawów. Jej szyję ozdobiło kilka łańcuszków. Wyglądały, jakby były zespołem. A przynajmniej zespołem w rockowym teledysku.

Nowojorczyki z zasady nie przyglądają się współpasażerom w metrze. Na Manhattanie obowiązuje niepisana reguła, że nie odwzajemnia się spojrzenia obcych

w środkach transportu publicznego. Tylko szaleńcy to robią. Jednak kilku mężczyzn postanowiło złamać tę regułę. Nie było to zbyt mądre. Znad swoich telefonów, gazet czy też wyrwani z marzeń pożerali wzrokiem straszną czwórkę. Te wampirzyce na pewno nawet nie musiały za bardzo się starać, by poderwać przekąskę po zmierzchu.

Blondynka owinęła się wokół rury w wagonie, jakby to była zupełnie inna rura, roześmiała się, a potem uśmiechnęła się szyderczo do starszej kobiety, która ewidentnie uważała jej zachowanie za nieprzyzwoite.

Potrząsnęłam głową, ale nic nie powiedziałam. Ostatnią rzeczą, jakiej mi teraz potrzeba, było zmaganie się z wygłupami Atanazji. Z pewnością zdawała sobie sprawę z mojej obecności w wagonie i prawdopodobnie nawet mnie szukała. Podróżowałam tą linią niemal każdego dnia po pracy, choć dzisiaj później niż zazwyczaj. Może, skoro nie pojawiłam się o zwykłej porze w Spektorze, postanowiła przyjść i mnie nękać? Zastanawiałam się, co dokładnie planowała. Miałam, jak zwykle, kieszenie wypełnione ryżem. Wątpię, by piskłeta wyrosły z nawyku liczenia. Poradzę sobie. (Miałam nadzieję, że będą chciały uniknąć rozlewu krwi w metrze). Ale gdy wysiądę, będę miała prawdziwy kłopot.

Pociąg zwolnił, dojeżdżając do stacji (zbyt szybko, jak na mój gust), i wkrótce pojawił się peron Sto Trzeciej Ulicy. Nie opłacało się zostawać, bo znajdowałam się w Bronksie. Będę musiała zgubić tę czwórkę gdzieś na stacji albo w hiszpańskiej części Harlemu, w przeciwnym wypadku spacer przez Central Park może się okazać niebezpieczny. Ostrożnie wstałam i podeszłam do wyjścia. W mgnieniu oka znalazły się przy mnie.

- Cześć, mała kaszaneczko - wyszeptała ruda. Jej

oddech na mojej twarzy nie był przyjemny. - Ładna fryzura.
- Tak, ładne uczesanie - wtrąciła brunetka. - W stylu wiejskim.

- Możemy to zachować na inną okazję? - wymruczałam pod nosem.

Odpowiedziała Atanazja.

-Wygląda na to, że potrzebujesz eskorty. Nigdy nie dość ostrożności, gdy się idzie przez Central Park nocą. Nie powiedziałam nic więcej.

Drzwi się otworzyły i wysiadłam na wyłożony płytkami peron, kierując się do wyjścia. Cztery modnisię deptały mi po piętach razem z kilkoma śmiertelnikami. U stóp schodów przyspieszyłam, nie biegłam, ale udawałam, że muszę szybko gdzieś dotrzeć, co zresztą było prawdą. Wbiegałam po dwa stopnie, czując ból mięśni. *Dzięki Bogu za rozsądne buty - pomyślałam. I za zaburzenia piskląt.* Nim wybiegłam ze stacji, rozsypałam trochę ryżu i wmieszałam się w tłum na ulicy. Przecznicę dalej skręciłam z tętniącej życiem głównej ulicy i zatrzymałam się, by złapać oddech. Wokół pełno było sklepów i restauracji, więc weszłam do najbliższej z nich. To była maleńka pizzeria, niezbyt ciekawa ani czysta.

Postawiłam torbę na podłodze i starałam się opanować szalejące tętno.

Otoczył mnie silny aromat pizzy. Żarówka pod sufitem zamrugła. Rozglądałam się przez chwilę, aż w końcu wąsaty mężczyzna za ladą rzucił mi zniecierpliwione spojrzenie. Był ubrany w przybrudzony biały fartuch i mówił z silnym śródziemnomorskim akcentem.

- Panienska przyszła tu zwiedzać, czy co? Przeprosiłam szybko i złożyłam zamówienie.

Czekałam pod ścianą, przy śliskiej od tłuszczu ladzie, jak najdalej od okna. Moje serce wciąż waliło jak młotem.

Niestety, działało jak magnes i po kilku minutach cztery wampirzyce pojawiły się za oszklonymi drzwiami, rozmawiając bez troski, jakby przed chwilą nie liczyły ziaren ryżu na śmierdzących schodach metra. Były po prostu czterema dobrze wyglądającymi, skąpo odzianymi kobietami, które urządziły sobie imprezę na ulicach Harlemu. Obawiałam się, że impreza obejmowała także mnie. Nie miałam możliwości ucieczki.

W końcu dostałam zamówione jedzenie, na które nie miałam najmniejszej ochoty. Bez entuzjazmu zapłaciłam mocno owłosionemu mężczyźnie za ladą. Wyszłam z zatłuszczonym pudełkiem pod pachą.

- Uuu, jak tam cuchnie - powiedziała brunetka, gdy ją mijałam.

- Od pizzy się tyje, mała kaszaneczko - zadrwiła ruda. - Mam teraz poważniejsze zmartwienia niż wasza banda - wymamrotałam, idąc w kierunku parku.

Atanazja znalazła się obok mnie.

- To przestań się wtrącać w moje sprawy, ty suko - splunęła.

Jak zawsze wytworny język. Jak zawsze.

Zatrzymałam się i popatrzyłam na nią. Mój wzrok powędrował na jej szyję.

- Czekał, czy to... To biżuteria z poniedziałkowej sesji? Skąd ją masz?

Na jej szyi wisiały sznury kolorowych emaliowanych paciorków. Dokładnie takich, jakie miała na sobie modelka podczas sesji z dzianinami. Dokładnie tych, o których kradzież oskarżyła mnie Skye. Zobaczyłam małe literki C - logo firmy.

-To Chanel - odparła Atanazja, gładząc palcami swój łup.

- To nie jest twoje - powiedziałam z dezaprobatą. Odwróciłam się i ruszyłam w dalszą drogę, zaciskając mocno szczęki. - Nie mam na to czasu.

-Jeśli mówię, że to moje, to tak jest - odparła Atanazja, która dzięki niemożliwie długim nogom z łatwością dotrzymywała mi kroku.

W końcu dotarliśmy do wejścia do Central Parku, lecz wciąż miałam przed sobą długą drogę do pokonania, przez zielone trawniki i zacienione miejsca, nim dojdę do bezpiecznego mieszkania Celi. Nie mogłam się doczekać chwili, gdy wsiądę do windy. *Winda...* ? Przemknął mi przed oczami obraz Atanazji wyciągającej rękę, by zatrzymać drzwi windy. Miała tatuaż na nadgarstku. Wyglądał jak namalowana bransoletka. Teraz go nie było, widziałam to. To był tatuaż zmywalny.

-Widzę, że twój tatuaż już się zmył - zauważyłam cierpko. - Złodziejka.

Nieumarła modelka wybuchnęła śmiechem.

- Och, ale jesteś naiwna. To doprawdy wzruszające. Szłyśmy ramię przy ramieniu, mijając parkowe ławki.

- Dlaczego okradasz biuro mojej szefowej? - zapytałam. Przypomniałam sobie, jak Skye oskarżyła mnie i jak na oczach wszystkich przeszukała moją torbę. -Chociaż nie, nieważne. Nie obchodzi mnie to.

Atanazja znów się roześmiała.

-To nie jest fajne, jak ktoś rozpieprza twoją karierę, prawda?

Powstrzymałam się od wywrócenia oczami.

- Atanazjo, to nie moja wina, że zadałaś się z Krwawą Hrabinią. Od początku źle to wróżyło. Daj mi spokój!

Przyspieszyłam tak bardzo, jak tylko mogłam, nie biegnąc.

Atanazja ryknęła. Naprawdę ryknęła. Szarpnęła mnie brutalnie za ramię, a ja się potknęłam. *O rety. Zaczyna się...*

W ciągu kilku sekund rzuciła się na mnie, zbijając mnie z nóg, i razem potoczyłyśmy się po trawie. Moja torba wyleciała w górę, a pudełko z jedzeniem odwróciło się do góry nogami i otwarte upadło obok nas. Rozciągnęła mnie na ziemi, skradzione naszyjniki plątały mi się we włosach. Jej nieumarłe towarzyszkę otoczyły nas, skandując.

- Wyżerka, wyżerka, wyżerka!

-Głodna? - wysapałam. - Poczęstuj się chlebkiem czosnkowym.

Płynnym ruchem umieściłam gorący kawałek pieczywa na jej twarzy. Przyłgnęło jak kremowe ciasto do klauna.

-Auuu - wrzasnęła Atanazja, zachwiała się i upadła na kolana.

Wysunęłam się spod niej i pognałam przez trawnik w kierunku mojej torby. W zdumieniu patrzyłam, jak długi, pokryty tłuszczem kawałek chleba przyłgnął do lewej strony jej twarzy. Po prostu się przykleił i zsuwał powoli w dół. Atanazja zamarła w niedowierzaniu. Klęczała z rękami w powietrzu, jakby szykując się do jakiejś mrocznej modlitwy. Wreszcie czubkami palców chwyciła brzeg chleba i z bolesnym wyciem oderwała go od twarzy i rzuciła na trawę.

-Ty... ty suko! - krzyknęła roztrzęsiona. Wciąż się nie ruszała. Łapała rozpaczliwie powietrze, nie mogąc wydobyć słowa. Miała otwarte usta, a wypielegnowanymi dłońmi błędziła po okaleczonej twarzy. Co prawda jej skóra nie dymiała, ale wyglądała jakby, cóż... topniała. Pojawiły się na niej bąble. -

Zobacz... zobacz, co zrobiłaś! - wrzasnęła. - Patrz!

Jej oczy wypełniło coś ciemnego, coś, co zaczęło spływać po jej policzkach, gdy wrzeszczała i jęczała. *Łzy. Krwawe łzy.*

O rany.

Najwyższy czas, żebym zwiewała.

1 to szybko.

Rozdział 9

Szłam pospiesznie Addams Avenue, oczekując, że w każdej chwili złapie mnie któraś z koleżanek Atanazji. Gdy dobiegłam do apartamentu Celi, czułam się tak, jakbym wzięła udział w maratonie. Zapukałam, a potem wpadłam do mieszkania, ciężko dysząc.

-Kochanie, czy wszystko w porządku? - usłyszałam głos Celi dobiegający z fotela. Freja spała na podnóżku obok jej stóp.

Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie. Torba zsunęła mi się z ramienia na drewnianą podłogę obok moich butów. Nigdy nie czułam tak głębokiej ulgi z powodu bezpiecznego powrotu do swojego pokoju. Nawet po tym wszystkim, co przytrafiło mi się, odkąd przeprowadziłam się do Spektora, nigdy nie rozważałam powrotu do Gretchenville. A teraz zastanawiałam się, czy jestem stworzona do tego nowego życia. Zamierzałam uzbroić się w chleb czosnkowy, jeśli będę musiała tu pozostać. Drewniany kołek nie był zbyt przydatny, jak się przekonałam. Kiedy przebiłam Atanazję (co nieustannie mi wypominano), Celia spokojnie wyjaśniła mi, że kołki używane były tylko po to, żeby utrzymać wampira w jednym miejscu, by móc dokończyć rytuał - odrąbanie głowy, wepchnięcie czosnku w usta i tak dalej. *Ugh*. Nie nadawałam się na pogromcę wampirów. Nie mogłabym węc-

drować tunelami nowojorskiego metra z siekierą na podorędziu.

Coś dużego - może ptak - przeleciało za oknami mojej sypialni. Zaciągnęłam zasłony. Poszłam prosto do łazienki i umyłam ręce; raz, dwa, trzy razy, aż zmyłam z nich zapach czosnku, a widok topniejącej twarzy Atanazji na chwilę zniknął mi sprzed oczu. Odsunęłam włosy z twarzy i spojrzałam w lustro. Moje oczy były wielkie i trochę wystraszone. Tak wyglądałam coraz częściej.

Me mogę *dalej tak żyć*.

Pochyliłam się i oparłam o umywalkę. Rozmowa z Deusem trochę by mi pomogła. Ale też wiem, że mogłaby pogorszyć sytuację. A co ze zniknięciem za sprawą Atanazji różnych przedmiotów z biura Skye? Próbowала doprowadzić do zwolnienia mnie? Tak sędzę. W końcu to z mojego powodu straciła swoją pracę. Co prawda, trudno porównywać te przypadki, gdyż moja praca jest legalna, a jej wymagała dostarczania krwi. I dziewic.

- Straszne - powiedziałam na głos.

Nienawidzę sangwiników. Nienawidzę ich!

-Dlaczego nie zostawią mnie w spokoju! - krzyknęłam w odruchu rozpacz i oparłam czoło o chłodne lustro. Coś, co w nim zobaczyłam, przyciągnęło moją uwagę, powstrzymując od dalszego użalania się nad sobą. Ściana za mną stawała się biała. Nie, to nie ściana... to powietrze za moimi plecami. Poczulaam, jak tworzy się za mną chłodna mgła.

- Panno Pandoro? - powiedział porucznik Luke, zanim jeszcze się w pełni zmaterializował. Jego twarz była widoczna, ale jako odbicie w lustrze wyglądał niepokojąco blado. Był słabą, przezroczystą wersją samego siebie.

Odwróciłam się szybko w panice, lecz poza lustrem,

zauważyłam z ulgą, wyglądał mniej ulotnie. Uściskałam go i przytuliłam się do jego piersi. Był wystarczająco namacalny, bym mogła go objąć i przez chwilę właśnie to robiłam. Czułam jego klatkę piersiową pod swoim policzkiem, szorstki w dotyku mundur. Uniósł dłoń i delikatnie pogłaskał mnie po włosach.

- Panno Pandoro, czy wszystko w porządku? - zapytał. Przesunęłam ręce na jego talię, kładąc je na skórzanym pasie spinającym mocno jego płaszcz.

- Panno Pandoro, nie zamierzasz wyjechać, prawda? Zacisnęłam mocno powieki i ciepłe łzy zawisły na moich rzęsach.

- Po prostu mnie przytul - wyszeptałam.

Staliśmy tak przez chwilę. Nie otwierałam oczu. Stałam nieruchomo. On milczał.

Rozległo się pukanie do drzwi pokoju.

Westchnęłam. Celia będzie chciała sprawdzić, czy nic mi nie jest. To niepodobne do mnie, by zamykać się w pokoju. Uwolniłam się z kojącego uścisku Luke'a i wyszłam z łazienki.

- Celia?

-Tak, kochanie, to ja - powiedziała zza drzwi.

Z jakiegoś powodu poczułam nagle połączoną z wyrzutami sumienia ochotę, by ukryć Luke'a, jakbym była nastolatką przyłapaną na całowaniu się z chłopakiem w swoim pokoju. Tylko że Luke nie był chłopakiem, a ja byłam jedyną osobą, która mogła go zobaczyć. W takich chwilach czułam smutek z powodu jego odmienności. Dla mnie był rzeczywisty, a jednak wiedziałam, że żyjemy w różnych światach. Z nim nigdy nie mogłabym robić tego, co z normalnym, żyjącym facetem. Nie moglibyśmy iść ulicą, trzymając się za ręce.

Ani pójść do kina. Nie mogłabym przedstawić go moim przyjaciółom. (Nie sugeruję, że mam ich wielu). Nie mogłabym nawet przedstawić go Celi. A poza tym... były jeszcze inne rzeczy - których pragnie normalna kobieta. Przy nim te marzenia nie mogły się ziścić.

Byłoby miło znać go w ludzkiej postaci.

Luke zmaterializował się przy drzwiach łazienki i wymieniliśmy spojrzenia. Usiadłam na łóżku.

- Wejdz, proszę - powiedziałam. Chwyciłam stary numer „Vogue'a”, jeden z tych, które Celia zostawiła przy moim łóżku, bym mogła szukać inspiracji, i udawałam, że czytam.

Drzwi się otworzyły.

- Kochanie, widzę, że jesteś zdenerwowana - powiedziała. - Mogę usiąść?

- Oczywiście - skinęłam.

Zauważyłam, że od mojej ciotecznej babki bije jakaś łuna. Jej twarz, ukryta jak zwykle pod woalką, jaśniała. Pomalowała usta czerwoną pomadką i założyła cienkie skórzane rękawiczki, które dodawały jej elegancji. Po raz kolejny sprawiała wrażenie, jakby wybierała się na ważne spotkanie z mężczyzną podobnym do Cary'ego Granta lub Humphreya Bogarta.

-Pięknie wyglądasz - odezwałam się. Nie chciałam opowiadać jej o moich kłopotach z Atanazją, bo powiedziałyby o tym Deusowi, a to pogorszyłoby tylko sytuację.

- Masz gościa - odparła spokojnie. Ja mam gościa?

- Przyszedł Deus.

Przeszedł mnie dreszcz. Luke rzucił Celi surowe spojrzenie, którego, naturalnie, nie odwzajemniła.

- Myślę, że wiesz dlaczego - dodała.

Incydent z chlebem czosnkowym. *Wieści szybko się rozchodzą.*

-To ważne, żebyś teraz to wyjaśniła - powiedziała łagodnie.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Wciąż byłam roztrzęsiona. Nie byłam gotowa na gości takich jak Deus, z jego dziwną hipnotyzującą twarzą.

Luke zmarszczył brwi. Podszedł bliżej i obronnym gestem położył mi dłoń na ramieniu. Moja cioteczna babka nie mogła go zobaczyć.

- Jesteś pewna, że to konieczne?

-Ee, jesteś pewna, że to konieczne? - zapytałam Celię, świadoma groteskowości sytuacji. Wiedziała, że mam przyjaciela-ducha, ale nie wiedziała, że jest on w tej chwili obok mnie. Czy powinnam jej o tym powiedzieć, z uprzejmości? Zastanawiałam się.

- Obawiam się, że tak - odparła. - Lepiej rozwiązać problem od razu.

Wiedziałam, że opór nie ma sensu.

- Za kilka minut będę gotowa - powiedziałam.

- Naturalnie, kochanie. I jeszcze jedno, powiedz swojemu przyjacielowi - on tu jest, prawda? - powiedz mu, że najlepiej będzie, jeśli pójdziesz sama.

Zaczerwieniłam się po czubki uszu.

Instynktownie spojrzałam w górę, na Luke'a.

Celia podążyła za moim wzrokiem, lecz spojrzała przez niego, na szafę. Powiedziała mi, że nie ma daru widzenia duchów, a jednak w jakiś sposób wiedziała, że on tu jest. Może słyszała nasze głosy, zanim zapukała. Albo, co bardziej prawdopodobne, czytała w moich myślach.

* * *

Dziesięć minut później wyszłam z pokoju w miarę opanowana. Umyłam zęby, uczesałam się i wzięłam głęboki oddech. Luke był wciąż w moim pokoju, a gdy wychodząc, spojrzałam na niego przez ramię, zobaczyłam, że krąży nerwowo po pokoju. To urocze, pomyślałam.

- Lubisz go, prawda? - zapytała Celia po cichu, gdy do niej podeszłam.

- Tak - odparłam z głębokim smutkiem. Wiedziałam, że porucznik Luke był rzeczywisty, a przynajmniej na tyle rzeczywisty jak może być duch, a jednak nie był prawdziwym człowiekiem.

- Bardzo ci pomaga, tak? - delikatnie wypytywała. -Tak - odpowiedziałam.

- Jest przystojny. Tyle wiem - stwierdziła, a ja zarumieniłam się jeszcze bardziej. - Powiedz, jak jest ubrany? W mundur? Skinęłam.

- Zginął w wojnie secesyjnej. Miał stopień podporucznika w Kawalerii Lincolna. Czasem myślę, że on rozumie, co się tu dzieje, rzeczy, o których mi opowiadasz.

-To bardzo dobrze. - Na chwilę się zamyśliła. Żałowałam, że nie potrafię czytać w jej myślach tak jak ona w moich. Dłonie w rękawiczkach chwyciły mnie za nadgarstki. Cienka skóra była miękka w dotyku. - Porozmawiamy o tym później. Deus już czeka na ciebie.

Poszłam za nią do kuchni, gdzie wręczyła mi srebrną tacę już zastawioną filiżankami i imbrykiem. Z ulgą zobaczyłam na niej trzy filiżanki. Celia podeszła pod drzwi swoich pokoi, a ja tuż za nią. Otworzyła drzwi kluczem. W małym pokoju znów paliły się świece, a wokół stolika ustawione były fotele. Deus już tam był, wstał żeby nas

powitać. Tym razem także był ubrany w garnitur, a jego fryzura była nienaganna. Jednakże, ku mojemu przerażeniu, nie był sam.

Atanazja.

Nie!

-Wejdz - wyszeptała moja cioteczna babka, zachęcając, bym ruszyła do przodu.

Jak robot zesłam po małych kamiennych schodkach, niosąc tacę. Celia zamknęła za mną drzwi i przez krótką chwilę myślałam, że dostanę ataku klaustrofobii - co ostatnio zdarzało mi się dość często. Uczucie to niewątpliwie miało swoją przyczynę w tym, że byłam zamknięta w ograniczonej przestrzeni z dwoma wampirami; jednym o starożytnym pochodzeniu, posiadającym nade mną magnetyzującą władzę, i drugim, który ostatnio próbował poderżnąć mi gardło. Jak Celia mogła mi to zrobić?

Deus przywitał się ze mną przyjaźnie uściskiem chłodnej dłoni i uśmiechnął się jak prawdziwy katan.

-Pandoro, dziękuję, że zechciałaś się ze mną spotkać. Pamiętaj Atanazję.

Skinęłam głową. Tak, naturalnie, że ją pamiętałam.

- Pozwól, że to wezmę - powiedział, biorąc z moich rąk tacę. - To bardzo miłe z twojej strony - dodał, jakby to nie Celia zadbała o przygotowanie herbaty. - Usiądź, proszę.

Zauważyłam, że niski okrągły stół miał wyrzeźbiony pentagram. Zrobiłam jeden krok i zatrzymałam się.

Wygląd Atanazji był dość szokujący. Nawet w słabym świetle świec widziałam, że połowa jej twarzy miała okropne blizny i wgłębienia tam, gdzie skóra miała kontakt z pieczywem czosnkowym. Ciasno oplotła się ramionami i skrzyżowała nogi. Zacisnęła szczęki. Patrzyła na mnie ponuro, jej czarne oczy miały czerwone ob-

wódki. Gapiłam się na jej zniszczoną skórę i zrobiło mi się niemal jej żal. *Niemal*

-Usiądź, proszę, Pandoro - powtórzył Deus.

W pobliżu drzwi stał wolny fotel. Usiadłam, powoli zginając kolana, instynktownie unikając gwałtownych ruchów, jakby Atanazja była dziką panterą albo wilkiem, który w każdej chwili może zaatakować. Przycupnęłam na brzegu fotela. Po chwili odruchowo poklepałam się po kieszeniach, szukając ryżu, ale oczywiście nie miałam go przy sobie. To było przeoczenie. Ale skąd mogłam wiedzieć, że moja nemezis tu będzie? Jak się tu dostała? Domyślałam się, że ten pokój nie był pierwotnie częścią mieszkania, stąd te stopnie i kamienne ściany oraz podłoga. Czy był to swego rodzaju przedsionek łączący mieszkanie z innym pomieszczeniem? Czy Atanazja weszła tu przez trumnę razem z Deusem? Czy moja cioteczna babka była bezpieczna z tymi sangwinikami krążącymi wokół jej domu?

-Jak widzisz, Pandoro, Atanazja odniosła poważne obrażenia twarzy - zaczął Deus nienaturalnie uprzejmie.

Spojrzałam na nią jeszcze raz. Atanazja milczała, wyraźnie wściekła. Jej blizny przypominały stopiony plastik. Lub pizzę. Zastanawiałam się, jak długo będą się goić. A może rany sangwiników nie goiły się tak szybko, jak rany wampirów w filmach? Z przebicia żelaznym prętem wyszła obronną ręką, pomyślałam. Byłam niemal pewna, że zagojenie jej ran po okładach z pieczywa czosnkowego potrwa i tak krócej, niż trwałoby leczenie moich ran po jej śmiertelnym ugryzieniu.

-Tak - odpowiedziałam w końcu, choć słowa były ledwo słyszalne. - Widzę.

- Ona twierdzi, że ty jesteś za to odpowiedzialna.

Otwarłam usta ze zdumienia.

-Odpowiedzialna? Ona próbowała mnie dziś zabić, gdy tylko wysiadłam z metra! Śledziła mnie ze swoimi przyjaciółkami.

-Czy to prawda? - zapytał Deus Atanazję cichym głosem.

- Rozmawialiśmy - odparła cicho.

- Rozmawialiśmy? Jasne. - Potrząsnęłam głową.

- Byłaś dziś na stacji metra? - zapytał ją Deus.

- Zbieg okoliczności. Wsiadłyśmy do tego samego pociągu.

Och, proszę.

-Szczerze wątpię, że to przypadek i na pewno nie była to zwyczajna rozmowa - powiedziałam. - Próbowała mnie zabić.

Czułam się jak na dywaniku u dyrektora szkoły. Tyle, że miejsce dyrektora zajmował wiecznie uśmiechnięty nieumarły. On też prawdopodobnie dopiero co powstał z trumny. Aż strach pomyśleć, jaki areszt mógł dla nas wymyślić.

Atanazja wciąż miała skrzyżowane ramiona i patrzyła w bok. Wiedziałam, że Deus jest bardzo potężny i jeśli miała posłuchać kogokolwiek to właśnie jego, lecz pomysł, że miałyby wyznać mu prawdę, był surrealistyczny. Jakby Atanazja potrafiła być szczerą!

- Zamierzałaś się nią pożywić? - naciskał Deus.

- To nie wszystko - przerwałam mu. - Atanazja próbowała mnie zabić. Tak po prostu.

- Och, błagam. To żalosne - odparła Atanazja. Skrzyżowałam ramiona.

-Ukradła różne rzeczy z mojej redakcji. Bizuterię Chanel, którą ma na szyi, i zmywalne tatuaże, które

ostatnio widziałam na jej ręce. Ukradła je. Chce, żeby wyrzucono mnie z pracy.

Słyszając to, Atanazja poderwała się z miejsca i oskarżycielsko wycelowała we mnie palec. Stłumiłam krzyk i ze strachu niemal podskoczyłam w swoim fotelu. Z tak bliskiej odległości była naprawdę przerażająca, chciałam zerwać się i uciec z pokoju.

-Ona przebiła mnie żelaznym prętem - wrzasnęła Atanazja. - Zabiła moją pracodawczynię i przebiła mnie!

To była prawda.

- Działając w samoobronie - zdołałam wykrztusić. -Ile razy mam to wyjaśniać? W samoobronie.

Widziałam, że wprost kipiała ze złości. Zaczęła odsłaniać kły - wielkie białe kły. Ale już się nie bałam. Nie zamierzałam się cofać. Skrzyżowałam ramiona i wytrzymałam jej twarde spojrzenie.

- Rozmawialiśmy o tym, Atanazjo - upomniał ją spokojnie Deus.

Oskarżycielski palec zamknęła w zaciśniętej pięści. Straciła nieco pewność siebie pod wpływem Deusa, aż w końcu usiadła i ponownie skrzyżowała ramiona. Kły schowała za wargami. Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza, a potem Atanazja znów się odezwała, tym razem mniej zapalczywie:

- Daj spokój. Ona nie może być Siódmą. Spójrz na nią - powiedziała, lecz zdawała się tracić resztę pewności siebie, może zadziałało tu spokojne spojrzenie Deusa. Wreszcie opadła na oparcie i zamilkła.

Co moje przeznaczenie jako Siódmej miało z tym wspólnego?

-Atanazja nie skrzywdzi cię - zapewnił mnie Deus, dając do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

- Dobrze - odparłam. - Chcę też, żeby przestała okradać moje miejsce pracy.

Odwrócił się do Atanazji, lecz ona nic nie powiedziała. Jej wydatne usta wykrzywiły się w grymasie.

-A ty już więcej jej nie zdeformujesz? - zapytał.

-Jeśli zaatakuje, będę się bronić - odpowiedziałam twardo. - Ale ona ma oddać biżuterię, którą ma na sobie. - Wyciągnęłam rękę.

Na te słowa Atanazja wyprostowała się w fotelu i spojrzała na mnie. Zimny, wyrachowany uśmiech zagościł na jej pełnych wargach.

- Nie ukradłam tego. To prezent - odparła, dotykając wypielęgnowaną dłońią emaliowanych paciorków wokół swojej szyi.

Prezent?

- Na kim żerujesz? - zapytał Deus.

- Nie twoja sprawa. *Przypomniałam sobie coś.*

- Żerujesz na mojej szefowej, tak? Na Skye! Apaszki, które Skye codziennie nosiła w pracy. Jej spóźnienia. Bładość.

Atanazja uśmiechała się do mnie.

-Nie atakuję jej. Sama do mnie przychodzi.

Mój Boże. To Skye była śmiertelną, którą Luke widział w budynku tamtej nocy. Atanazja z pewnością ją zahipnotyzowała, zapewniając sobie stałą dostawę pożywienia!

- Niewiarygodne. - Odwróciłam twarz z obrzydzeniem.

Dziwny, fascynujący uśmiech nie schodził z ust Deusa. Nie wyglądał na zaskoczonego.

-Wiedziałaś o tym? - wybuchnęłam, a potem ugryzłam się w język. *Oczywiście, że wiedział.*

- Żywnienie bez uśmiercania jest wręcz zalecane - odparł.

Zamrugałam. *Racja. Lepsze to niż alternatywa. Rozumiem.* Poczulałam przyływ siły.

-Nie zamierzam zachęcać do żywienia z uśmiercaniem, ale czy jest jakiś sposób na to, by ona zostawiła moją szefową w spokoju? A może przy okazji i mnie, jeśli już o tym mowa? - Zmrużyłam oczy, patrząc na Ata-nazję. - I niech nie myśli, że tylko na to mnie stać - dodałam, wskazując na jej zdeformowaną twarz. - Jestem Siódmą. - Nigdy wcześniej nie powiedziałam tego na głos i szczerze mówiąc, nie wiedziałam, co to oznacza, ale Celia twierdziła, że to ważna funkcja i wyglądało na to, że zrobiłam na obojgu wrażenie. Słuchali mnie. Ciemne oczy Atanazji rozszerzyły się i szybko spuściła wzrok.

-Atanazja przestanie żywić się twoją szefową - powiedział Deus.

- Dobrze.

To było dla mnie bezcenne - zobaczyć przygnębioną Atanazję. Z pewnością uważała, że wygrała w totka, gdy zatopiła zęby w szyi Skye - miała pożywienie i bezpośredni dostęp do darmowych próbek od projektantów. A Skye niczego nie pamiętała. Straszne. Atanazja może i była jeszcze pisklęciem, lecz zdolności hipnotyczne miała wielkie. Wyciągnęłam rękę.

- Naszyjnik.

Ociągając się, Atanazja rozpięła naszyjnik Chanel i wręczyła go Deusowi, który położył go delikatnie na mojej dłoni.

- Obiecujesz, że więcej jej nie zdeformujesz? - upewnił się.

Jej twarz wyglądała naprawdę źle. Zniekształcona skóra połyskiwała czerwono w blasku świec.

-Pod warunkiem, że ona obieca, iż nie będzie próbowała mnie zabić. I że zostawi mnie i moją szefową w spokoju.

- Zrobisz to, Atanazjo? Przytaknęła.

- Zatem postanowione.

-I jeszcze jedno - dodałam, zaskoczona moją nagłą pewnością siebie. Miałam jeszcze jedno pytanie. Wydawało się, że to Atanazja jest przyczyną wszelkich problemów. - Chcę wiedzieć, czy ona albo jej przyjaciółki mają coś wspólnego z zaginięciem projektantów?

Atanazja spojrzała na mnie zdziwiona.

- Co takiego?

- Sandy Chow? Wiktor Mai? - naciskałam.

- Kto taki?

Zorientowałam się, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

- Nieważne.

-W porządku. A teraz odejdźcie w pokoju - powiedział Deus do nas obu.

W pokoju? Czy sangwinik mógł odejść w pokoju? Deus, zdaje się, był do tego zdolny. Aż trudno uwierzyć, że oboje należeli do tego samego gatunku. Atanazja wstała i skłoniła się przed Deusem. Nie byłam pewna, czy i ja nie powinnam tak postąpić - choć nigdy wcześniej tego nie robiłam. Wstałam z fotela i obserwowałam ich wymianę uprzejmości z zainteresowaniem.

- Atanazjo, zejź pod ziemię na jakiś czas - powiedział Deus, a jej twarz poszarzała. A dokładniej, połowa jej twarzy. Skinęła głową i wycofała się z szacunkiem, co

było dość niezwykle. Podeszła do trumny, otworzyła ją i zostawiła nas samych.

Muszę przyznać, że widok Atanazji odchodzącej jak niepyszna sprawił mi niemałą przyjemność. *Udław się* -pomyślałam. Szczerze mówiąc, trochę zaskoczyła mnie ta reakcja. Nigdy nie uważałam się za osobę, którą ucieszy cudza porażka. To było niegodziwe.

-Już nie będzie cię niepokoić - powiedział Deus po chwili.

- Przez jakiś czas, na pewno - odparłam. Pokiwał głową w zadumie.

- Pandoro, czy mogę cię jeszcze na chwilę zatrzymać? Zatrzymać?

-Jasne.

- Jest jeszcze coś, o czym chciałem z tobą porozmawiać.

Ponownie wskazał fotel, więc usiadłam zaintrygowana. Czulałam się coraz pewniej w jego obecności, tak jak obiecała Celia, ale nie chciałam doświadczyć tego, co potrafi.

-Twoja cioteczna babka wspomniała, że masz tu przyjaciela. Mówiła, że nie może opuścić murów tego budynku.

Porucznik Luke.

Wyprostowałam się.

-Tak. Tak, to prawda - powiedziałam. - Może wiesz coś o nim? To podporucznik Luke Thomas.

- Sądzę, że wiem coś, co może mieć znaczenie. - Deus pochylił się, a ja spojrzałam w jego oczy, podziwiając długie rzęsy. Choć lepiej panowałam już nad sobą, wciąż daleko mi było do pełnej odporności na otaczającą go aurę siły i energii. - Na pewno wiesz, że ten bu-

dynek jest znany w Spektorze. Jego architekt i pierwszy właściciel, doktor Barrett, był dość niezwykłym człowiekiem i przeprowadzał niezwykle eksperymenty.

-Tak - potwierdziłam. Słyszałam wiele makabrycznych opowieści. W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku Barrett był jednym z założycieli Światowego Towarzystwa Badań nad Parapsychologią, zajmującego się telepatią, zdolnościami parapsychicznymi, widzeniami duchów i tak dalej.

- Pandoro, niektóre z tych eksperymentów dotyczyły nekromancji - powiedział Deus.

Uniosłam brwi.

- Wskrzeszanie umarłych? - zapytałam.

Z tego, co wiedziałam, nekromancja polegała na wskrzeszaniu zmarłych po to, by przepowiedzieć przyszłość. Przepowiednia ciała. Pozbawione ciała dusze wędrowały swobodnie, nieograniczone ziemską powłoką, dzięki czemu mogły wejść w posiadanie tajemnic dotyczących przyszłości, ukrytych prawd o przeszłości, prawdziwych przyczyn ich śmierci lub śmierci innych osób. Mój związek z Lukiem także na tym się opierał. On posiadał ogromną wiedzę, lecz nie mógł wyjawiać przede mną sekretów zmarłych. Nekromancja wraz z czarami i innymi praktykami okultystycznymi była surowo potępiona przez Kościół. Środowisko wiktoriańskie z pewnością nie pochwalało eksperymentów Barretta.

-Barrett miał zwyczaj używać w tym celu zwłok -ciągnął Deus. Pomimo makabrycznej treści rozmowy uśmiech wciąż gościł na jego ustach.

Skrzywiłam się.

- Używał ciał zmarłych? - Najwyraźniej obecność medium i przywoływanie energii ze starej obrączki ślub-

nej mu nie wystarczało. - Ale przecież nie mógł użyć... szczątków Luke'a. On zginął podczas wojny secesyjnej - zaprotekowałam. - Był w stopniu podporucznika. Był bohaterem wojennym. - Nie wiedziałam, czy na pewno zasłynął w walce, ale tak właśnie o nim myślałam. Deus wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien, gdzie porucznik został pochowany ani czy jego szczątki zostały właściwie złożone do ziemi, ale w czasach wiktoriańskich kwitł podziemny handel ciałami.

Przerażające. Pomyślałam o sklepie niedaleko redakcji „Pandory” i o czaszce, którą chciała mieć Morticia. Jaka część duszy zawarta była w tych kościach? Co się działo, jeśli ktoś nie został „właściwie pochowany”?

- Żołnierzy uważano za silne dusze - powiedział. - Wystarczająco silne, by podróżować w zaświaty i z powrotem.

Gdy wyszłam z pokoju, niosąc srebrną tacę, moja cioteczna babka czekała już na mnie. Zamknęła drzwi na klucz i zaprowadziła mnie do kuchni. Kręciło mi się w głowie od wszystkiego, czego się dowiedziałam. Zastanawiałam się, czy będę w stanie zasnąć. Postawiłam tacę na blacie kuchennym. Prawie nie tknęłam herbaty, ale czułam się pobudzona.

- Czy Atanazja może tu teraz wejść? - zapytałam. - Do mieszkania? Ponieważ została zaproszona do tamtego pokoju?

- Nie - zapewniła mnie Celia. - Nie może. Sangwinicy nie są tu zaproszeni.

- Czy dlatego właśnie zamykasz drzwi na klucz? Żeby tu nie weszli?

Uśmiechnęła się.

- Nie mogą przekroczyć progu. To zabronione.

To była jedna z tych nadprzyrodzonych zasad. Czasem nie rozumiałam, o co w nich chodziło. Oczywiście, o jednej Celia już wspominała. Zgodnie z tym, co mówiła, ze wszystkich bzdur, jakie opowiadano na temat sangwiników, akurat konieczność otrzymania wyraźnego zaproszenia była prawdą. I jeszcze kły. Tak, one były bardzo prawdziwe.

-Już czas, żebym dała ci klucz. Jesteś tu wystarczająco długo, żeby zrozumieć zagrożenie.

Ku mojemu zaskoczeniu wyciągnęła klucz i wcisnęła mi go w dłoń. Zamrugałam. Czy to znaczyło, że mogłam wejść do jej pokoju i zbadać ukryte schody?

-Dziękuję. Doceniam, że mi go dajesz - powiedziałam. Wyglądało na to, że zdałam jakiś test. Wsunęłam klucz do kieszeni.

- Może pasować do kilku drzwi w tym domu. Uniosłam brwi. Wytrych? Czyżby dawała mi pozwolenie na poznawanie budynku?

Celia zdjęła skórzane rękawiczki i wstawiła filiżanki do zlewu, zamierzając pozmywać.

-Nie, nie. Pozwól, ja to zrobię - powiedziałam, zajmując jej miejsce. Cieszyłam się, że mogę się na czymś skupić. Moje ciało było naładowane negatywną energią, a w głowie miałam mętlik. Wylałam herbatę i nalałam wody do zlewu.

- Czy Deus rozmawiał z tobą o eksperymentach nekromanckich? - zapytała.

Skinęłam w milczeniu głową, sięgając po płyn do zmywania naczyń. Trudno było mi to ogarnąć. Przede wszystkim moje uczucia do Luke'a były już wystarczająco

skomplikowane bez wyobrażania sobie jego zwłok, poniewierających się gdzieś w budynku lub gdziekolwiek. Nie potrafiłam tak o nim myśleć. Dla mnie nie był martwy.

Ciotka Celia, nic nie mówiąc, patrzyła zamyślona, jak zmywam filiżanki i wytarte ustawiam w szafce kuchennej. Kiedy skończyłam, zaprowadziła mnie do swojego fotela w salonie. Usiadłam na skórzanym podnóżku. Freja, mrucząc, kręciła się wokół moich nóg. Celia usadowiła się na szerokim podłokietniku fotela, niemal instynktownie przybierając pozę korzystnie eksponującą jej sukienkę. Wyglądała jak na zdjęciu z pisma o modzie w 1949 roku. Niektóre przyzwyczajenia chyba nie znikają.

-Wiem, że masz za sobą trudny wieczór - zaczęła -ale chcę omówić z tobą coś ważnego. Lepiej żebyśmy porozmawiały teraz.

Przytaknęłam. W głowie kłębiły mi się różne myśli.

- Posłuchaj mnie uważnie. Kiedy tu przyjechałaś, powiedziałaś ci, żebyś pod żadnym pozorem nie zaglądała na inne piętra budynku.

- Pamiętam. To z powodu sangwiników - odparłam. Pewnego dnia wbrew jej zakazom poszłam na inne piętro i cudem uniknęłam ugryzienia.

-Tak, chodziło o zagrożenie ze strony sangwiników. Ale to nie jedyny powód - odpowiedziała. *Nie jedyny?*

-Pandoro, w tym budynku znajdują się przejścia, o których nie masz pojęcia.

Pomyślałam o trumnie na podłodze w jej pokoju i ukrytych w niej schodach.

-Chciałam cię zapytać, dokąd prowadzą schody w trumnie - przyznałam. - Wychodzą na półpiętro czy...?

-To jedno z wielu przejść. Doktor Barrett kierował się tajemniczymi pobudkami, gdy budował to miejsce. Możliwe, że chciał utrzymać w tajemnicy przed resztą świata, a zwłaszcza przed swoją żoną, niektóre ze swoich eksperymentów. Podobno była bardzo wrażliwa, a jego praca kryła wiele mrocznych sekretów. Parał się rzeczami, których środowisko wiktoriańskie nie pochwalało. Zakazanymi rzeczami. Nekromancja była jedną z nich.

Przełknęłam głośno ślinę. Celia już wspominała, że Barrett pochodził z bogatej i prominentnej rodziny, lecz nawet to nie wystarczyłoby, aby ochronić go, gdy jego eksperymenty wykroczyły poza normy i ideały jego środowiska. Został wyrzucony ze Światowego Towarzystwa Badań nad Parapsychologią. Jeśli miał w zwyczaju nabywać skradzione zwłoki, byłam w stanie zrozumieć, dlaczego to robił.

-Wykorzystywał ciała - powiedziałam z obrzydzeniem. - Tak powiedział Deus.

- Zgadza się - potwierdziła Celia. - Zatem używał tego domu, by w tajemnicy przeprowadzać swoje eksperymenty. Ukryte drzwi i tajemne przejścia są pozostałościami z tego okresu, Pandoro. Jesteś tu wystarczająco długo, aby mieć prawo poznać budynek. Szczerze mówiąc, wiem, że i tak to zrobisz.

Poczułam, że się rumienię.

-W końcu i tak znajdziesz te ukryte miejsca. Lecz są pewne rzeczy, o których powinnaś wiedzieć, zanim to zrobisz. Jeśli zaczniesz myszkować po budynku, musisz być ostrożna. Czają się tu różne niebezpieczeństwa.

Wyobraziłam sobie, jak wchodzę do pokoju, w którym roi się od wampirów.

- Będę myszkować za dnia.

Potrząsnęła głową.

- Niekoniecznie. Zdziwiłam się.

-Zatem sangwinicy nie stanowią zagrożenia? W takim razie, co nim jest?

- Niebezpieczeństwa, o których nawet ja nie mam pojęcia.

Byłam zdumiona. Wyglądało na to, że niewiele było rzeczy, o których moja cioteczna babka nie wiedziała. Co takiego kryło się w tym budynku, o czym mogła nie wiedzieć? Ta myśl nieco przerażała.

- Najlepiej zrobisz, słuchając swojego przewodnika -dodała.

- Jest tu przewodnik? Jakaś mapa?

- Nie, nie mapa. To twój przyjaciel, żołnierz. Sądzę, że jest twoim przewodnikiem.

Nic innego nie było mnie w stanie bardziej zadziwić. *Luke? Przewodnikiem?* No oczywiście. Znał ten budynek od podszewki, prawda?

-Nie sądz, że wie o tym miejscu wszystko - ostrzegła mnie Celia, czytając w moich myślach. Byłam tego pewna. - I nie zakładaj, że będzie w stanie powiedzieć ci wszystko, co wie. Niektórych rzeczy nawet on jeszcze nie odkrył. Może ty pomożesz mu znaleźć to, czego szuka.

Otworzyłam usta, by zapytać, o jakie rzeczy chodzi, ale zacisnęła mocno dłoń na moim kolanie i mówiła dalej. Miała mi dużo do powiedzenia.

- Mam coś dla ciebie - powiedziała i wyjęła coś z kieszeni jedwabnej sukni.

Trzymała w dłoni jakiś mały przedmiot i na chwilę zamknęła oczy, po czym je otworzyła i spojrzała na mnie niezwykle poważnie. Gdy rozwarła zaciśniętą dłoń, zo-

baczyłam złoty pierścionek z czarnym kamieniem. Wyglądał na bardzo stary i delikatny.

-Ten pierścionek jest wyjątkowy. Chyba należy do ciebie - dodała Celia.

- Należy do mnie? - W poprzednim życiu zaprotestowałabym, że nigdy nie widziałam go na oczy i w takim razie nie może być mój, ale przywykłam już do sposobu wyrażania się Celi. Wierzyła w predestynację. Ten pierścionek, jej zdaniem, był przeznaczony dla mnie. Ale dlaczego tak uważała, to już była inna sprawa. - Jest śliczny. Z czego jest zrobiony? Czy to gagat? - zapytałam.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Lubię mój gagat z Whitby, ale nie, to nie jest gagat. Popatrz, jak błyszczy. Spójrz w głąb kryształu.

Zrobiłam, jak kazała. W głębokiej czerni zdawała się połyskiwać malutka iskierka energii.

-To oczy zmarłych faraonów, oczy Moai na Wyspie Wielkanocnej, czarne jak ich dusze, lecz wciąż zawierające iskrę życia. - Uniosła pierścionek w bladej dłoni, a czarny kamień rozbłysnął blaskiem. - Symbol odrodzenia i ochrony używany przez wieki w talizmanach i amuletach, by wywołać energię duszy i bezpiecznie połączyć się z ziemską duszą.

- Czarny obsydian - powiedziałam z podziwem. Skinęła głową.

-Bardzo dobrze. Ten pierścionek należał do twojej praprababki Madame Aurory. Czekał na ciebie, Pandoro. Będzie ci towarzyszył i cię chronił - dodała, wręczając mi go.

- Należał do Madame Aurory?

Celia pokazała mi wycinki prasowe z czasów jej niesławnej kariery w cyrku Barnuma i Baileya. Swego czasu

była utalentowanym medium i pochodziła z rodu Lucasta tak jak ja. Podobno potrafiła siłą woli przemieszczać przedmioty. To musiał być niezwykły widok dla przeciętnego człowieka. Wyobrażałam sobie karty tarota przelatujące obok zdumionych twarzy oraz klientów, którym w tajemniczy sposób nagle zabrakło pieniędzy. W mojej rodzinie kobiety obdarzone były niezwykłymi zdolnościami. Z nieznanych mi przyczyn moja matka nigdy nie opowiedziała mi o Madame Aurorze. Próbowwała mnie chronić przed historią rodziny.

-Czuję się zaszczycona. Jest piękny...

Trzymałam go ostrożnie i przyglądałam się z zachwytem. Oprawa z bladego złota wykuta została dawno temu, to było pewne. Misterne rzeźbienia wyglądały niemal jak stopiony воск i pokrywała je patyna, lecz sam kryształ błyszczał jasno. Nie mogłam oderwać oczu od głębi atramentowej czerni ani od światełka połyskującego w jego wnętrzu. Wydawał się przepełniony tajemniczą energią.

- Nie wiem, co powiedzieć. Jest naprawdę cudowny. Celia przytaknęła.

-No dalej.

Wsunęłam delikatnie pierścionek na serdeczny palec. Pasował idealnie.

- Proszę. Zobacz, wygląda, jakby zawsze tam się znajdował, prawda? Nie zdejmuj go nigdy, Pandoro.

Skinęłam głową, wciąż się w niego wpatrując. Czy to moja wyobraźnia, czy kryształ wydawał się ciepły?

-A teraz posłuchaj mnie uważnie, Pandoro. - Celia spoważniała. Wpatrywała się we mnie z niezwykłą intensywnością. - Nigdy nie schodź poniżej poziomu laboratorium Barretta w piwnicy, pod żadnym pozorem.

- Tam jest piwnica?
 - Podobno tak.
 - To tam był pożar? Pożar, w którym zginął Edmund Barrett? Przytaknęła.
 - Ale ty nigdy nie widziałaś tego laboratorium?
 - Ten dom nie odsłonił przed mną wszystkich swoich tajemnic. Ale wiem jedno, Pandoro - nigdy nie schodź poniżej laboratorium. Jeśli odkryjesz przejście, które prowadzi do podziemi, nie schodź tam. Słyszysz? Nawet ze swoim przewodnikiem.
 - Dobrze. Ale skąd będę wiedziała, że znalazłam laboratorium?
 - Będiesz wiedziała.
 - Ale jeśli nawet ty go nie widziałaś, skąd masz pewność, że ja będę wiedziała, że je znalazłam? - zapytałam.
 - Będiesz wiedziała.
- Obie milczaliśmy przez chwilę.
- Luke jest moim przewodnikiem? - spytałam w końcu. Skinęła głową.
 - Siódma zawsze miała duszę przewodnią. I osobisty talizman.
- Spojrzałam na pierścionek. Mój talizman?

Rozdział 10

Obudziłam się wczesnym rankiem w piątek, gdy blade promienie słońca zajaśniały na suficie w moim pokoju. Włosy miałam rozrzucone na poduszce, dłonie schowane pod policzkiem, a ciepła kołdra okrywała mnie aż po szyję. *Pierścionek z obsydianem.*

Podniosłam prawą rękę, poruszyłam palcami i przyjrzałam się fascynującemu, nowemu nabytkowi na moim serdecznym palcu. Kiedy go założyłam wczoraj, kryształ wydawał mi się ciepły, ale teraz czułam przyjemny chłód na skórze. Nic się natomiast nie zmieniło w intrygującej głębi czarnego kryształu ani w zadziwiającej iskierce w jego wnętrzu.

To był mój osobisty talizman?

Ciekawa byłam, jak trafił do Madame Aurory. Dostała go w spadku po kimś z rodu Lucasta? A może kupiła od egzotycznego handlarza? Nie wiedziałam zbyt wiele o mojej praprababce i interesowały mnie jej zdolności. Czy naprawdę była medium, jak twierdziła Celia? Próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądało jej życie, gdy podróżowała z cyrkiem.

Przypomniałam sobie o kluczu, który powierzyła mi Celia, i zanim się zorientowałam, już byłam ubrana i wymykałam się z mieszkania. Zjechałam na dół rozkle-

kotaną windą, wysiadłam z niej i stanęłam na środku zakurzonego holu, pod zepsutym żyrandolem. Skrzyżowałam ramiona, przyłożyłam palec do podbródka i uważnie rozejrzałam się wokół. Ukryte przejście?

W owalnym wysokim holu było jak zwykle chłodno, więc zapięłam się aż pod szyję. Zamknęłam na chwilę oczy, by się skupić, a gdy je otworzyłam, zaczęłam zauważać rzeczy, których wcześniej nie dostrzegałam. Na przykład płytki na podłodze. Były popękane od ściany do ściany, a mniejsze zarysowania odchodziły w różne strony, zupełnie jak linie na dłoni. (Co wyczytałaby z nich Madame Aurora?). Choć niezauważalne od razu, pęknięcia płytek były znaczne i zastanawiałam się, co mogło je spowodować. Podobnie pęknięcie na ścianie miało kilka odgałęzień. Popatrzyłam na zakurzone kinkiety i rzeźbione w metalu zdobienia wokół windy. Były zachwycające, choć zaniedbane. Nigdzie nie widziałam tajemnych drzwi ani wejścia. Podeszłam do ściany i zaczęłam szukać szczelin. Przyznaję, że nawet próbowałam poruszyć wystające płytki na podłodze. Po krętych schodach wspięłam się na półpiętro i podeszłam do zamkniętych drewnianych drzwi, próbowałam je popchnąć albo pociągnąć, ale w końcu zeszłam na dół. Nie były to, co prawda, ukryte drzwi, ale nigdy nie widziałam, by były otwarte. Może Luke powie mi, co się za nimi kryje?

Szukałam ukrytych wejść, dźwigni, przycisków. Jakiego rodzaju tajemne przejścia zbudował tu Barrett? Trzeba myśleć w kategoriach wiktoriańskiej techniki, przypomniałam sobie. Zbyt wymyślne dźwignie mogły ulec zniszczeniu.

Dzisiaj. Dziś wieczorem zbadam to. I przyjdę z moim przewodnikiem.

Wyszłam ze stacji metra w Soho na zalaną deszczem ulicę. Z trudem zdołałam utrzymać swój parasol, gdyż deszcz zacinał silnie z boku, chłostając zarówno pieszych, jak i samochody. W takich chwilach Nowy Jork był najbardziej anonimowy i zimny. Przechodnie spieszyli do swoich spraw, zakrywając twarze. Szpikulce parasoli pojedynkowały się w ciszy. Mój parasol wygiął się na drugą stronę i musiałam uderzać nim o chodnik, by w końcu wrócił do pierwotnego kształtu.

Dzień w pracy upłynął mi na papierkowej robocie. Skye DeVille się nie pojawiła. Przyjęłam to ulgą, nie musiałam się spinać za każdym razem, gdy słyszałam otwierające się drzwi od gabinetu. W ciągu całego dnia zaparzyłam raptem trzy gorące napoje - nędzna namiastka w porównaniu z nieludzkim zapotrzebowaniem Skye na kofeinę. Przyznaję też, że nadużyłam łącza internetowego w redakcji, poszukując stron o nekromancji. Czytałam o tym w książkach mojej matki, dawno temu, ale nigdy nie przypuszczałam, że będę musiała zgłębiać ten temat. Nekromancja z pewnością miała długą i bogatą historię w wielu kulturach. Zastanawiałam się, co Barrett miał nadzieję osiągnąć za sprawą swoich eksperymentów. Kierowała nim przepowiednia, pieniądze czy zwykła ciekawość?

- Co robisz?

Zbliżał się koniec pracy i na szczęście usłyszałam kroki Pepper, zanim podeszła na tyle blisko, by zobaczyć, jakie strony mam otwarte na ekranie mojego komputera. Zamknęłam stronę z ogromnym wizerunkiem

wiedźmy z Endor, w którą się wpatrywałam, i powróciłam do skrzynki pocztowej.

- Nic, to znaczy, pracuję - odpowiedziałam szybko. Stała nade mną z surowym wyrazem twarzy, jak to miała w zwyczaju.

- Potrzebuję kilku zdań od kolejnych dwóch projektantów.

- Do numeru? - zapytałam, choć to było oczywiste. Przymknęła.

- Chcę to zamknąć do poniedziałku.

-Nadal chcemy wydać ten numer o dzianinach? Po tych wszystkich sensacjach? - spytałam. Wydawało się niemożliwe, że numer ukaze się w planowanej dotąd postaci. Mógł też być wstrzymany.

-Moda nie stanie w miejscu z powodu zniknięcia kilku osób. Tu masz adresy. Możesz zadzwonić. - Pepper wręczyła mi kartkę. Garment District. Po raz kolejny świat mody dał wyraz swojej trosce o innych. Los zaginionych projektantów obchodził Pepper tak samo jak los Wiktora Mała. Dopóki nie stał się jednym z nich.

- Żaden problem - powiedziałam, chowając kartkę do torby. - Pójdę tam. Może dowiem się czegoś więcej. -Jak zwykle chętnie korzystałam z wymówki, żeby wyjść z biura.

-Nie chcę, żebyś zajmowała się tym skandalem, jasne? Chcemy trzymać się od tego z daleka. Skup się na modzie. Nim numer pójdzie do druku, reszta może się już zdezaktualizować.

Naprawdę? Czy sprawa zaginięcia trojga projektantów mody może się zdezaktualizować? Nawet gdyby odnaleźli się przed ukazaniem numeru?

-Nie sądzisz, że to byłoby rażące zaniedbanie, jeśli nie wspomnielibyśmy... Pepper spojrzała gniewnie.

W porządku. Moje poglądy nikogo nie interesują. Rozumiem. Skinęłam posłusznie głową.

- Będę się trzymać mody.

Pepper upewniła się, że nie wyprowadzę nikogo z równowagi - jak to miało miejsce ostatnio, gdy w jej zastępstwie robiłam wywiad - i zostawiła mnie w spokoju. Spakowałam torbę, wzięłam płaszcz, wyłączyłam komputer i jak na skrzydłach pomknęłam do biurka Morticii.

- Wychodzisz dziś wcześniej - zauważyła.

- Tak, Pepper kazała mi coś załatwić. Mam iść do Garment District, żeby porozmawiać z projektantami. Widzimy się w poniedziałek.

Skinęła.

- Planujesz jakieś randki w ten weekend?

- Nie - powiedziałam, ale pomyślałam o moim zadurzeniu z wojny secesyjnej.

-Ja też nie - odparła i się zasepiła. - To dołujące. A może poszłybyśmy do kina? Grają nowy film z Johnnym Deppem.

- Świetny pomysł. - Też chciałam go zobaczyć, a poza tym miałam nadzieję, że lepiej poznam Morticię. Niestety, nie wiedziałam, kiedy będę miała czas, zwłaszcza mając w perspektywie bliższe poznawanie porucznika Luke'a. Naprawdę był moim przewodnikiem duchowym? Co to znaczyło? - W ten weekend będę trochę zajęta, więc może w następny? - zaproponowałam i zapisałam jej na kawałku papieru mój numer telefonu. - W końcu mam komórkę, ale w mojej dzielnicy jest

słaby zasięg, więc jeśli nie uda ci się dodzwonić, zostaw wiadomość.

Oczywiście Morticia nie mogła wiedzieć, że tam, gdzie mieszkam, nie było zasięgu, bo ta dzielnica nie istniała - przynajmniej dla operatorów komórkowych.

- Super - powiedziała. - Dodam cię do listy kontaktów. Nareszcie zaczęłam nawiązywać normalne znajomości w tym mieście. Uśmiechnęłam się.

-A przy okazji, nie wiem, czy już to mówiłam, Morticio, ale naprawdę podoba mi się twoje imię - dodałam.

Morticia to dziwne imię i przypuszczam, że właśnie dlatego rozumiałyśmy się doskonale od pierwszej chwili. Moje imię zawsze mnie wyróżniało i nie zawsze było to przyjemne.

-Musisz mieć superfajnych rodziców, skoro tak cię nazwali - ciągnęłam. - Pewnie uwielbiają *Rodzinę Addamsów*.

Zauważyłam, że zmarszczyła brwi.

- Moi rodzice? O nie. Moi rodzice nazwali mnie „Bea”. Możesz sobie wyobrazić? Zmieniłam imię, gdy tylko skończyłam osiemnaście lat.

Z pewnością nie wyglądała jak Bea. Nigdy nie wpadłam na to, żeby zmienić imię. Może i było dziwne, ale ja również byłam dziwna.

- Dlaczego zmieniłaś je na Morticia?

-To chyba oczywiste. Moi rodzice nie byli tym zachwyceni. No cóż... nie bardzo się dogadujemy - powiedziała i zobaczyłam błysk smutku w jej oczach. - Wyprowadziłam się w zeszłym roku i nie widzimy się zbyt często.

- Przykro mi. - Czułam się winna, że poruszyłam ten temat.

-Tak, cóż... chyba nie tego się po mnie spodziewali.

Nie tego chcieli... - Wzięła kartkę z moim numerem telefonu i bawiła się nią obojętnie. - Dobrze jest - powiedziała w końcu. - Miłego weekendu. - Uśmiechnęła się do mnie, lecz nie zdołała całkowicie ukryć żalu czającego się w jej oczach.

- Umówimy się jak najszybciej - zapewniłam ją.

- Super. Aha, i uważaj - dodała, gdy już kierowałam się do wyjścia.

Zatrzymałam się i odwróciłam.

- Dziś jest pełnia. Wariaci będą szaleć.

Z podanych dwóch adresów bliżej miałam do Smith & Co. Odnalazłam odpowiedni numer. Elegancki szyld ich pracowni wisiał nad wejściem na Trzydziestej Szóstej Zachodniej Ulicy, obok przejścia. Spojrzałam w górę i zobaczyłam reklamę w oknie na pierwszym piętrze, potwierdzenie, że dotarłam pod właściwy adres. Drzwi wejściowe były otwarte, weszłam do środka, na czystą, choć nijaką klatkę schodową prowadzącą na piętro, a tam, przez szklane drzwi trafiłam do pracowni.

- Dobry wieczór, w czym mogę pomóc?

Recepcja była małym, nowocześnie urządzonym pomieszczeniem. Za drewnianym biurkiem siedział młody atrakcyjny mężczyzna w obcisłej koszulce i modnych okularach w czarnych oprawkach w stylu retro. Podobnie jak u Wiktora Mała, tutaj na ścianach wisiały plakaty reklamowe firmy. Były jednak mniejsze i pochodziły tylko z ostatniego sezonu.

- Chciałabym przeprowadzić krótki wywiad z panem Smithem - zwróciłam się do mężczyzny za biurkiem,

- Pismo „Pandora”?

-Tak, zgadza się. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Miło cię poznać. - Wstał i uścisnął mi dłoń. - Pozwól, że wezmę twój płaszcz i parasol. Usiądź, proszę. Sprawdzę, czy Laurie jest gotowy.

- Naturalnie. Dziękuję.

Asystent odebrał mój płaszcz i powiesił go na designerskim wieszaku w formie spłaszczonego drzewa wykutego ze stali, a mój parasol włożył do czerwonego plastikowego stojaka. Ja tymczasem usadowiłam się na niskiej, skórzanej sofie w minimalistycznym stylu, która prawdopodobnie była warta więcej niż cały mój dobytek.

Czekałam.

Uniosłam dłoń, żeby kolejny raz podziwiać pierścionek z obsydianem. W ciągu dnia często na niego spoglądałam. Uwielbiałam stare przedmioty. Niewątpliwie cechę tę odziedziczyłam po mojej mamie archeolożce. Może właśnie dlatego przedkładałam modę vintage nad najnowsze kolekcje. Podobało mi się, że te rzeczy uczestniczyły w czyimś życiu, miały swoją historię. Przypuszczam, że ten pierścionek wiele widział. Nie wiem, czy wierzę w talizmany, ale skoro aż tak wiele rzeczy było możliwych w świecie duchów, rzeczy, w które świat nie wierzył ani których nie akceptował, to istnienie prawdziwego talizmanu z pewnością nie było nadużyciem.

-Jest w swoim atelier, wejdz, proszę - powiedział asystent po powrocie do recepcji. - Pracuje nad nową kolekcją.

- Świetnie - odparłam, zrywając się na nogi. Poprowadził mnie do długiej, wąskiej i wysokiej sali -

była to kolejna hala przemysłowa przerobiona na pracownię. Pan Smith czekał już na mnie z uśmiechem. Był wysoki i miał artystycznie rozwianą fryzurę, ni-

czym Einstein w świecie mody. Miał na sobie czekoladowo-brązowy zamszowy blezer, zarzucony na cienki top z dzianiny, który wyglądał jak męska wersja tego, który widziałam podczas sesji zdjęciowej. Moim zdaniem miał ponad pięćdziesiąt lat. W pracowni stało kilka częściowo ubranych manekinów. Pod jedną ścianą ustawiono stoły z materiałami. Na ogromnej tablicy wisiały zdjęcia, rysunki i próbki tkanin.

Drobna kobieta o azjatyckich rysach przemknęła obok mnie i podążyła w kierunku drzwi.

- Dobranoc, panie Laurie - powiedziała, wychodząc.

- Dobranoc - odparł, a następnie szeptem zwrócił się do mnie:
- Ta kobieta potrafi zrobić wszystko.

Odzyskałam wigor.

-To imponujące - odpowiedziałam. - Nazywam się Pandora English, reprezentuję pismo „Pandora”. Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać. Nie zabiorę panu dużo czasu.

- Pewnie i tak spędzę tu noc. Przygotowujemy nową kolekcję.

-Wiem, pański asystent wspominał mi o tym. Jak idzie praca?
Rozejrzał się po sali.

- Idzie... - Podał mi krzesło, z którego wcześniej zdjął kilka niedokończonych ubrań. - Masz na imię Pandora?

-Tak. Kobieta, która sprowadziła całe zło na ten świat. To ja.

- Myślałem, że to Ewa.

- Ona jest tą drugą, która sprowadziła tu całe zło. Ja byłam tą z puszką, jak widać. Właściwie, mam wrażenie, że pierwotnie to był słój. - Celia powiedziała mi, że moje imię znaczyło „utalentowana” lub „obda-

rowana", ale i tak najczęściej kojarzono z nim starożytny grecki mit o kobiecie z puszką (czy też słojem). Dlaczego za całe zło na świecie winiono zawsze ciekawość kobiet?

- Czy pismo zatytułowano tak na twoją cześć? - zapytał Laurie Smith.

Nie wiedziałam, czy żartuje. Rzadko cokolwiek nazywano na cześć dziewiętnastolatków.

- Obawiam się, że nie. To zbieg okoliczności. Przechylił głowę i uśmiechnął się.

- Nie jestem pewien, czy wierzę w zbiegi okoliczności.

Usłyszeliśmy ciche pukanie do otwartych drzwi pracowni i oboje odwróciliśmy się. Atrakcyjny asystent w okularach trzymał w rękach piękną paczkę, z czarnymi i zielonymi kokardami. Widziałam już coś podobnego, pomyślałam. Niedawno.

-Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale właśnie dostarczono paczkę dla ciebie, Laurie. Może to ta, na którą czekałeś?

- Dziękuję, James - odparł. Laurie. - Możesz zostawić ją na swoim biurku. Do jutra.

- Miło cię było poznać, Pandoro - pożegnał się James i wyszedł.

Laurie usiadł na stole i zaczął machać nogami. Zauważyłam, że chwycił duże nożyce krawieckie i przełożył je na drugą stronę stołu.

- Ja... eee... nie jestem dobry w udzielaniu wywiadów - przyznał i uśmiechnął się.

-A ja nie jestem dobra w ich przeprowadzaniu - odparłam.

- Nieprawda. Na pewno jesteś świetna. Poza tym jesteś młoda. Masz jeszcze czas.

Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam z torby notatnik oraz pióro.
- Zacznijmy, jeśli jest pan gotowy.

Usadowiłam się wygodniej na małym krzeselku i zaczęliśmy. Zadałam mu kilka pytań o przemysł dziewiarski i jego ostatnie prace. Trzymałam się ściśle tematu, jak nakazała mi Pepper, a on nie sprawiał, że czułam się jak idiotka, tak jak to było w wypadku Wiktora Mała. Żadne z nas nie poruszyło tematu zaginionych projektantów. Możliwe, że był tak skupiony na swojej pracy, że nie słyszał najświeższych wiadomości. A może Pepper miała rację, to po prostu nie był odpowiedni temat do naszych wywiadów.

- Muszę przyznać, że jest pan niezwykle skromny - powiedziałam, wypełniwszy kilka stron notatkami. - Gdy przeprowadzałam wywiad do tego numeru z innym projektantem, twierdził, że jest najlepszy na świecie specjalistą od dziewiarstwa.

A teraz zaginął. Aż trudno w to uwierzyć.

-Też taki byłem - przyznał Laurie. - Byłem najgorszy z nich wszystkich. Pomyślałem, że jeśli nie będę głośno się przechwalał, to nikt nie będzie mnie szanował w tym biznesie - przerwał i wskazał na mój notatnik. - Mam nadzieję, że tego nie opublikujecie?

- Nie, nie opublikujemy. Obiecuję. Czy chciałby pan dodać jeszcze coś na temat swojej nowej kolekcji? - zapytałam na koniec.

-Ciężko nad nią pracowaliśmy. Mam nadzieję, że wszystkim się spodoba.

- Dobrze - zamknęłam notatnik i wsunęłam do torby. - Jeszcze raz dziękuję za poświęcony mi czas. Miłego popołudnia... ach, wieczoru. - Zdałam sobie sprawę, że

dochodziła piąta. Może uda mi się dotrzeć do następnego miejsca przed piątą trzydzieści? To niedaleko. -Miło mi było pana poznać - powiedziałam. - Oto moja wizytówka, gdyby miał pan jakieś pytania albo chciał jeszcze coś dodać. - Nie miałam swoich wizytówek, ale miałam jedną redakcyjną. Napisałam na niej swoje nazwisko oraz adres mailowy i wręczyłam mu. - Powodzenia z nową kolekcją.

Laurie odprowadził mnie do drzwi, co, moim zdaniem, było bardzo uprzejme z jego strony. Poprzednio zastanawiałam się, czy grubiaństwo jest w modzie, lecz wizyta w Smith & Co zmieniła moje podejście. Zauważyłam, że asystent poszedł już do domu i pracownia wyglądała na opustoszałą. Laurie będzie pracował do późna sam. To dopiero poświęcenie. Zdjęłam swój płaszcz z dziwnego wieszaka w kształcie drzewa i życzyłam Lauriemu Smithowi dobrej nocy i owocnej pracy.

Kiedy wyszłam na Trzydziestą Szóstą Zachodnią, zapadał już zmrok, a wiatr wiał mocno. Powietrze było naładowane elektrycznością. Czulo się nadchodzącą burzę. Według moich obliczeń następna pracownia była oddalona zaledwie o kilka przecznic. Może jeszcze pracowali. Nie przeszłam połowy drogi, gdy spadły na mnie pierwsze krople deszczu i zdałam sobie sprawę, o czym zapomniałam. *Parasolka! Idiotka.* Od mojego wyjścia minęło może piętnaście minut, ale i tak, gdy wróciłam do atelier Smith & Co, poczułam ulgę, że nie były zamknięte na klucz.

- Halo? Przepraszam, zapomniałam parasolki.

A potem zamarłam. Coś było nie tak. Coś zdecydowanie było nie tak. Znajome złe przeczucie zmroziło mi żołądek. Z każdą sekundą stawało się coraz bardziej intensywne.

-Wszystko w porządku? - odważyłam się zapytać, lecz nie usłyszałam odpowiedzi. - Panie Smith? - Dotarł do mnie dziwny, stłumiony jęk. Zesztywniałam. Od strony pracowni dobiegł ciężki odgłos, jakby coś upadło. - Wszystko w porządku, panie Smith? - Otworzyłam drzwi pracowni i weszłam do środka.

Trudno sobie wyobrazić to, co zobaczyłam.

Na środku sali poruszał się gwałtownie jakiś kształt, przewracając stoły i manekiny, zupełnie jakby szalało małe tornado. Kształt wyglądał jak jedwabny kokon o wysokości metr osiemdziesiąt. Obracał się i miotał przede mną, gdy stałam oniemiała przy drzwiach. Co to było? Nie miałam pojęcia. Wydawało mi się, że dostrzegam zarys postaci... człowieka? A potem usłyszałam kolejny jęk i zdałam sobie sprawę, że dobiega on ze środka kokonu, W tym momencie zrozumiałam, że wewnątrz ktoś jest.

-Proszę wytrzymać! - krzyknęłam i podbiegłam. -Proszę wytrzymać. Ja... ja... - Rozejrzałam się dookoła w panice. - Rozetnę to!

Instynktownie chwyciłam nożyczki, które wcześniej widziałam na stole do pracy, i przycisnęłam kokon do ściany, by go unieruchomić. Moje dłonie od razu się do niego przykleiły i przez chwilę starałam się je uwolnić. Z obrzydzeniem wytarłam ręce o ubranie. Kokon zdawał się dużą lepką siecią. Siecią, która zdawała się żyć własnym życiem.

- Proszę się nie ruszać - powiedziałam, a z wnętrza wydobył się niezrozumiały jęk. Gwałtowne ruchy zastąpiło silne drżenie. Pomyślałam, że w środku znajduje się Laurie Smith i było dla mnie jasne, że się dusił. Musiałam uwolnić jego głowę i to szybko. Ostrożnie

wbiłam nożyczki w dziurę pod podbródkiem i przecinając, zaczęłam otwierać kokon. Potem z całych sił rozchyliłam kokon na boki. Ręce przykleiły mi się do niego i zauważyłam, że choć jedwabisty i cienki, był także zadziwiająco mocny. Rozdarłam go z wysiłkiem i po chwili ukazała się fioletowa z braku tlenu twarz Lauriego. Gwałtownie wciągnął powietrze, wydawał z siebie nieartykułowane dźwięki, a przekrwione oczy niemal wychodziły mu z orbit. Biedak prawie oszalał ze strachu. Nie tracąc czasu, poszerzyłam otwór, lecz ostatecznie musiałam ponownie chwycić za nożyczki, by uwolnić resztę ciała. Wszystko działo się tak szybko, że gdy już prawie klęczałam na podłodze, wycinając dziurę w talii, nagle zorientowałam się, że kokon zaczyna się wić...

Ze środka wylała się rzeka pajaków.

Och!

Krzyknęłam i odskoczyłam, upuszczając nożyczki. Z dziur, które wycięłam w kokonie, wychodziły pajaki różnych rodzajów i kształtów. Krzyżakowate. Tarantule. Skakunowate. Pogońcowate. Ukośnikowate. Zdusiłam krzyk. Laurie znów zajęczał, przyciągając ponownie moją uwagę. Przycupnął pod ścianą. Nie był w stanie sam się uwolnić. Nie miałam wyjścia, musiałam dalej rozcinać kokon.

Mam nadzieję, że żaden nich nie jest jadowity.

Cięłam szybko, zaciskając zęby. Pajaki wypełzały z otworów w kokonie, rozłaziły się po nim i po moich rękach, a potem podążały w górę, po ramionach, szerokim, równym strumieniem. Te, które nie wspinały się po mnie, spadały i niezliczone roily się u moich stóp. Moje pokryte pajakami dłonie trzęsły się, gdy cięłam kokon.

Nie wiedziałam, czy mam halucynacje, czy przeżywam jakiś okropny arachnofobiczny koszmar. Albo, co jeszcze gorsze, czy to może jawa.

Wkrótce uwolniłam Lauriego z kokonu. Strzepywałam pająki z jego ubrania, a on tańczył jak Mick Jagger na kiepskich prochach. Pomyślałam, że może mieć atak serca. Do cholery, ja też mogłam mieć. Zrzuciłam płaszcz Celi i sama też zaczęłam dziwny taniec, by usunąć wiszące na mnie pająki.

- Co, u diaska, się stało? Co to było? Nic panu nie jest? - pytałam, nerwowo strzając tłustego krzyżaka z buta.

Laurie nie wyglądał na kogoś, kto byłby w stanie udzielić odpowiedzi, i wcale mu się nie dziwiłam. Zaciągnęłam go na drugi koniec warsztatu, z daleka od pociętego kokonu i łączącej po nim chmary pajęczaków. Przyniosłam krzesło i posadziłam go na nim.

W porządku, Pandoro. Weź oddech.

- Ukąsiły pana? Mam zadzwonić po pogotowie? - zapytałam.

Laurie w końcu się odezwał. -Co... to było?

- Nie mam pojęcia - przyznałam. - Miałam nadzieję, że pan mi to powie.

Nie miałam jednak wrażenia, żeby był w stanie powiedzieć cokolwiek komukolwiek.

- Może trzeba pana zabrać do szpitala - zaproponowałam i ruszyłam do telefonu wiszącego na ścianie.

Potrząsnął stanowczo głową.

- Nie. Nie, nie, mój partner na mnie czeka. Po prostu pójdę do domu.

- Mówił pan, że będzie pracował całą noc? Czy mam do niego zadzwonić? Dać znać...

Jeszcze raz zaprzeczył.

- Nie. Nic mi nie jest.

- To straszne. Jak długo był pan w tym kokonie? -Jakim kokonie?

-Tym, z którego pana uwolniłam... z pajakami... - To, co mówiłam, wydawało się idiotyczne, a reakcja Lau-riego jeszcze pogłębiała to wrażenie.

Dotknął czoła czubkami palców.

- Nie wiem, co się stało - powiedział, zdezorientowany. - Otworzyłem paczkę, a potem... nie wiem.

Paczka.

Rozejrzałam się dookoła. Po walce, jaka się tu rozegrała, było niewiele śladów. Palka przewróconych manekinów, nożyczki i trochę tkanin na podłodze. Zwróciłam uwagę na leżące tam też zielono-czarne otwarte opakowanie. Czarny papier był rozdarty. Co jeszcze dziwniejsze, stos lepkiej sieci wił się i kurczył tam, gdzie go zostawiliśmy. Pajaki rozpierzchły się i pochowały w cieniu, a sam kokon... zniknął? Jak palący się papier.

Byłam całkowicie zaskoczona. Ze zdziwienia aż otworzyłam usta. (Ostatnio zdarzało mi się to dość często).

- Chyba pójdę do domu - powiedział stojący za moimi plecami Laurie. - Czuję się dobrze.

Potrząsnęłam głową.

- Pan nie może czuć się dobrze. Naprawdę uważam... -Mój partner na mnie czeka. Zadzwoń do niego.

Przyjedzie po mnie. Jest niedaleko - dodał.

Kusiło mnie, żeby poczekać, aż jego partner przyjedzie, ale zaczęłam podejrzewać, że Laurie po prostu chciał, żebym już poszła. Co też zrobiłam. Wycofałam się. Oczyszczałam z kurzu płaszczy Celi, zabrałam swoje rzeczy - w tym parasolkę - i pożegnawszy się, wyszłam

z pracowni. Jeśli nauczyłam się czegoś, będąc przez całe życie świadkiem nadprzyrodzonych wydarzeń, to tego, by nie nalegać na rozmowę o nich z ludźmi, którzy nie chcieli o nich rozmawiać, nie rozumieli ich albo wręcz zaprzeczali temu, co zobaczyli. Taka rozmowa prowadziła prosto na oddział psychiatryczny. Niewiarygodne, ale kiedy zamykałam za sobą drzwi, po pająkach i ich kokonie nie pozostał nawet ślad. Dosłownie rozplynęły się w powietrzu.

Trzęsąc się, zeszłam po schodach i wyszłam na ciemne ulice Garment District. Wciąż buzowała we mnie adrenalina.

Co u licha mam teraz zrobić? Jak mogę to przemilczeć?

Zauważyłam, że przestało padać.

- Wypytywałaś o mnie. - Usłyszałam i zatrzymałam się.

Nie rozpoznałam ani głosu, ani akcentu.

Odwróciłam się, przygotowana na wszystko po tym, co dziś ujrzałam. W wąskiej uliczce obok wejścia do atelier Smith & Co stała kobieta. Poznałam ją. Była wysoka, od stóp do głów ubrana na czarno. Jej geometryczna fryzura - czarne krótkie włosy i prosta grzywka - eksponowała wysokie kości policzkowe i stanowiła oprawę dla świdrujących oczu i małych ciemnych ust. Wyglądała jak Louise Brooks w latach dwudziestych dwudziestego wieku. To była kobieta ze stacji metra. Kobieta, która mnie śledziła.

- Słucham? - odparłam.

Nie wypytywałam o nią, ale zaczęłam podejrzewać, że powinnam. Intensywność jej osoby była nienaturalna. Niepokoiła mnie, podobnie jak poprzednio, gdy ją widziałam. Kiedy się zbliżyła, poczułam zimny ciężar w żołądku i wzrost poziomu adrenaliny. Wysoka kobieta podeszła do

wylotu uliczki, a światło latarni podkreśliło ostrość jej rysów. Choć twarz była klasycznie piękna, malował się na niej smutek. Zauważyłam jasne linie biegnące od lewej skroni, przez policzek, aż do szczęki. Lecz nie one przykuły moją uwagę. Wciąż się zbliżała. Zwróciłam uwagę na okrutny wyraz jej ust, mimo ich kształtnego, atrakcyjnego wykroju. W dużych ciemnych oczach błyszczała gorycz, a jej twarz była jak piękny, lecz wypaczony obraz. Louise Brooks na pogniecionym celuloidzie.

Chciałam odwrócić się i odejść, a nawet uciec, ale trzymałam się dzielnie. Już trzeci raz ją spotykałam. Nie bez powodu.

- Nazywasz się Pandora English - powiedziała. - Tak - odparłam zaskoczona. Nie podobało mi się

brzmienie mojego imienia w jej ustach. Mocniej chwyciłam parasol i torbę. Co miałam przy sobie? Telefon, bilet na metro, mapę, książkę, trochę kosmetyków, lakier do włosów, ryż, notatnik, pióro. Zimne uczucie w moim żołądku było tak silne, że aż bolało, jakbym połknęła suchy lód. Byłam w niebezpieczeństwie. To jasne. Walczyłam ze sobą, by nie uciec.

- Wypytywałaś o mnie - powtórzyła.

- Jestem dziennikarką - odpowiedziałam. Nie miałam pojęcia, dlaczego jej zdaniemypytywałam o nią.

- Ja też pytałam o ciebie - ciągnęła. - Aż trudno mi uwierzyć, że jesteś tak beznadziejna.

Beznadziejna? Zmarszczyłam brwi. Ta nieuprzejmość była chyba zbędna, prawda?

Obmyślałam właśnie celną ripostę, gdy moją uwagę przyciągnął ruch jej ramienia. Z przerażeniem zobaczyłam grubą włochatą nogę insekta, a za nią okrągłe ciało pająka. To była tarantula. Pełzła wolno po ubraniu kobiety, by przysiąść na krawędzi jej kołnierza. Obserwowała mnie uważnie, tak jak kiedyś ta w atelier fotograficznym.

Chwileczkę. A może to ten sam pajak? -Dlaczego zabrałaś go do domu? Mojego małego szpiega? - zapytała kobieta. *Tarantula. Należy do niej.*

- Nie wiem, o czym mówisz - odparłam.

- Och, doskonale wiesz. Myślałaś, że możesz mnie obserwować? Myślałaś, że możesz podsłuchiwać świadomość zbiorową i szpiegować mnie? Tak jak ja mogłam szpiegować ciebie?

Gapiałam się na nią w osłupieniu. Szukałam właściwej odpowiedzi. *Świadomość zbiorowa?*

Dziwna kobieta zlustrowała mnie. Musiała zauważyć moją konsternację, ponieważ przechyliła głowę, a jej idealnie przycięte włosy opadły ostrą linią na policzek.

-Myślę, że mylą się co do ciebie. - Skrzyżowała ramiona. - Ty? Siódmą? Nie wierzę w to! - Zaśmiała się cicho. To był śmiech pozbawiony radości, słysząc go, poczułam lodowaty dreszcz.

Siódma. Znów to określenie. Celia próbowała na swój sposób wyjaśnić mi jego znaczenie. Jednakże jej wyjaśnienia były zawsze nieco tajemnicze i robiła to tylko wtedy, gdy jej zdaniem, powinnam coś wiedzieć. Nie bez znaczenia było to, że żyłam sto pięćdziesiąt lat po ostatniej Siódmej. A Siódma odgrywała ważną rolę. Miałam władzę. Ale nad czym? Celia mówiła, że ujawni się ona we właściwym czasie, ale w tej chwili czułam, że powinnam wiedzieć więcej. Zadałam głowę najwyżej, jak tylko mogłam.

- Co cię obchodzi, czy jestem Siódmą?

Patrzyłam na nią, a ona zrobiła krok do przodu. Wówczas zdałam sobie sprawę, że coś dziwnego było w jej sposobie poruszania się. Przez chwilę moje oczy dały się oszukiwać, że wszystko jest w normie. Ale było coś nieproporcjonalnego w jej ruchach. Miała za długie nogi. Czarny strój powiewał wytwornie, ale coś skrywał. To nie jego krój powodował dziwaczność ruchu. Wyglądała raczej tak, jakby jej stawy były w niewłaściwych miejscach. Zacisnęłam dłoń na parasolce, gotowa użyć jej, by się bronić. Drugą rękę zanurzyłam w torbie. Oczy kobiety zwęziły się.

-Nie pozwolę wchodzić sobie w drogę - powiedziała cicho, a w jej głosie brzmiała groźba. - Laurie Smith należał do mnie. Zasłużył na mój gniew.

W zwolnionym tempie - jak na filmie - powiewająca dzianina okrywająca jej dziwnie posągowe kształty opadła, odsłaniając najobrzydliwsze ciało, jakie kiedykolwiek widziałam. Nogi - nie takie jak u człowieka, lecz gładkie, czarne pajęczce odnóży - wystrzeliły w moim kierunku. Nawet w półmroku panującym na ulicy widziałam, że nie ma tułowia - w każdym razie ludzkiego tułowia. Zamiast tego miała okrągły, wydęty czarny brzuch i kilka odnóży... a dokładniej sześć. *Sześć pajęczych odnóży*. Które usiłowały mnie dosięgnąć.

Och!

Z mojego gardła wydobył się krzyk. Cofnęłam się w samą porę, by nie dosięgły mnie te straszliwe kończyny. Szybkim ruchem otworzyłam parasol i machałam nim niczym tarczą. Jednocześnie drugą ręką wymacałam w torbie cylindryczny kształt opakowania lakieru do włosów. Wycelowałam go w jej twarz i uwolniłam lawendowy strumień. Delikatnie mówiąc, kiepska to

była broń. Jedno z ostro zakończonych pajęczych odnóży przebiło parasol, celując w moją nogę, lecz chybiło o włos. Rzuciłam w nią puste opakowanie po lakierze, usłyszałam jak się odbija, a potem cisnęłam jeszcze otwarty parasol.

Czas uciekać!

Ruszyłam szybko na Trzydziestą Szóstą Zachodnią, mijając dwóch mężczyzn w garniturach i wełnianych płaszczach. Pewnie usłyszeli mój krzyk, bo zapytali, czy wszystko w porządku.

- Uciekajcie! - wrzasnęłam, nawet się nie odwracając. - Szybko!

Pobiegłam, ile sił w nogach mokrym chodnikiem, i wpadłam na kobietę w średnim wieku z torbami pełnymi zakupów. Wystraszona upuściła torby, z których wypadły ziemniaki. *Przepraszam!* - pomyślałam, ale nie zatrzymałam się, by jej pomóc. Przyciskałam mocno swoją torbę i biegłam tak szybko, jak tylko mogłam.

Nie oglądałam się za siebie.

Nim dotarłam na stację metra, deszcz znów zaczął padać i przemoczył mnie do suchej nitki. Ręce trzęsły mi się z zimna i strachu. Nawet nie spojrzałam na mapę, więc nie byłam pewna, jaki odcinek przebiegłam. Byłam tak zdenerwowana, że wsiadłam w pierwszy lepszy pociąg, nie zdając sobie sprawy, że jadę w niewłaściwym kierunku. Zdołałam się pozbierać na tyle, by przesiąść się na zieloną linię, żeby nie wyjechać z Manhattanu na Brooklyn.

Nic ci nie jest. Już dobrze. Oddychaj...

Wsiadłam do linii numer sześć. Pełno w niej było ludzi

wracających z pracy. Szczerze mówiąc, poczułam ulgę, że otaczają mnie obcy - normalni, obcy ludzie. Stałam w tłumie i rozmyślałam o ostatnich wydarzeniach.

Wyglądało na to, że nadepnęłam na odcisk tej kobiecie z pajakiem na ramieniu. Ale co konkretnie zrobiłam? Czym wywołałam jej wściekłość? Kim była? Czym była? Jedno było pewne. Wiedziała, że jestem Siódmą, i bardzo jej się to nie podobało. Musiałam wrócić do domu i ostrzec Celię. *Coś nadchodzi* Rzeczywiście, coś nadchodziło. Na ośmiu odnóżach.

Kobieta pająk - myślałam w kółko. *W Nowym Jorku grasuje kobieta pająk.*

Rozdział 11

- Ciociu Celio, już jestem.

Zamknęłam drzwi, postawiłam torbę na podłodze, powiesiłam płaszcz, zdjęłam buty i zerknęłam na swoje odbicie w edwardiańskim lustrze. Widok był wstrząsający. Wokół mojej twarzy zwisały mokre strąki włosów, a rozmyty makijaż tworzył czarne koła pod oczami. Odwróciłam wzrok.

- Kochanie, widzę, że masz za sobą ciężkie przeżycia - powiedziała cioteczna babka, zamykając książkę, którą czytała. Zerknęła na mnie ze swojego fotela, ale jak zawsze taktowna, nie skomentowała mojego wyglądu..

Podeszłam do niej nieco oszołomiona. Celia pólleżała, ubrana w krwistoczerwony strój złożony z doskonale dopasowanego żakietu o rozszerzonych ramionach i wąskich rękawach oraz rozkloszowanej spódnicy do kolan. Żakiet zapięty był w talii na wielki czarny guzik. Do tego kabaretki i, oczywiście, woalka. Zastanawiałam się - nie po raz pierwszy zresztą - czy kiedykolwiek coś wytrąciło ją z równowagi.

- Celio, widziałam dziś coś nieprawdopodobnego - zaczęłam.

- Coś, w co do niedawna bym nie uwierzyła.

- Dobrze - odparła. *Dobrze?*

-Chodź. Usiądź.

Freja zeskoczyła ze skórzanego podnóżka, gdy na nim usiadłam. Biała kotka krążyła wokół moich nóg, węsząc, a potem popatrzyła na mnie. Pogłaskałam ją. Wyraźnie przeszkadzał jej jakiś zapach, który przyniosłam do domu.

- Pandoro, to dobrze, że zaczynasz zdawać sobie sprawę z ogromu tego, co jest możliwe - powiedziała Celia. - Otwórz swój umysł, a nie będziesz ślepa jak inni śmiertelnicy. To ci się przyda.

Przytaknęłam, myśląc o tym, jak Laurie Smith zdawał się nie pamiętać o tym, co mu się przydarzyło po otwarciu tajemniczego zielono-czarnego pudełka. Zupełnie, jakby wymazał to z pamięci. Przez ostatnie dwa miesiące często byłam świadkiem tego, jak ludzie w podobny sposób nie przyjmowali do wiadomości istnienia Spektora. Taksówkarze powtarzali, że nie ma takiego adresu w Nowym Jorku. Jay Rockwell *-facet od róż* - nawet o nim nie słyszał ani nie pamiętał później, że w nim był. (Tak samo jak o mnie). Spektor nie istniał, ponieważ nie mógł istnieć. Dzielnica była niedostępna dla zamkniętych umysłów.

-Celio, spotkałam dziś pewną kobietę. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale miała ludzką postać od głowy do klatki piersiowej, a reszta jej ciała przypominała... pająka. Miała odnóża pająka.

Celia uniosła jedną brew.

Opowiedziałam jej, co widziałam. Mówiłam o podejrzanym zielono-czarnej paczce w pracowni Wiktora Mała, którą potem widziałam w Smith & Co, o utkanym z pajęczej sieci kokonie, w którym zamknięty był Laurie Smith, o pająkach i wysokiej kobiecie spotkanej w uliczce, z którą zetknęłam się wcześniej już dwa ra-

zy i za każdym razem czułam ten obrzydliwy zimny ciężar w żołądku.

Moja mądra i piękna cioteczna babka przymknęła oczy i potakiwała, słuchając opowieści.

- Wiesz, kto to jest? - zapytałam z niecierpliwością. Celia przechyliła głowę w zamyśleniu.

- Myślę, że czas na filiżankę herbaty, kochanie. Wstałam.

-Hm, dobrze...

Celia wstała z wdziękiem z fotela i wsunawszy stopy w pantofle na obcasie, przeszła powoli do kuchni. Posłusznie ruszyłam za nią. Freja przyglądała się nam bez cienia zainteresowania, a potem wskoczyła na podnózek, by zająć moje miejsce.

Kuchnia była mała, lecz wygodnie urządzona. Celia wstawiła wodę, podczas gdy ja wyjęłam filiżanki. Przez dobre dziesięć minut milczała, odprawiając swoje czary (nie wiem, jak ona to robi, że jej herbata jest zawsze taka pyszna), aż w końcu naląła herbatę do filiżanek i podążyła wolno do swojego ogromnego fotela, trzymając w dłoni filiżankę na spodku. Ja szłam za nią, niosąc swoją. Usiadła, a Freja zeskoczyła z podnóżka, miaucząc z niezadowoleniem. Moja cioteczna babka najwyraźniej wierzyła w moc dobrej filiżanki herbaty, zaczęłam się więc zastanawiać, na co chciała mnie przygotować. Kiedy jednak zachowywała się w ten sposób, musiałam uzbroić się w cierpliwość. Wywieranie presji nie miało sensu. Wzięła łyk herbaty. Zrobiłam to samo. Niemal natychmiast poczułam energetyzujące działanie płynu. Czekałam. Wypiłam kolejny łyk. Ona również. Poczułam, że kłębiące się we mnie pytania zaraz mnie rozsądzą. Jeszcze jeden łyk.

- Cóż, Pandoro - zaczęła w końcu, gdy już myślałam, że eksploduję z niecierpliwości. - Wygląda na to, że pajęcza bogini przybyła do Nowego Jorku, żeby wyrównać rachunki. Pytanie tylko, która to bogini? - Zamyśliła się.

-Jest ich więcej niż jedna?

- Oczywiście, że tak, ale nie mów im tego. Bogowie i boginie odznaczają się wyjątkowym egoizmem. Zawsze tak było. Zawsze są „wyjątkowi”, „najwspanialsii” lub „najpotężniejsi”. Sądzę, że dlatego nazywa się to kompleksem Boga. - Oparła się w fotelu, stawiając pustą filiżankę na jego oparciu, i od niechcienia wygładziła materiał swojej pięknej czerwonej spódnicy.

Tylko Celia potrafiła mówić o bogach i boginiach z taką nonszalancją.

-Pomyślmy... są tkaczki wszechświata, Kobieta Pająk Indian Hopi, Staruszka Pająk z plemienia Navajo. - Celia wymieniała je jednym tchem, odliczając na palcach dłoni. Urwała. - Czy wydawała ci się babcina? - zapytała.

- Babcina? - pomyślałam o okrutnym wyrazie ust kobiety i jej mrozącym krew w żyłach śmiechu. - Nic a nic. Ale właściwie ty też nie wyglądasz jak typowa cioteczna babka - zauważyłam.

To z pewnością była prawda.

- Oczywiście, że nie wyglądam, kochanie. W każdym razie, nie wydaje mi się, żeby to była Staruszka Pająk z plemienia Navajo ani twórcy. Oni są raczej wielkoduszni. Twoja kobieta pająk była drażliwa, prawda?

Skinęłam głową.

-Można tak powiedzieć. Miałam wrażenie, że chce mnie pożreć.

Dlaczego wszyscy chcą mnie pożerać?

Skończyłam swoją herbatę i poczułam przyływ ad-

renaliny. Pochyliłam się, by postawić pustą filiżankę na podłodze, lecz dostrzegłam dezaprobatę w spojrzeniu mojej ciotki i zmieniłam zdanie. Zniosłam obie filiżanki do kuchennego zlewu. Wróciłam błyskawicznie, mając nadzieję, że Celia będzie kontynuowała naszą dyskusję bez zbędnych przerw.

- Dziękuję, kochanie. Cóż, mam nadzieję, że kobieta, którą spotkałaś, nie była japońską pajęczą boginią. Czy wyglądała na Japonkę?

- Raczej nie. - Usiadłam z podgiętymi nogami na podnóżku, próbując przypomnieć sobie to, co widziałam. - Miała czarne włosy ścięte na boba, ale... nie, nie wyglądała jak Japonka.

- To dobrze. Musiałam zapytać.

- Dlaczego? Kim jest japońska pajęcza bogini?

- Swego czasu w Japonii było wiele *Tsuchigwno* - „pajaków ziemnych” lub „pajaków ziemi”. Ale japońska pajęcza bogini to naprawdę było coś. Była nieokiełznana. Mieszkała w Alpach Japońskich. Napadała na podróżników i żywiła się nimi. Legenda głosi, że pewnej nocy bohaterski Raiko, podróżując ze służącym, zobaczył czaszkę wlatującą do jaskini. A może czaszkę wylatującą? Nie do końca wiadomo. W każdym razie wszedł do środka i przykleił się do lepkiej sieci. Jej tkaczką okazała się urodziwa kobieta - w tych opowieściach zawsze występują urodziwe kobiety, prawda? - zauważyła Celia. - Ciął ją swoim mieczem i kobieta uciekła, a gdy służący pomógł mu się uwolnić z sieci, zobaczyli na ziemi w jaskini ogromnego pajaka nadzianego na miecz Raiko. Rozcięli jego brzuch i ze środka wysypały się ludzkie czaszki oraz jej dzieci, które pozabijali jedno po drugim.

Była to dość ponura opowieść.

-Ale jeśli została zabita, to nie może być ona? - wywnioskowałam.

-Ach, Pandoro, wiele możemy nauczyć się z legend, ale nigdy nie należy traktować dosłownie ich bohaterskich zakończeń. Mężczyźni lubią się przechwalać. Bohaterowie zawsze muszą uśmiercić jedną lub dwie boginie. W rzeczywistości rzadko tak się dzieje.

- Och. - Jakoś nie dodało mi to otuchy. Niewątpliwie oznaczało to, że jeśli jakaś bogini zechce mnie uśmiercić, trudno mi będzie się bronić, nie mówiąc już o zgładzeniu jej. Oczywiście, nie zamierzałam zostać bohaterką, ale nikogo to nie obchodziło. - Powiedziała coś o tym, że nie wierzy, bym była Siódmą. Co mogła mieć na myśli? - zapytałam.

Celia zastanowiła się.

-Wiedziała, kim jesteś. Może spodziewała się walki. Pomyślałam o swojej próbie z parasolką i lakierem do włosów. Raczej mało imponujący zestaw.

- Bycie Siódmą to dar, Pandoro. Ale nie będzie łatwo. Będziesz ich przyciągać, a oni ciebie. Taka jest kolej rzeczy. - Rozmyślała przez chwilę o czymś. - Miecz Raiko nazywał się Kumokirima.ru, czyli „pogromca pajaków”. Ciekawa jestem, czy istnieje - powiedziała, prawdopodobnie sądząc, że może być przydatny.

-Czekaj, musisz mi to wyjaśnić, Co masz na myśli mówiąc „kolej rzeczy”? I kim są oni? Celia położyła chłodną dłoń na moim kolanie.

- Cóż, niełatwo wyjaśniać to za pomocą zwyczajnych słów, Pandoro. Musisz zapomnieć o tym, czego się nauczyłaś w Gretchenville. Musisz otworzyć się na prawdę, że jesteś Siódmą. Jesteś wyjątkowa i możesz być pewna,

że właśnie dlatego będziesz przyciągać potężnych. Taki jest naturalny porządek świata. Co sto pięćdziesiąt lat pojawia się napięcie, niepokój, eksplozja aktywności ze strony... cóż, różnych sił.

- Różnych sił? Masz na myśli takie siły jak kobieta pająk? Jak Krwawa Hrabina?

- Tak, I wielu innych. *Innych. Cudownie.*

-Zatem ci ludzie, czy kimkolwiek są te istoty, będą mnie tu szukać?

- No, niezupełnie. Wielu z nich tak naprawdę przybędzie tu w nadziei, że unikną spotkania z tobą. Ale tak, będą przybywać, będziecie się przyciągać.

- Pogubiłam się.

-To, kochana, jest całkiem naturalne - odparła.

Siedziałyśmy w milczeniu przez jakiś czas. Freja wciąż mnie obwąchiwała. Jej różowe, opalizujące oczy spoglądały na mnie z zaciekawieniem.

-Nadprzyrodzone pająki ze zbiorową świadomością - powiedziałam do niej szeptem. - I kokon z pajęczej sieci. To właśnie ten zapach. - Freja przechyliła łepkę na jedną stronę, analizując moje wyjaśnienie, a potem ułożyła się u moich stóp, wyraźnie tak samo zdezorientowana jak ja.

-Wiem, że czasem myślisz, iż byłoby lepiej, gdybyś tu nie przyjechała, Pandoro - powiedziała Celia. - Ale uwierz mi, te siły znalazłyby cię niezależnie od miejsca twojego pobytu.

Przełknęłam ślinę.

-Byłaś Siódmą na długo przed pojawieniem się w Spektorze. Ale czas - twój czas - nadszedł.

- Dlaczego co sto pięćdziesiąt lat? Co to oznacza?

-Twój przyjaciel to zrozumie. On wie.

- Luke? Przytaknęła.

-Ciociu Celio, skąd to wszystko wiesz? - Przeczytałam tak wiele książek mojej matki na temat mitologii i starożytnych kultur - w dzieciństwie czytałam je na okrągło, aż historie o bogach i potworach znałam tak samo dobrze jak inne dziewczynki baśnie. A jednak nie wiedziałam nawet połowy tego, co moja cioteczna babka. I z całą pewnością nigdy nie słyszałam określenia „Siódma”.

-To w pewnym sensie moje zadanie, wiedzieć - odparła, jak zwykle wymijająco.

-Ale jak odróżniasz mit od prawdy? Skąd wiesz, które z tych bogiń i istot naprawdę istnieją? - naciskałam.

- Nie wiem - odpowiedziała po prostu. - Lecz jeśli istnieją, jest szansa, że pojawią się w Spektorze.

Przyjrzałam się jej badawczo. Nie wyglądało na to, że żartuje.

- Mówisz poważnie? - zapytałam.

- Dokładnie tak, Pandoro.

Spektor to niezwykle miejsce. Było to dla mnie jasne od pierwszej chwili, gdy tylko tu przyjechałam. Może należało za to podziękować architektowi epoki wiktoriańskiej i badaczowi umysłu, Edmundowi Barrettowi?

-Pandoro, to co ludzie nazywają folklorem, to zazwyczaj relacja przekazywana od tak wielu pokoleń, że fakty wydają się nierzeczywiste. Przypomina to trochę zabawę w głuchy telefon. Szczegóły się zmieniają, ale w środku tkwi prawda. W wielu przypadkach folklor zaczyna się od prawdy.

Przez ostatnie dwa miesiące odkryłam, ku mojemu

zaskoczeniu i przerażeniu, że folklor uznawany przez współczesny świat za śmieszny, był prawdą: istnienie medium, parapsychologia, duchy, nieumarli. A skoro wampiry istniały naprawdę - choć nienawidzą, gdy się je tak nazywa - to co jeszcze było prawdą? Ile historii o potworach dotyczyło faktycznych gatunków lub istot nadprzyrodzonych? Ile starożytnych legend było opartych na rzeczywistości? Pomyślałam o kobiecie pająku, której siła i trucizna były niczym aura wokół niej. I to ciało... te pajęcze odnóża. Czaiło się w niej zło, niewątpliwie. Nie była wielkoduszną boginią.

- Zatem, jeśli nie jest Staruszką Pająkiem ani żadną z tych japońskich kobiet pajaków, to kim jest? - zapytałam

- Jeszcze jedna postać przychodzi mi do głowy. Dziwię się, że o niej nie wspomniałaś. Miałam pustkę w głowie.

- Nie wiem, o kim mówisz. Celia zmarszczyła brwi.

- Naprawdę, Pandoro? A imię Arachne? Nie brzmi znajomo? Przy twoim uwielbieniu dla starożytnej mitologii?

Rzeczywiście znałam legendę o Arachne. I zdaje się, że ostatnio widziałam gdzieś to imię. Usiłowałam sobie przypomnieć, gdzie to było, ale bezskutecznie.

- Ale ta historia na pewno jest mitem - zaprotestowałam, mając na myśli starożytne mity Greków i Rzymian. - Z pewnością nie istniała żadna Arachne ani nawet Atena.

- Ciekawe podejście - zauważyła Celia, krzyżując ramiona. Znałam to spojrzenie. Mówiło mi, że jeszcze wiele muszę się nauczyć.

Arachne...

-Chwileczkę. Już sobie przypomniałam, gdzie widziałam to imię! To ten drugi adres, który dała mi Pepper - powiedziałam, wstając z podnóżka. Wyjęłam kawałek kartki z kieszeni płaszcza i przyniosłam ją do pokoju. Rzeczywiście, imię to widniało na kartce, napisane drobnym pismem Pepper. Arachne to nazwa ostatniego projektanta, z którym miałam przeprowadzić wywiad do najnowszego numeru o dzianinach. Oprócz nazwy był tam jeszcze adres w Garment District i numer telefonu.

Celia uniosła brew.

- To dopiero zbieg okoliczności, nieprawdaż?

Według starożytnej opowieści, Arachne była wspaniałą tkaczką, której dzieła ogromnie ceniono. Była z tego tak dumna, że przechwalała się, iż jest lepsza od greckiej bogini rzemiosła Pallas Ateny. Boginię, gdy usłyszała te przechwałki, rozzłościło zarozumiałstwo młodej kobiety. Urządziła konkurs tkacki, podczas którego Arachne utkała piękny gobelin, na którym przedstawiła grzechy i uchybienia bogów. Oburzona zuchwalstwem, a być może także zazdrosna o to, że młoda tkaczka stworzyła tak piękne dzieło - w niektórych wersjach mitu także zazdrosna o jej urodę - zniszczyła gobelin Arachne, połamała jej krosna i poraniła jej twarz, a następnie przemieniła w pajaka. Bogini widocznie miała trudny charakter. Pamiętałam kilka wersów ze słynnych *Metamorfoz* Owidiusza, w których opisywał przekleństwo rzucone na Arachne: „I żyć będziesz, wisząc, teraz i na wieki, aż do ostatniej istoty twojego rodzaju”.

Arachne została zaklęta w postać pajaka - kobiety pajaka, pajęczej boginii. Została przeklęta z powodu pychy.

Każdy wie, że jestem najlepszym projektantem dziewiarstwa na świecie. Właściwie, prawdopodobnie jestem najlepszym projektantem dziewiarstwa wszech czasów - powiedział Wiktor zaledwie kilka godzin przed swoim zniknięciem. Przechwalał się. A inni? Czy to Arachne przysyłała im tajemnicze paczki? Niszczyła pracownie dziewiarstwa? Z zemsty? Z powodu ich przechwałek?

Zawahałam się.

-Ale to tylko opowieść. Przypowieść. *Metamorfozy* powstały około ósmego roku naszej ery. Niemożliwe...

I wtedy przed moimi oczami pojawiła mi się piękna, lecz zniekształcona twarz kobiety, którą spotkałam. Te delikatne linie, które widziałam, to były blizny.

-To, że coś jest w książce, nie znaczy, że nie jest prawdziwe - odpowiedziała moja cioteczna babka, spoglądając na mnie spokojnie.

Rozdział 12

Była północ i miałam niewielką szansę na sen. Zdążyłam wziąć kąpiel, wysuszyć włosy i przebrać się w koszulę nocną. Usiadłam na krawędzi łóżka i przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w głęboką czerń pierścionka z obsydianem, zanim postanowiłam, że nie położę się spać. W mojej głowie kłębiły się myśli o nadnaturalnych pająkach, starożytnych mitach, nekromantach i szalonych naukowcach, wciąż działała herbata przygotowana przez moją ciotkę. Na szczęście w sobotę nie musiałam iść do pracy, więc bezsenność nie miała znaczenia.

Czy powinnam iść jutro do Garment District? Tylko sprawdzić adres? - zastanawiałam się. Oczywiście, mogłam to zrobić w poniedziałek. Zresztą, czego bym się dowiedziała? Po tym, co - jak mi się wydaje - widziałam, i po wszystkim, co usłyszałam od Celi, koncepcja, że Arachne we własnej osobie znajduje się w Nowym Jorku, wydawała się zbyt niesamowita, by mogła być prawdziwa.

Me. To po prostu nie było możliwe.

Sen jednak wciąż nie przychodził. Wskoczyłam w swoje ulubione džinsy, włożyłam T-shirt oraz ciepły sweter i poszłam do salonu. Przez odsunięte zasłony do pokoju wpadało światło księżyca. W oddali, oświetlona niebieskawym blaskiem księżyca w pełni, rysowała się

sylwetka Empire State Building. Fotel Celi był pusty. Gdyby była typową cioteczną babką, pogrążona byłaby już we śnie, lecz ja oczami wyobraźni widziałam ją w eleganckim czerwonym kostiumie bawiącą się na mieście. Moje podejrzenia potwierdzało zniknięcie jej etoli z lisa, znajdującej się zwykle na edwardiańskim wieszaku. Byłam sama.

Wyszłam z mieszkania i stanęłam przy balustradzie. W domu panowała cisza. Spojrzałam na płytki w holu na parterze, zastanawiając się, czy jest tam gdzieś tajne przejście. Być może przejście prowadzące do miejsca spoczynku Luke'a.

Luke. *Mój duchowy przewodnik.*

-Poruczniku Luke? - zawołałam z wahaniem.

Chwilę później poczułam, jak spowija mnie chłód, przez mój pierścionek przepłynęła krótką, lecz intensywną falą ciepła. Spoglądałam na niego, gdy materializował się obok mnie, najpierw jako biały mglisty kształt, a potem jako przystojny żołnierz, którego znałam.

- Panno Pandoro. -Luke. Witaj.

Gdy jego błyszczące błękitne oczy napotkały moje spojrzenie, przez chwilę uśmiechałam się szeroko. Wydawał się jeszcze bardziej przystojny. A może było coś nazbyt pociągającego w tym, że pojawiał się na moje wezwanie? Pewnie jedno i drugie.

- Czy wszystko w porządku z twoją ręką? - zapytał.

- Z moją ręką?

- Patrzyłaś na nią.

-Ach, tak. - Odwróciłam dłoń, marszcząc brwi. - Celia dała mi ten pierścionek... Przez chwilę był niemal gorący. Albo tak mi się wydawało.

Przyjrzał mu się i na jego czole zarysowały się dwie zmarszczki.

- Ten pierścień ma władzę - powiedział. Zdumiałam się.

-Jak to?

-Jesteś zakotwiczona - wyjaśnił. - Pomaga ci pozostać na tym świecie, gdy porozumiewasz się ze zmarłymi. Ze zmarłymi. Takimi jak on. Oparłam się o balustradę, słuchając jego słów.

- Skąd to wiesz? -Wyczuwam to - odparł.

- Och! - Wyprostowałam się nagle. - Mam go zdjąć? Sprawia ci ból? - Wpadłam w lekką panikę.

- Nie, panno Pandoro - zapewnił mnie. - Zakotwicza ciebie i daje ci siłę, ale na mnie nie ma wpływu. Chroni cię.

Choć nie bardzo rozumiałam to, co mówił o świecie duchów i jego połączeniu ze światem śmiertelników, poczułam się bezpieczna. Celia powiedziała, że pierścionek był talizmanem Madame Aurory. Zastanawiałam się, jaką ma moc. Co z nim przeżyła Madame Aurora? Albo co osiągnęła?

- Luke, możemy porozmawiać? Masz czas?

- Panno Pandoro, ja nie mam czasu, ale też nie mam nic innego poza czasem - odpowiedział. Zdjął czapkę i trzymał ją przy piersi. - To, co mam, oddaję tobie.

Poczułam, jak drżą mi nogi i rumienią się policzki. Spojrzałam na swoje stopy, czekając, aż moja twarz przybierze zwykłe barwy. Rumienię się w obecności ducha? To śmieszne. Co gorsza, rumienię się z powodu ducha. Czułam dezaprobatę mojego ojca zza grobu.

Tym razem słowa Luke'a nie były łamigłówką. Duchy, takie jak on, odeszły na zawsze. Nie miały przed sobą

żadnego czasu, jak śmiertelnicy, ani przeznaczenia. Żadnego dobytku. Ziemskiego ciała. Aktywności dziennej. Miały tylko duszę. Luke musnął moją brodę chłodnym mglistym palcem, unosząc do góry moją twarz.

- Żałuję, że nie mogę więcej dla ciebie zrobić - powiedział. - Być kimś więcej.

Miałam ochotę go pocałować.

-Ja... - zaczęłam, nie do końca pewna, co chciałam wyznać. Cisza stawała się krępująca. Musiałam coś powiedzieć. - Zejdiesz ze mną na dół? - poprosiłam go w końcu, zdenerwowana.

- Oczywiście, panno Pandoro.

Zjechaliśmy windą do holu. Luke prawdopodobnie mógłby przeniknąć przez strop i spotkać się ze mną na dole, ale z grzeczności dał się zamknąć w małej klatce windy. Trzymał obiema rękami czapkę, gdy winda - grzechocząc i trzęsąc - zjeżdżała w dół. Pomyślałam o tym, że nigdy nie będziemy mogli iść razem ulicą. Ani pójść do kina. Nawet wyjść z domu... A jednak czułam się przy nim tak bezpieczna. Znów spuściłam wzrok i spojrzałam na mój pierścionek. Skąd ten gorący impuls? Co oznaczał?

Wysiedliśmy z windy i stanęliśmy na środku holu.

Miałam pomysł.

Kiedy Luke zobaczył, że kieruję się do wyjścia, zwolnił. Podeszłam do wielkich drewnianych drzwi i otworzyłam je. Do holu wtargnęło nocne powietrze wraz z delikatnym zapachem typowej dla Spektora mgły.

- Chodź - przywołałam go.

Porucznik Luke zatrzymał się dokładnie pod zakurczonym żyrandolem.

- Nie mogę przekroczyć progu rezydencji - powiedział. - Jestem tu uwięziony.

Pomyślałam o dziwnych nadprzyrodzonych zasadach, które poznałam - o tym, że sangwincy muszą zostać zaproszeni, by móc wejść do domu, że krzyż ma na nich wpływ tylko wówczas, gdy wierzą w jego siłę. (Choć według Celi wymagałoby to wielkiej wiary, by stanąć w płomieniach...). Pomyślałam o pierścionku. Kto wie, jaką władzę i magię miał w sobie?

- Myślę, że dasz radę - odezwałam się do niego. - Musisz tylko uwierzyć - dodałam z przekonaniem i zrozumiałam, że w dużym stopniu wierzę w to, co mówię. Czy Luke'a kiedykolwiek poproszono, by wyszedł?

- Nie mogę. Przepraszam, panno Pandoro. - Stał nieruchomo. Przekroczyłam próg i owionęło mnie zimne nocne powietrze. Wyciągnęłam do niego rękę.

Całe jego ciało zeszywniało. Przez chwilę staliśmy tak oddaleni o kilka metrów, każde twardo na swoim miejscu. Miałam nadzieję, że pojawi się jakiś impuls w pierścionku, jakaś kolejna fala ciepła, coś, co oznaczałoby, że ten dziwny talizman od Celi pomoże mi przeprowadzić Luke'a przez drzwi. Nic takiego się nie stało, ale gdy już wydawało mi się, że będziemy tak trwać w impasie, Luke nałożył czapkę na głowę i ruszył wolno w moim kierunku.

- Potrafisz to zrobić, Luke - zachęcałam go. *Proszę...*

Trzymałam wyciągniętą ku niemu rękę, a on zbliżał się, stawiając wolno kroki. Jego skórzane buty nie wydawały żadnych dźwięków. Bliżej. Jeszcze bliżej. Nasze dłonie już prawie się dotykały. I nagle, gdy tylko przekroczył próg, gdy był zaledwie kilka centymetrów od moich palców, zniknął.

- Nie! - krzyknęłam zduszonym głosem.

Wbiegłam z powrotem do holu. Drzwi zatrzasnęły się za mną, wznosząc obłok kurzu.

- Luke? Luke? - Nie było go.

- Mówiłem, że nie mogę wyjść.

Obejrzałam się w stronę, skąd dochodził jego głos, i po chwili porucznik Luke zmaterializował się jako biały kształt u stóp schodów. Kiedy odzyskał pełną formę, odetchnęłam głęboko, wypuszczając zgromadzone w płucach powietrze.

Przesunęłam dłonią po twarzy.

-Tak mi przykro. Miałam nadzieję...

-To ja powinienem przeproszać, panno Pandoro -odparł. - Moim przeznaczeniem jest tu pozostać. Nie wiem, dlaczego tak jest.

Szczerłość w jego głosie jeszcze bardziej mnie zawstydziła. Wcześniej myślałam, że warto chociaż spróbować, ale teraz czułam, że byłam egoistką. Przygnębiona usiadłam na schodach. Luke usiadł obok mnie.

- W mieście przebywa kobieta... bogini pajaków - zaczęłam wyjaśniać. - Śledziła mnie przez cały tydzień, a dziś mnie zaatakowała. Chyba... - Zawahałam się. - Chyba się boję. Chyba miałam nadzieję, że mógłbyś mi jakoś pomóc - ponieważ jesteś moim przewodnikiem duchowym.

Poczułam się dziwnie, wypowiadając te słowa, a co jeszcze dziwniejsze, Luke nie zaprotestował ani nie skomentował tego. Zupełnie, jakby już wiedział albo spodziewał się takiej roli.

-Nie wiem, co to wszystko oznacza - powiedziałam i oparłam brodę na kolanach. Jeśli był moim przewodnikiem duchowym, to jak to działało? Dlaczego nie mógł wyjść ze mną z budynku? Może miał rację? Może jego przeznaczeniem było tu pozostać? A może coś jeszcze

dałoby się zrobić? Może Deus miał rację co do Barretta. Nie miałam pojęcia.

Ku mojemu zaskoczeniu Luke czujnie uniósł głowę i spojrzał w kierunku windy. Zastanawiałam się, co wyczuł, a kilka sekund później usłyszałam, jak winda rusza. Nerwowo obserwowałam jej jazdę w górę. Pierwsze piętro. Drugie. Zatrzymała się. Drugie czy trzecie piętro? Nie dojechała na najwyższy poziom, tego byłam pewna. Czy Atanazja zamierzała złożyć nam wizytę?

-Coś się zbliża - powiedziałam, choć to było oczywiste. Wstałam, gotowa na spotkanie. Nie było sensu rozpaczać nad Lukiem. Z pewnością nie teraz, gdy istotniejsze były inne kwestie. Jak na przykład ta, czy mam przy sobie ryż. (Nie miałam). Przez chwilę rozważałam, czy nie opuścić budynku i nie uciec na ulicę, ale niewiele by to pomogło. Wewnątrz byłam przynajmniej chroniona przez panią tego domu i zgodnie z jej zasadami nie można było mnie skrzywdzić. Chroniona jakoś. Nie bardzo miałam ochotę testować tę zasadę.

Nasłuchiwałam, jak winda zjeżdża na dół. Wkrótce pojawiła się w holu, a w środku stała samotna szczupła postać w szarym kostiumie.

Odetchnęłam.

To była Samanta, pisklę sangwinika.

- Cześć, Pandoro - odezwała się łagodnie.

Moja poprzedniczka z redakcji „Pandory” nie wyglądała dobrze. Jej cera stała się blada, a twarz była jeszcze bardziej wychudzona. Samanta wciąż nosiła mój stary kostium. Właściwie, nie był stary. Kupiłam go w Gretchenville, w najlepszym butik w mieście, przygotowując się do mojego ekscytującego życia w Nowym

Jorku, lecz usłyszawszy kilka nieprzyjemnych komentarzy na jego temat (widocznie nie był wystarczająco odjechany, delikatnie mówiąc), nie mogłam się doczekać, by go wyrzucić. Ostatecznie dałam go Samancie, która straciła swoje ubranie i wszystkie dokumenty, gdy ją spotkałam. (Tak naprawdę to nie było żadne spotkanie, tylko raczej desperacka próba zdobycia krwi). Wyglądało na to, że nosiła go na okrągło, odkąd go dostała. Był brudny i wytarty na krawędziach nogawek przy jej brudnych bosych stopach.

- Cześć, Samanto. Dawno cię nie widziałam, zaczynałam się martwić - przywitałam ją.

Wzruszyła ramionami w odpowiedzi.

- Nie jesteś z resztą?

Zagryzła wargi i wpatrywała się w palce u stóp. Przebierała nimi, a potem zaczęła okręcać swoje nieco przetłuszczone blond włosy wokół palca.

-Atanazja nie lubi, gdy się przy niej kręcę - powiedziała w końcu.

- Po co miałabyś w ogóle chcieć z nimi przebywać? -zapytałam.

-Jest przecież, no wiesz... moją matką. Westchnęłam i potrząsnęłam głową.

- Nie jest twoją matką, Samanto.

Już to przerabiałymy. Miałam zdjęcie z jej prawdziwą matką w szufladzie biurka w redakcji; zdjęcie, którego nie potrafiłam wyrzucić. Bolało mnie, że jej matka nigdy się nie dowie, co się stało z jej córką. Nie wiedziałam, czy byłoby lepiej, gdybym dała to zdjęcie Samancie. Gdyby wyruszyła na ulice Nowego Jorku w poszukiwaniu swojej matki, sprawy przybrałyby dla niej zły obrót. Nie, pokazanie tej smutnej wampirzycy zdjęcia z jej wcześ-

niejszego życia nie byłoby mądre. Lepiej, żeby nigdy nie zobaczyła swojej rodziny. Kiedy stajesz się krwiopijcą, wszystkie więzi ze starym, śmiertelnym ludzkim światem muszą zostać zerwane. Wiele musiałam się jeszcze nauczyć, ale to już wiedziałam.

-Jest Atanazja? - zapytałam, rozglądając się podejrzliwie.

Samanta zaprzeczyła.

- Mówi się, że musiała zejść pod ziemię. -Cmentarz - wyjaśnił mi Luke cichym głosem. -

Czarna ziemia ma moc uzdrawiania. *Obrzydlistwo*.

-A reszta? - zapytałam Samantę. Wzruszyła lekko ramionami.

- Pewnie poszły szukać krwi. *Podwójne obrzydlistwo*.

-A ty, Samanto? Czym się żywisz?

- Krwią szczurów. Opanowałam odruch wymiotny.

- Dobrze - zdołałam wydusić.

Samanta rozejrzała się po holu i przestąpiła z nogi na nogę. Nie skupiała się na niczym szczególnym. -Mówią, że to osłabia, ale...

- Nie, to dobrze - zapewniłam ją. - Nie ma nic złego w szczurach.

Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, czy coś złego było w wypijaniu przez sangwiników krwi szczurów, ale było to o wiele lepsze niż alternatywa. Nie chciałam, żeby zerowała w Central Parku albo kręciła się po stacjach metra w Nowym Jorku, zaczepiając pasażerów. Mimo to wyglądała dość paskudnie. Miała wychudzoną i bladą twarz. Nie widziałam nigdy, by wyglądała do-

brze. Cóż, należy pamiętać, że gdy ją pierwszy raz spotkałam, była zagubiona, porzucona i dopiero co przemieniona w nieumarłą. Nie wiedziała, czy żyje, czy też nie, a jej kości policzkowe były ostro zarysowane. Nikt jej nie nauczył podstawowych zasad. Nikt nie powiedział, że potrzebuje krwi. Samanta gryzła drewnianą poręcz schodów na trzecim piętrze, niczym ząbkujący szczeniak, gdy Celia - na moją prośbę - zeszła i pomogła jej pożywić się krwią dwóch szczurów. Sądzę, że stąd jej przyzwyczajenie do gryzoni.

(Gdyby Atanazja była jej matką, opieka społeczna z pewnością wzięłaby ją pod lupę).

Porucznik Luke obserwował Samantę z uwagą. Wiedział, że jesteśmy w przyjaznych stosunkach, a przynajmniej tak przyjaznych, jak można być z kimś, kto próbował kiedyś przegryźć ci gardło, lecz jej bliskość wyraźnie go niepokoiła.

- Słyszałam, że z kimś rozmawiasz - powiedziała. Nie mogła widzieć Luke'a. Duchy pojawiają się niewielu żywym i jeszcze mniejszej liczbie nieumarłych.

- Tak. Jest ze mną przyjaciel, Samanto - wyjaśniłam. - Chyba już ci o nim opowiadałam.

- Nieżyjący żołnierz? Wzdrygnęłam się.

- Samanto, zastanawiałam się, czy mogłabyś mi pomóc w pewnej sprawie. Czy w tym budynku są jakieś tajemne przejścia? Ukryte korytarze lub coś w tym rodzaju?

Wzruszyła ramionami. - Jakieś szkielety... lub trumny? Luke spojrzał na mnie dziwnie. Samanta ochoczo pokiwała głową.

- Och tak. Nawet kilka. Westchnęłam.

- Naprawdę? Gdzie?

- Pokażę ci. - Ożywiła się trochę na myśl, że może być pomocna.

Poszliśmy za nią do windy, gdzie nacisnęła guzik drugiego piętra. Kiedy wyjaśniałam jej, że architekt, który zaprojektował ten budynek, przeprowadzał tu dziwne eksperymenty i być może używał w tym celu ludzkich szczątków, pozostała niewzruszona. Taki jest skutek śmierci, jak sądzę.

-Może powinnam pomyśleć o, no wiesz, środkach ostrożności - powiedziałam, czując się trochę niepewnie na drugim piętrze, na których znajdowała się melina Atanazji i jej gangu. Zawsze trzymałam się z daleka od tego piętra. - Nie czuję się tu bezpiecznie.

- Dlaczego? - zapytała Samanta. - Ich tu nie ma.

Winda jechała w górę, a Luke przysłuchiwał się naszej rozmowie z mocno zaciśniętą szczęką. W pewnej chwili zrobił krok poza ścianę windy i zniknął. Otworzyłam szeroko oczy i usta ze zdziwienia, ale nic nie powiedziałam. Samanta nie zauważyła jego odejścia ani też mojej reakcji. Wjechałyśmy na drugie piętro i gdy drzwi windy się otworzyły, Luke już na nas czekał.

-Myślę, że obecnie na tym piętrze nie ma żadnego sangwinika - poinformował. - Z wyjątkiem tego, obok ciebie. - Ruchem brody wskazał Samantę i posłał jej kamienne spojrzenie. Młoda kobieta ledwo sięgała mu do piersi. Kiedy ją poznałam, musiał interweniować. Od tej pory jej nie ufał. A raczej, wyglądało na to, że nie ufał żadnemu sangwinikowi. W czym, jeśli się zastanowić, miał rację.

Skinęłam głową.

- Dziękuję - powiedziałam cicho.

Drugie piętro wyglądało mniej więcej tak, jak sobie wyobrażałam. Widziałam je wiele razy, jadąc windą. Pajęczyny. Zepsute kinkiety. Kurz. Były tam podwójne drzwi, takie jak te prowadzące do mieszkania Celi, tyle że podrapane i niemalowane. Samanta poprowadziła nas do nich, a gdy je otwierała, zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy. Spojrzałam na Luke'a, na jego poważną i zatroskaną twarz, lecz mimo to postanowiłam iść za Samantą. Weszliśmy do dużego, słabo oświetlonego salonu. Wysokie okna były zabite deskami od środka, co skutecznie nie dopuszczało światła słonecznego. Pod ścianami ustawiono kilka złożonych sof w stylu wiktoriańskim, a obok nich - stare mosiężne łóżko, niedbale zasłane ciemną jedwabną narzutą. Zobaczyłam na podłodze kilka butelek - być może po winie - niektóre były puste i przewracane. Na samym środku, na podłodze leżał żyrandol niczym ogromna kryształowa rzeźba pokryta kurzem. Jedynym źródłem światła była żarówka zwisająca spod sufitu. Zauważyłam, że stara, ozdobna, choć poplamiona tapeta, była oderwana od ściany. Całe jej płaty odchodziły, jakby zwierzę z pazurami rzuciło się na nią i podarło, odsłaniając fragmenty nagich ścian.

- Zatem, tutaj śpisz? - zapytałam.

-Nie. Atanazja nie lubi, gdy kręcę się blisko niej. Ale pozwala mi tu pracować, co jest super. *Pracować?*

-Tędy - powiedziała Samanta.

Poprowadziła nas pustym korytarzem i zatrzymała się przy drzwiach. Zdałam sobie sprawę, że znajdujemy się dokładnie dwa piętra pod wejściem do mojej sypialni

w mieszkaniu Celi. Poczułam niepokojący chłód w żołądku, jakbyśmy mieli napotkać za tymi drzwiami coś niezwykłego. Opanowałam się. O *rety*.

Samanta przekręciła gałkę. Za drzwiami była... garderoba?

Ściany od podłogi do sufitu zajmowały półki pełne kolorowych ubrań od projektantów. Buty, botki i drewniane kufry ustawione były na podłodze. Jaskrawe sukienki i bluzki wisiały na wieszakach. Dżinsy i skórzane spodnie leżały złożone na półkach. Na haczykach wisiały dodatki. Kapelusze. Torebki. Szpilki. Rękawiczki.

Codo...?

- Samanto, co to jest?

- Pokój Atanazji - odparła, a ja prawie się zakrztusiłam. Popatrzyłam na jej ponurą twarz. Nie żartowała. Podejrzywałam, że Samanta-sangwinik nie umiała żartować. - Śpi w tej - dodała, wskazując obok moich stóp.

Zauważyłam krawędź błyszczącej drewnianej trumny i odskoczyłam na bok.

- A pozostałe śpią w tych trzech.

To, co wzięłam za kufry stojące pod ścianą, okazało się trumnami, częściowo zakrytymi wiszącą nad nimi odzieżą. Zakryłam dłonią usta. Zabrakło mi słów i na chwilę przestałam oddychać. Pomimo wszystkiego, co widziałam, odkąd zamieszkałam w Spektorze, nie spodziewałam się, że sangwinicy naprawdę śpią w trumnach. Myślałam, że to tylko wymysł rodem z horrorów z wytworni Hammer, tak samo daleki od rzeczywistości jak machający krucyfiksem Van Helsing w wykonaniu Petera Cushinga albo sztuczne kły Christophera Lee. To głupie z mojej strony, że nawet nie rozważyłam takiej

możliwości. To nie były szczątki z eksperymentów Barretta, tylko miejsce, gdzie moja nemezis spała. (A także, jak widać, ubierała się). Samanta zaprowadziła mnie prosto do jaskini lwa.

- Och. - Zagryzłam usta. *Me powinno mnie tu być.*

- Pozwala mi tu przychodzić i polerować swoją trumnę. I rozwieszać ubrania.

Było tu więcej strojów niż w garderobie teatralnej, a jednak Samanta, dziewczyna, która pracowała w „Pandorze”, piśmie o modzie, nosiła coraz bardziej wytarty, poliestrowy kostium, ponieważ została pozbawiona swoich ubrań, gdy ją przemieniono. Byle tylko Atanazja i jej harpie miały kolejny ciuszek w szafie.

Atanazja jest skończoną świnią - pomyślałam.

Luke podszedł bliżej mnie.

- Sangwinicy często wolą spać w całkowicie zamkniętych trumnach, żeby bardziej się schować - wyszeptał mi do ucha. - Lecz wielu wybiera trumny ze względu na tradycję. Trumna jest oznaką statusu.

- Rozumiem - powiedziałam na głos.

- Ja nie mam swojej trumny - wyjaśniła Samanta, myśląc, że mówiłam do niej. - Śpię na podłodze piętro wyżej.

Tak bardzo było mi żal Samanty, że nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Czy chciałabyś, żebym znalazła ci trumnę, Samanto? - usłyszałam swoje słowa. - Czy czułabyś się lepiej?

Skąd ja wytrzasnę trumnę? Wzruszyła ramionami.

- Chyba tak - odparła obojętnym głosem. Wydawało się, że nic nie było w stanie przebić muru

obojętności wokół smutnej, młodej wampirzycy. Wycofałam się za próg sypialni.

- A gdzie widziałaś szkielety? - odważyłam się zapytać.

- Jakie szkielety? Zamrugałam.

- Dziękuję, że pokazałaś mi, hm, trumny - popatrzyłam na ubrania, a potem na Samantę. - Dlaczego po prostu nie weźmiesz stąd jakiegoś ubrania, Samanto? Na przykład Pradę - powiedziałam, robiąc krok do przodu i ściągnając płaszcz z wieszaka. - Albo spodni? - Wskazałam na półkę. - I butów. One nie potrzebują tego wszystkiego.

-Nie mogłabym! - wykrzyknęła, całkowicie zszokowana moją propozycją. - Zabiłaby mnie.

-Już to zrobiła, Samanto. Musisz przestać być jej niewolnicą.

Przez cały czas porucznik Luke stał tuż za moimi plecami, nie odzywając się. Poczułam nagle, że coś przykuło jego uwagę i odwróciłam się w samą porę, by zobaczyć, jak przechodzi przez ścianę ubrań. Nie było go chyba minutę, a ja nerwowo oczekiwałam jego powrotu. Co się działo tym razem?

-Samanto, nie możesz pozwalać, by traktowały cię w ten sposób. To niesprawiedliwe.

Poczułam chłodny powiew, gdy Luke wrócił.

- Musisz stąd iść, natychmiast - powiedział, pojawiając się u mojego boku. Chwycił mnie mocno za rękę. - Teraz.

-Atanazja wróciła? - zapytałam szeptem. - Myślałam, że jest pod ziemią?

- Nie. To pozostałe. Nie są same.

Poczułam ucisk w gardle. Wycofałam się z pokoju. Samanta wydawała się zdezorientowana. -Chcesz zobaczyć jej trumnę od środka? Jest naprawdę ładna. Wyściełana.

- Och, nie. Dziękuję Samanto - odpowiedziałam. - Chyba dziewczyny wracają. Naprawdę, powinnam już iść.

-Wracają? - powtórzyła powoli i ostrożnie odwiesiła płaszcz od Prądy na miejsce, strzepując pyłek kurzu. - Chyba ja też już pójdę do siebie. Nie lubią, jak tu jestem.

I jestem pewna, że nie spodoba im się, że ja tu jestem
Odwróciłam się i ruszyłam biegiem przez korytarz i salon. Szybko dotarłam do podwójnych drzwi, lecz gdy je otworzyłam i spojrzałam na podest, nie potrzebowałam zdolności Luke'a, by wiedzieć, że jest już za późno. Windy nie było. Jechała w dół, do holu. A może nawet z powrotem w górę. *No ładnie.*

Wbiegłam do środka i zamknęłam drzwi z piskiem.

- Czy jest stąd inne wyjście? - zapytałam bez tchu. -Albo miejsce, gdzie mogę się schować? Dokąd prowadzą te drzwi? - Wskazałam na sąsiednie drzwi w małym korytarzu. Czy mogą prowadzić do przedsionka? Drogi ucieczki?

Samanta wzruszyła ramionami.

-Tak, możesz tam wejść - powiedziała.

Słyszałam zbliżające się kroki. Były blisko. Jakim sposobem? Otworzyłam drzwi i weszłam do pokoju. Miałam nadzieję, że znajdę tu jedno z tajemnych przejść Barretta.

- Nie ma światła. Co to za miejsce? - wyszeptałam. Samanta ponownie wzruszyła ramionami i zamknęła drzwi. Wszystko pogrążyło się w ciemności.

Rozdział 13

Wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam. Gdzieś poza ciemnym dusznym pokojem, w którym się ukryłam, rozległo się skrzypienie otwieranych drzwi i stukanie obcasów, a potem ostry śmiech, przypominający mnie o ciarki.

-Skończyłaś sprzątać trumny? - powiedział ktoś kpiąco, prawdopodobnie do Samanty.

Wampirze supermodelki

Zdawało mi się, że słyszę głos blondynki. Nie usłyszałam odpowiedzi Samanty. Może jak zwykle wzruszyła ramionami. Chyba naprawdę przyjęła bierną postawę nieumarłych. Jak mogła pozwolić, żeby tak ją traktowały? Miałam nadzieję, że wkrótce położą się w swoich trumnach kiepsko zakamuflowanych ubraniami Miu Miu i zasną. Nie byłam pewna, która jest godzina, ale skoro ta okropna trójka wróciła, to chyba szykowały się do snu. Prawda?

Błagam.

Pokój pachniał stęchlizną i był dziwnie nieprzyjemny. Niewiele widziałam. Luke dołączył do mnie. Dostrzegłam delikatny blask jego niebieskich oczu w odległości kilkudziesięciu centymetrów ode mnie. Patrzyły na mnie z troską. Na szczęście nie był osobą powtarzającą „a nie mówiłem”, ale i tak czułam się głupio. Byłam pewna, że Luke przewidział tę sytuację. Milczałam. On także.

Na prawo od drzwi błysnęło światło, ściana w tym miejscu była naruszona przez gryzonie albo uszkodzona przez wilgoć. Ostrożnie przesunęłam się w tym kierunku i z hukiem zahaczyłam stopą o jakieś pudło. Przez chwilę czekałam, sprawdzając, czy któraś to usłyszała, lecz one dalej rozmawiały. Postanowiłam nie ruszać się, póki wzrok nie przyzwyczai się do ciemności. Czekałam cierpliwie i po krótkiej chwili zaczęłam odróżniać kształty, a nawet przedmioty tam, gdzie padało światło przefiltrowane przez ścianę. Pokój wypełniały różne graty, na podłodze niemal nie było wolnego miejsca.

-To schowek, prawda? - biadałam cicho. - Nie zaprowadziła mnie do tajemnego przejścia? Jestem w jakimś pomieszczeniu gospodarczym.

-Tak. Nigdy wcześniej tu nie byłem - przyznał Luke. A po chwili dodał: - To tutaj trzymają rzeczy, które znaleźli.

- Atanazja trzyma tu rzeczy?

- Ktoś przed nią.

Bez wątpienia lepiej niż ja widział przedmioty znajdujące się w pokoju. Takie były korzyści z bycia martwym, przypuszczam.

- Cóż, a gdzie znaleźli to? - zapytałam, unosząc coś, co wyglądało jak zgięta trąbka. Byłam przygnębiona. Z pewnością gdzieś tutaj znajdowało się przejście, z którego mogłabym skorzystać, gdyby Samanta zaprowadziła mnie tam, gdzie trzeba. A teraz utknęłam w przechowalni pamiątek.

- Och, widzę je - wyszeptałam. Przysunęłam twarz do ściany, szukając słabego światła z salonu za ścianą, aż moje prawe oko znalazło się na wysokości małej dziurki. Miałam dobry widok na salon. - Chyba poczekam, aż

znikną z pola widzenia, i pobiegnę do windy - rozważałam przyciszonym głosem. - Katastrofa.

- Coś tu jest. - Usłyszałam słowa Luke'a, wypowiedziane dziwnie roztargnionym głosem. Odwróciłam się i spojrzałam na niego, ale nie mogłam dojrzeć wyrazu jego twarzy.

- Nic ci nie jest? - zapytałam, patrząc na jego połyskujące w ciemności oczy.

- Coś... - Jego głos zabrzmiał złowieszczo.

Głosy w sąsiednim pokoju znów przyciągnęły moją uwagę do dziury w ścianie. Blondynka, brunetka i ruda znęcały się nad Samantą i w końcu zobaczyłam, że -tak jak powiedział Luke - nie były same. Przyprowały ze sobą młodego ciemnowłosego mężczyznę, być może czwartego sangwinika. Pisknę tak jak one? Zatem teraz mam unikać czterech zestawów kłów? *Świetnie*. Trzy kobiety były ubrane modnie i prowokująco, jak zwykle. Brunetka miała na sobie obcisłą sukienkę z rozcięciem aż do uda. Blondynka nosiła kabaretki i minispódniczkę, która wyglądała, jakby uszyto ją z kawałka błyszczącego plastiku. A ruda ubrała się w skórzane spodnie i gorset, odsłaniając spory kawałek dekoltu.

- Przynies nam butelkę - rozkazała brunetka, a Samanta skierowała się w stronę niewidocznego kąta pokoju i wróciła z butelką jakiegoś likieru.

W tym czasie blondynka nieustannie pstrykała zapalniczką, jakby była w transie.

-Daj mi to - warknęła brunetka i chwyciła zapalniczkę. - Możesz odejść - powiedziała do nieszczęsnej Samanty, która oddaliła się dokładnie w tym kierunku, o którym sama marzyłam. Pomyślałam sobie, że pewnie wyjdzie na ulicę w Spektorze, by zapolować na jakiegoś

gryzonia albo pojedzie windą na swoje puste legowisko piętro wyżej, usiądzie na podłodze i będzie się wpatrywać w ścianę.
Biedactwo.

Brunetka - która, przypuszczam, miała zakusy na pozycję liderki - zapaliła sześcioramienny świecznik i, kołysząc biodrami, podeszła z nim do mężczyzny.

Doskonale. Czas na rozrywkę.

Me mogłam tu siedzieć wieczność.

Zauważyłam, że ich gość był przystojny. Mógł niedawno skończyć dwadzieścia lat, a może nawet nie. Ubrany był w dżinsy i ciężką skórzaną kurtkę oraz szalik. Oczywiście, trzy kobiety były o wiele bardziej skąpo ubrane, jakby spodziewały się zupełnie innej pory roku. To właśnie ten szczegół zwrócił moją uwagę. On wyglądał inaczej niż one. Nie był gościem - był ofiarą. Miałam złe przeczucia, obserwując drapieżne ruchy kobiet - zachowywały się jak koty prześladowujące swoją ofiarę. Napięcie rosło. Pochyliły się lekko i niczym skradające się cienie zaczęły się zbliżać do mężczyzny. Był wyraźnie odurzony, lecz nawet w tym stanie zdawał się wyczuwać zmianę wokół swojej osoby. Cofnął się i podniósł ręce do twarzy. Opierając jedną stopę o krawędź łóżka, brunetka pchnęła go smukłym ramieniem. Upadł na plecy. Ruda zdjęła mu kurtkę, a blondynka zaczęła rozpinąć jego koszulę. Chwilę później był półnagi. Jego skóra była blada, lecz nie tak jak umięśnione, bezkrwiste udo brunetki, gdy oparła je uwodzicielsko o niego.

To śmiertelnik. O nie. To śmiertelnik...

Słyszałam, jak Luke przerzuca stos gratów za moimi plecami - wydawało mi się, że słyszę brzęk tamburynu,

ale byłam zbyt zaabsorbowana sceną rozgrywającą się przed moimi oczami, by zastanawiać się, co i dlaczego robi.

Młody mężczyzna nie powiedział ani słowa - a przynajmniej nic, co mogłam usłyszeć - ale teraz krzyknął z bólu lub ze strachu. Brunetka trzymała jedną rękę na jego szyi i, siedząc przy nim, zatapiała w nim kły. Przechyliła jego głowę na bok. Jej długie włosy opadły na jego ciało. Usiadła na nim okrakiem i ponownie przysunęła się do jego szyi. Wysysając z niego krew, z zachwytem wodziła długimi palcami po jego ciele, wydając zmysłowe, zwierzęce odgłosy. Zastanawiałam się, jak długo będzie się pożywiać jego krwią, zanim przekaże go pozostałym. Nie miał żadnych szans.

Poczułam mdłości.

Odwróciłam się od ściany, chciałam jakoś przerwać ten koszmar. Przecież musiałam coś zrobić, prawda? Za kilka minut te trzy istoty wypiją z niego ostatnią kroplę krwi. Zabiją go tam, na tym łóżku, a ja będę współwinna jego śmierci, gdyż nie zrobiłam nic, żeby je powstrzymać!

-Luke, one go zabijają... - wyszeptałam. - Nie mogę im na to pozwolić!

Rozległ się głośny brzęk. Luke coś przewrócił, a za ścianą usłyszałam czyjś głos. Zerknęłam przez dziurę i zobaczyłam, że brunetka uniosła głowę znad ciała mężczyzny i spoglądała w naszą stronę. Po brodzie spływała jej świeża krew. Poczułam, jak żołądek wywraca mi się do góry nogami.

O nie, usłyszała nas.

I wtedy dobiegły mnie głośne i wyraźne słowa Luke'a. - Moja szabla? - powiedział z niedowierzaniem.

- Ciiii. Co? - szepnęłam zdenerwowana. Odwróciłam głowę. Wciąż trudno mi było cokolwiek zobaczyć w zagraconym pomieszczeniu, ale wyczuwałam podekscytowanie Luke'a, zupełnie jak swoje własne. Coś się działo. Mój pierścionek wysłał kolejną falę ciepła, tym razem silniejszą niż poprzednia, i niemal wibrował - a sam Luke - nie tylko jego oczy, ale i cała postać - zaczął jaśnieć, od czapki na głowie po skórzane buty. Dzięki temu całkiem wyraźnie widziałam teraz przedmioty znajdujące się w pokoju. Były to same starocie. Zepsute instrumenty muzyczne. Kufry. Stara szafka. Widziałam też, że Luke, wciąż emanując niezwykle intensywnym blaskiem, stoi nad kufrem, a w dłoni trzyma długą, lekko zakrzywioną szablę w srebrzystej metalowej pochwie. Jej rękojeść była brązowa i miała szeroki elegancki kabłąk. Przyglądał jej się uważnie, z wyraźnym podziwem.

- Moja szabla - powtórzył. W jego głosie słychać było emocje. Trzymał rękojeść z uwielbieniem i zdumieniem, podczas gdy ja obserwowałam go oniemiała. - Moje inicjały. To są moje inicjały.

-Co się dzieje? - zapytałam cicho. - Bije od ciebie blask... Cały promieniejesz...

- Poznaje każdą rysę, każde zadrapanie - powiedział, dziwiąc się swojemu znalezisku. - Nie widziałem jej od stu pięćdziesięciu lat. Nie mam pojęcia, jak się tu znalazła.

Wolnym ruchem Luke wyciągnął szablę z pochwy.

Nagły impuls gorąca przepłynął przez mój pierścionek z obsydianem i przez całe moje ciało, prosto do Luke'a. Z trudem łapałam powietrze.

Co to było?

A potem, tak po prostu, wszystko zgasło.

W pokoju znów zapanowała ciemność. Ciepło i wibracje w pierścionku ustąpiły. Poczułam się wyczerpana i zdezorientowana i przez chwilę stałam, dysząc w ciemnościach. Nic nie widziałam, nawet błyszczących niebieskich oczu Luke'a. Dopiero gdy mój wzrok przyzwyczaił się do panującego mroku, znów dostrzegłam dziury w ścianie. Nie wiedziałam, gdzie jest Luke i czy nadal przebywa w pokoju.

- Luke? - wyszeptałam.

- Panno Pandoro.

Jego głos dobiegał z bliska, lecz wciąż go nie widziałam.

- Panno Pandoro, proszę mnie dotknąć.

Skupiłam się na jego obecności. Czasami zamykając oczy, czułam, że jest bardziej rzeczywisty, tak jak teraz. Czułam jego bliskość, był zaledwie kilka centymetrów ode mnie. Mogłam niemal uwierzyć, że jest śmiertelnikiem, jak ja. Prawie czułam ciepło jego ciała obok mnie; prawie wierzyłam, że Luke jest prawdziwym żywym człowiekiem, stojącym przy moim boku. Nasze dłonie zbliżyły się do siebie i splotły mocno. W tej chwili był tak samo namacalny i ludzki jak każdy inny człowiek. Rozkoszowałam się tym uczuciem. Bez względu na niewygodę małego pokoju i niebezpieczeństwa, chciałam, by ta chwila trwała. Mogłam zapomnieć gdzie jesteśmy, zapomnieć o krwiopijcach za drzwiami i ich okropnej uczcie oraz o zakurzonej pokoju, w którym byłam uwięziona. Poczułam, jak Luke pochyla się ku mnie, i uniosłam twarz. Delikatny jak zawsze, złożył na moich ustach pocałunek. Nasze usta rozłączyły się na milimetr i tak pozostały, lekko się dotykając.

Oczekiwałam mglistości, wrażenia, że topnieje pod dotykiem moich ust i palców. Ale tym razem było inaczej.

- Luke?

Delikatnie pogłaskał moje włosy.

-Chodźmy, panno Pandoro - powiedział i poprowadził mnie do drzwi. Bez ostrzeżenia otworzył je i wyszliśmy do holu, gdzie było jaśniej. Teraz znajdowałam się niecały metr od tych okropnych kobiet.

- Czekał, jest ich za dużo - wyszeptałam, próbując zawrócić.

A potem spojrzałam na Luke'a, naprawdę spojrzałam na niego i wszystko inne wyleciało mi z głowy.

Był inny. Wyraźny. Prawdziwy. Zrobił krok do tyłu i spojrzał w dół, na siebie. Szabla, przypięta do jego skózanego pasa, wyglądała, jakby zawsze tam była. Czasami rzeczy pochodzące z realnego świata wyglądały, jakby były nie na miejscu przy jego bezcielesnej powłoce, lecz ta szabla była jego częścią. Była z tego samego świata. On był z tego świata.

- Luke? Co się z tobą stało? - powiedziałam i rzuciłam zaniepokojone spojrzenie w kierunku salonu. Wkrótce nas zobaczą, to pewne.

-Też to widzisz? - zapytał Luke i wyciągnął przed siebie dłoń, zginając palce z takim zdumieniem, jakby nigdy wcześniej ich nie widział.

-Czy to... ty? - wyjąkałam. Nie mogłam się dłużej oprzeć. Dźgnęłam go wyciągniętym palcem. Wydawało się, że ma takie ciało jak każdy człowiek. - Luke!

- Jestem człowiekiem - potwierdził.

Zanim zdołałam ogarnąć znaczenie tego, co powiedział, wszedł do salonu. Podszedł prosto do łóżka, gdzie trzy kobiety wisiały niczym sępy nad wciąż oddychającą

ofiara. Ruszyłam za nim do salonu, przekonana, że to szaleństwo.

-Zostawcie tego młodego człowieka w spokoju! -krzyknęłam. Brunetka uniosła głowę. Jej dziko piękna twarz jaśniała, a usta i broda ociekały świeżą krwią.

-Zatem to ty tłukłaś się tam, z tyłu? Dlaczego niby miałybyśmy zostawić tego przystojniaka w spokoju? On to lubi - powiedziała. Palcem wskazała Luke'a. - A to kto?

Mężczyzna na łóżku był nagi od pasa w górę, jego zakrwawiona klatka piersiowa unosiła się nieregularnie. Jego oddech był nierówny.

- Zabijecie go - powiedziałam.

- Nie, nie dziś - odpowiedziała blondynka, rozchylając usta w krwawym uśmiechu. Widziałam, jak kąsała jego nadgarstek. - Jest w nim jeszcze kilka dobrych łyków. Więc się odczep. - Uśmiechnęła się szyderczo, po czym spojrzała taksująco na Luke'a. - A tego możesz tu zostawić, jeśli chcesz. Jest słodki. - Błysnęła kłami w pożądliwym uśmiechu.

Widzą go. Naprawdę go widzą!

- Na dziś już wystarczy - powiedziałam. - Zabieramy tego człowieka ze sobą.

Brunetka, która kontynuowała swoją ponurą ucztę, teraz uniosła głowę, wytarła krew z ust i spojrzała na mnie tak, że aż ciarki mnie przeszły.

- Jasne - odparła. - Jesteś pewna? - Wystudiowanym, zmysłowym ruchem położyła dłonie na zakrwawionej szyi mężczyzny i pogłaskała go. Przesunęła językiem po jego ustach. A potem, szybkim ruchem szarpnęła.

Usłyszałam trzask. *Nie!*

Głowa mężczyzny leżała pod dziwnym kątem. Skręciła mu kark, ot, tak sobie. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

-Ups - powiedziała, i uśmiechnęła się wyzywająco, pokazując kły. - Chcesz walczyć? Załatwiamy tu nasze sprawy - dodała. - Nie jesteś tu właścicielką, a to, że twoja ciotka nią jest, nie znaczy, że możesz nas pouczać, mała kaszaneczko.

Ruda i blondynka odsunęły się od ciała. Wyczuwałam pewne rozczarowanie. Może jeszcze się nie nasyciły. Nie wylizowały resztek. Młody mężczyzna leżał na jedwabnej narzucie, półnagi, zakrwawiony i bezwładny, matowe martwe oczy wpatrywały się w sufit. Miałam usta otwarte z przerażenia, ale teraz zamknęłam je i wyprostowałam się.

- Pożałujesz tego - oznajmiłam drżącym głosem. - Naprawdę tego pożałujesz.

Niezależnie od tego, co powiedziałam, nie miałam pomysłu, jak zareagować na bezsensowną przemoc brunetki. Wycofałam się, zostawiając martwego mężczyznę otoczonego przez zabójczynie. W tej chwili wydawało mi się, że bycie Siódmą niewiele znaczyło.

Nigdy nie czułam się tak bezsilna.

Rozdział 14

Zegar wskazywał trzecią trzydzieści, a ja siedziałam na krawędzi swojego łóżka, jedną ręką obejmując kolumnienkę. Kostki zbieleły mi od mocnego zaciskania dłoni. Drugą dłoń trzymał w swojej żołnierz wojny secesyjnej, który zmarł sto pięćdziesiąt lat temu i najwyraźniej powrócił do życia.

Me mogę uwierzyć, że to zrobiła! Na naszych oczach, tylko dlatego, że mogła.

Żołądek podszedł mi do gardła. Chciało mi się płakać. Choć tyle razy miałam w swoim życiu do czynienia ze śmiercią - tyle śmierci przeczułam i przepowiedziałam, tyle duchów wyczułam i spotkałam - nigdy nie widziałam, jak jest zabijany człowiek. To straszny widok. Brunetka była okrutna i bezwzględna. Tyle niepotrzebnej przemocy.

- Nawet nie planowały go zabić, w każdym razie nie od razu - ciągnęłam, oddychając płytko. - To moja wina, że zginął. Ona po prostu... skrzyła mu kark, jakby był lalką. Chciała zademonstrować swoją przewagę. A teraz on nie żyje. - Uderzyłam lekko czołem o drewnianą kolumnienkę.

Porucznik Luke siedział obok mnie, słuchając w milczeniu. Jego pierś pod mundurem unosiła się i opadała

miarowo. Po raz pierwszy ciężar jego ludzkiego ciała zaznaczył się na narzucie łóżka.

- Źle to wszystko rozegrałam - powiedziałam.

- Odebranie życia jest zawsze straszne - niezależnie od tego, czy jest wynikiem morderstwa, czy dochodzi do niego podczas wojny - odparł. - To zawsze jest straszny widok.

Zastanawiałam się, jakie sceny musiał oglądać na polu bitwy. Ilu żołnierzy konfederackich zabił, zanim sam zginął.

- Wyssałyby z niego krew w ciągu kilku dni - przekonywał. - Mogły przemienić go w jednego ze swoich, jak Atanazja pannę Samantę, a wtedy byłby takim samym bezradnym niewolnikiem jak ona, albo jeszcze gorzej, stałby się drapieżnikiem podobnym do nich. Nie mogłaś przewidzieć tego, co zrobią. To zabójczynie. Działają pod wpływem impulsu. To nie twoja wina.

Wiedziałałam, że ma rację, że zabiłyby tego mężczyznę prędzej czy później, ale nie stanowiło to dla mnie żadnego pocieszenia.

-To moja wina, że zginął właśnie teraz.

- Nie, panno Pandoro. Nie. Nie był ich pierwszą ofiarą ani też ostatnią. Zabiłyby go, kiedy miałyby na to ochotę.

Ujął moje dłonie i zmarszczył brwi. -Musi być już późno. Powinnaś iść spać. Roześmiałam się ponuro.

- Spać? Nie ma szans. Nie po tym wszystkim. I... - Popatrzyłam na niego. - Spójrz na siebie, Luke. Nie zamierzam iść spać, gdy jesteś obok mnie.

-W takim razie powinienem już iść - odparł.

- Nie - powiedziałam.

Nie to miałam na myśli, ale Luke już wstał i podszedł do ściany. Wyciągnął rękę i oparł ją na ścianie, czując jej trwałość albo własną cielesność.

- Nie możesz przez nią przejść, prawda?

- Nie mogę.

Poczułam szybsze bicie serca.

-Zostań - poprosiłam. Urwałam, szukając właściwych słów, czując, jak ogarniają mnie emocje. Chciało mi się płakać i śmiać jednocześnie. Pomyślałam, że jeszcze trochę i oszaleję. - Musimy o tym porozmawiać. Nie wiem, ani co się stało, ani dlaczego tak się stało, ale nie możemy się teraz rozstawać. Nie dzisiaj. Luke, proszę, zostań ze mną.

Odwrócił się od ściany i spojrzeliśmy na siebie.

- Zostaniesz? Nie chcę być sama. Zawahał się.

- Jeśli tego chcesz, panno Pandoro - zgodził się w końcu. - Zostanę, jeśli nie chcesz być sama. Będę cię chronił, zawsze. - Popatrzył na siebie, niepewny, co dalej. Nie mógł przecież stać na baczność w mundurze przez całą noc. Postanowiwszy zostać, rozpiął skórzany pas przytrzymujący szablę i położył go na podłodze. Delikatnie usiadł na krawędzi łóżka i zdjął buty. Jedną ręką zaczął rozpinać kurtkę od munduru.

Poczułam dreszcz przebiegający moje ciało. A jeśli Luke nigdy już nie przybierze ludzkiej, namacalnej postaci? Jeśli mieliśmy dla siebie tylko tę jedną noc? Na czym polegał ten cud? Czy w niego wierzyć?

Uklękłam na łóżku za jego plecami i pomogłam mu zdjąć kurtkę. Wstał i powiesił ją razem ze swoją czapką na małym drewnianym krześle stojącym przy wiktoriańskim sekretarzyku. Patrzył na mnie w milczeniu,

stojąc przy moim łóżku w spodniach od munduru i bawełnianej koszuli, rozpiętej do połowy.

- Chcę tylko... - zaczęłam i urwałam. Czego chciałam? Położyłam się na plecach, przykryłam kołdrą i położyłam ręce na brzuchu. - Zawsze odchodzisz za wcześnie - powiedziałam stłumionym głosem.

Podszedł i położył się obok mnie. Leżeliśmy na plecach, nie dotykając się, ożywiony nieboszczyk i Siódma.

Przypomniałam sobie o tej strasznej kobiecie pająku. Wiedziała, kim jestem.

- Luke, co to dokładnie oznacza, że jestem Siódmą? -zapytałam. - Powiedz, proszę.

Luke położył się na boku, wspierając na łokciu. Popatrzył na mnie zmartwionymi błękitnymi oczami.

-Panno Pandoro, mogę wyjaśnić pewne rzeczy, ale niektórych z nich zmarli nie powinni wyjawiać żywym.

Nadprzyrodzone zasady. Wiele z nich wciąż stanowiło dla mnie zagadkę. Dlaczego dokładnie sangwi-nicy musieli być zaproszeni do mieszkania, ale nie na niższe piętra domu Celii? Dlaczego nowojorczyki nie „widzieli” Spektora ani nie pamiętali wizyty tutaj, jak na przykład Jay, chłopak, z którym się umawiałam? Dlaczego Luke nie mógł mi wyjaśnić, gdzie przebywał, kiedy nie był ze mną? Dlaczego nikt nie potrafił wytłumaczyć, co to znaczy być Siódmą, i mówiono tylko, że to dar i odpowiedzialność połączone z niezwykłą mocą?

- Dlaczego nie możesz powiedzieć?

Wyglądał, jakby zabołało go to pytanie albo ton mojego głosu. Już wcześniej wspominał tę zasadę, pamiętałam.

- O pewnych rzeczach wolno mi mówić, a o innych nie

- dodał. - To tak jak z drzwiami tego budynku. Może i chcę wyjść, ale nie mogę. Nie wolno mi.

-Ale przecież nie jesteś już martwy.

Otworzył usta i zamknął je. Przez chwilę milczeliśmy oboje.

Położył dłoń na moim nagim ramieniu, a ja poczułam, jak rozpływam się pod jego dotykiem.

- Panno Pandoro, jesteś bardzo potężna... -Ale?

-Ale mam nadzieję, że nie będziesz musiała skorzystać ze swoich mocy.

Był śmiertelnie poważny. Chciałam się dowiedzieć więcej, ale wyraz jego twarzy był przytłaczający. Co może być takiego strasznego w mojej mocy?

- Nie czuję się zbyt potężna - wyznałam, kładąc się z powrotem na plecy.

Patrzyłam na sufit, marszcząc brwi. Nie miałam ochoty na kolejne pytanie. Nie dziś, nie po tym, co się wydarzyło. Nie wtedy, kiedy pytania wyraźnie były kłopotliwe, no i kiedy w końcu, po raz pierwszy, był obok mnie jako mężczyzna.

- Przytul mnie - poprosiłam. Marzyłam o znalezieniu się w jego ludzkich objęciach niemal od naszego pierwszego spotkania. - Chcę, żebyś mnie dziś przytulał. Po prostu mnie przytul. Możesz to zrobić?

Luke otoczył mnie swoimi męskimi ciepłymi ramionami, a ja z wdzięcznością wtuliłam się w niego. Oparłam głowę o jego szeroką umięśnioną klatkę piersiową i odetchnęłam tak głęboko, aż poczułam to w całym ciele. Palcami lewej dłoni odnalazłam jego rozpiętą koszulę i pieściłam jego skórę. On dotykał moich włosów, głaszcząc je delikatnie. Czułam, jak z każdym cudów

nie nabieranym oddechem jego klatka piersiowa unosiła się i opadała. Było mi tak dobrze, że chciałam, aby nigdy nie odchodził.

- Możesz mi zaufać - wyszeptał uspokajająco i pocałował czubek mojej głowy.

Zamknęłam oczy. Nigdy w to nie wątpiłam.

Rozdział 15

Luke...

Słabe światło poranka, przefiltrowane przez mgłę Spektora, wpłynęło do pokoju. Miałam wrażenie, że jest bardzo późno - albo bardzo wcześnie, więc mrużąc oczy, zerknęłam na zegarek. Była siódma. Nie spałam zbyt długo. Przetarłam oczy.

Luke?

Spanikowana usiadłam na łóżku. Byłam sama.

Zniknął wraz z nadejściem dnia. Wrócił do tajemniczego świata duchów, w którym przebywał? Czy nadal będzie w cielesnej postaci? A może to wszystko mi się śniło?

Westchnęłam smutno i opuściłam stopy na podłogę. Bosymi palcami dotknęłam czegoś zimnego. To była szabla Luke'a, leżała na podłodze. Popatrzyłam na nią. Wczoraj w nocy był taki szczęśliwy, że ją odnalazł... Dlaczego zostawił ją tutaj? Zamierza po nią wkrótce wrócić? A może coś się stało?

Usłyszałam krzątanie w kuchni i poszłam sprawdzić, kto to. Była tam ciotka Celia, w idealnym makijażu, wciąż ubrana w nienaganny żakiet i spódnicę, przygotowywała herbatę. Twarz jak zwykle skrywała za czarną woalką. Zastanawiałam się, czy usłyszała, jak

otwieram drzwi, i szybko ją założyła, czy może nosiła ją zawsze, będąc w mieszkaniu.

Wymieniłyśmy powitalne skinienia głową, ścisnęła delikatnie mój nadgarstek, nic nie mówiąc. Bez wątpienia wyczuła, że czuję się opuszczona. Zwykle nie widywałam jej rano, choć być może jeszcze się nie położyła spać. Może nawet czekała specjalnie na mnie? Obserwowałam przez chwilę, jak ze spokojem przygotowuje herbatę. Czułam, jak jej umysł naciska na mnie. Czytała w moich myślach. Było to na swój sposób naturalne. Jeśli istniał ktoś, z kim swobodnie mogłam dzielić się myślami, to była ona.

Przygotowała moją herbatę dokładnie tak, jak lubię, i wręczyła mi filiżankę. Podziękowałam jej.

- Coś dziwnego stało się wczoraj w nocy - powiedziałam w końcu.

- Z twoim przyjacielem?

- Tak. - To było zbyt niewiarygodne, by to pojąć, a teraz, w świetle dnia, zastanawiałam się, czy Luke w ogóle przyjął cielesną postać. Przez cały czas myślałam o wydarzeniach poprzedniego dnia - o kobiecie pająku, Samancie, trzech strasznych sangwinikach. Pomyślałam o biednym zabitym człowieku i żołądek wywrócił mi się do góry nogami. - Sangwinicy z drugiego piętra... one wróciły, kiedy byłam w ich pokoju z Samantą.

- Rozumiem.

-Próbowałam się ukryć przed nimi. Znaleźliśmy się - to znaczy porucznik Luke i ja - znaleźliśmy się w pomieszczeniu, które przypominało przechowalnię.

- Znaleźliście się? Nie uważasz, że zostaliście tam zaciągnięci?

Zmarszczyłam brwi.

-Nie.

Nie cieszyło mnie, że zostałam tam uwięziona. Ale zaciągnięta? Nie... wątpię.

- W takim razie opowiedz, co się wydarzyło - zaproponowała Celia.

- Cóż, myślę, że Atanazja dochodzi do siebie, leżąc twarzą udekorowaną pizzą. A pozostałe trzy przyprowadziły ze sobą mężczyznę. One... go zabiły.

Poczułam wyrzuty sumienia i falę przerażenia na myśl o tej bezsensownej śmierci, lecz Celia tylko skinęła głową.

- Co się stało potem?

-W pokoju, w którym się ukryliśmy, było pełno gratów: kufry, szafka i różne bibeloty, w większości bezużyteczne. - Celia przyglądała mi się, gdy to mówiłam. - Na przykład była tam zepsuta trąbka.

-Rekwizyty na seanse - wyjaśniła i napiła się herbaty.

- Słucham?

- Seanse spirytystyczne były dość popularne w czasach Barretta. *Seance* znaczy „zebranie”, a w czasach wiktoriańskich grupy ludzi zbierały się wokół stołu, by komunikować się ze zmarłymi. Uważano, że duchy można przywołać przy pomocy medium i że ogłaszają one swoją obecność, wydając dźwięki, hałasując, grając na dziecięcych zabawkach lub instrumentach muzycznych.

Tamburyn. Trąbka.

- Masz rację. - Oczywiście, słyszałam o seansach, ale mówiono, że był to teatrzyk organizowany w celu wyłudzenia pieniędzy od pogrążonych w żałobie krewnych. -Zatem seanse były - są - prawdziwe?

- Niektóre - odparła Celia. - Chyba w to nie wątpiłaś? Cóż, sama rozmawiałam z wieloma zmarłymi.

- Naturalnie, zdarzały się oszustwa - zawsze będą się zdarzały - ale w tamtych czasach żyło kilkoro naprawdę utalentowanych

mediów, podobnie jak dziś, a członkowie najwyższych sfer społeczeństwa brali udział w legalnych seansach. Spirytualizm nie był tematem tabu, jak obecnie. - Skrzyżowała nogi w kostkach i wygładziła brzeg spódnicy. - Nawet Mary Lincoln organizowała seanse w Białym Domu.

- Z... Abrahamem?

-Naturalnie. Abrahamowi Lincolnowi nieobcy był świat duchów i nieumarłych. Pamiętaj, że za jego kadencji miało miejsce największe duchowe powstanie -zakłócenie równowagi, do którego dochodzi tylko raz na sto pięćdziesiąt lat, jak już mówiłam. Rozmawiałaś o tym ze swoim przyjacielem? - zapytała.

-Trochę. Chyba coś... odwróciło moją uwagę - przyznałam. Cóż, Luke jako mężczyzna był całkiem niezłym rozpraszaczem.

-Twój przyjaciel był śmiertelny w czasach ostatniej Siódmej. Podejrzewam, że może coś wiedzieć - dodała.

Luke był podporucznikiem Kawalerii Lincoln. Lincoln wiedział o nieumarłych? Ostatnia Siódma żyła właśnie w tym czasie. Czy to możliwe, że Luke ją znał?

Moja cioteczna babka obserwowała mnie, gdy rozważałam te kwestie.

- Pandoro, współcześni filozofowie i myśliciele odrzucili spirytualizm razem z religią. Wierzą w chaos, przypadek, zbieg okoliczności. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli wyrzucisz z pamięci ich koncepcje i otworzysz się na ukryte znaczenia wydarzeń. Prawie nic nie dzieje się

przypadkiem. Jesteś przyciągana przez ludzi i przedmioty... jak ten pokój pełen ważnych rzeczy. To może wyglądać na przypadek, ale czy na pewno tak jest? Przytaknęłam. Zaczynałam rozumieć.

- Opowiedz, co stało się potem - poprosiła.

-Cóż, obserwowałam, co dzieje się w pokoju obok, a porucznik Luke robił coś, czego nie widziałam. Sądzę, że zainteresował go jakiś kufer w pokoju. Wiedział, że coś w nim jest. Potem usłyszałam hałas i zobaczyłam, że bije od niego blask. Trzymał w ręku broń. Powiedział, że to jego szabla. - Pomyślałam o tym, co stało się później. - A potem wszystko zgasło.

- Tak po prostu?

-Tak po prostu. Kiedy wyjął szablę z pochwy, poczułam ciepło, a potem zapadła ciemność.

Celia popatrzyła na mnie znacząco.

-A dziś rano - dodałam - zniknął, ale szabla została. To dziwne, że ją zostawił.

- Może nie mógł zabrać jej ze sobą.

- No to już nic nie rozumiem.

-Wygląda na to, że jego szabla ma dziwną moc, nie sądzisz? Zamrugalam.

- Jak talizman?

-Może w pewnym sensie. Metale dobrze przewodzą energię. Jego szabla została zapewne naładowana jakąś energią, może w celu komunikowania się ze zmarłymi lub kontrolowania ich.

Nekromancja.

Jeśli porucznik Luke został pochowany ze swoją szablą, znaczyłoby to, że jego szczątki zostały naruszone. Może jego mundur także znajdował się w tych kufrach? A może były tam też jego kości? Może tam właśnie znajdowały się wszystkie rekwizyty, których używał Barrett podczas swoich seansów, eksperymentów, prób porozumienia się ze światem duchów.

Doktor Barrett próbował się skontaktować z Lukiem. Próbował wykorzystać jego duszę. Może mu się udało?

- Czy Luke wróci? Czy znów będzie w swoim ciele?

- Jutro księżyc może nie mieć dostatecznej mocy. Ale dziś... dziś niemal wszystko jest możliwe.

- Księżyc? Przytaknęła.

-Księżyc ma wielką moc, Pandoro. Podczas pełni księżyca wiele sił zyskuje apogeum swoich możliwości. Dokonują się rzeczy, które nie są możliwe w innym czasie. Dziś mamy Księżyc Głodu. Kiedy księżyc osiągnie dziś pełnię, moc będzie największa.

- Myślałam, że pełnia była wczoraj?

- Nie, księżyc był silny i znajdował się prawie w pełni. Jednak Księżyc Głodu jest dzisiaj. Nie czujesz tego?

Nie byłam pewna, co czuję.

- Co to jest Księżyc Głodu?

-Księżyc Głodu, Księżyc Burzy... Nadchodzi o tej samej porze każdej zimy. Wszystkie pełnie mają swoją osobowość.

- Głód?

- Głód - potwierdziła.

Skończyłam pić herbatę i myślałam o tym, co Morticia powiedziała o wariatach. Czy w noc Księżyca Głodu było ich więcej?

- Wiesz - zaczęłam. - Rozmawiałam wczoraj z moją koleżanką z pracy, sekretarką...

- Z Morticią?

-Tak. Dowiedziałam się, że sama zmieniła swoje imię. Czy to nie zabawne?

- Dlaczego? - zapytała Celia. Pochyliła głowę i sączyła herbatę, trzymając swoją filiżankę z wrodzoną elegancją.

-Dlaczego zabawne? No wiesz... jak Morticia z *Rodziny Addamsów*. Chcę powiedzieć, że to dość zabawne, zważywszy, że mieszkamy na Addams Avenue.

- Cóż, to nie jest zupełny przypadek - powiedziała Celia, a ja zamrugałam i odstawiłam filiżankę.

- Słucham?

- Mieszkają tu krewni Charlesa Addamsa - wyjaśniła. Musiałam mieć skonsternowaną minę. Charles? -Twórca *Rodziny Addamsów*. Chyba nazwano tę

ulicę na cześć jego dziadka? A może pradziadka? Podobno zamawia czasem gazety u Harolda. Lubi czytać. To wstyd, że jeszcze nigdy go nie spotkałam - zamyśliła się. - Ten komiks był naprawdę zabawny.

Charles Addams mieszkał w Spektorze? Czy nie zmarł jakiś czas temu?

Och.

Milczałam przez jakiś czas. Celia w tym czasie wypila herbatę i odstawiła filiżankę do zlewozmywaka.

-Pandoro - powiedziała, przywołując mnie do rzeczywistości. - Gdy księżyc wzejdzie, przywołaj swojego przyjaciela. Weź jego szablę w dłoń i przywołaj go. Sądzę, że po dzisiejszej nocy pozostanie w postaci ducha aż do następnej pełni księżyca.

Rozdział 16

Lodowaty wiatr rozwiał moje włosy i cisnął pyłem miasta prosto w oczy. Założyłam niesforny kosmyk włosów za ucho i jeszcze raz popatrzyłam na trzymany w ręku pognieciony kawałek papieru. Arachne.

Zatrzymałam się na rogu Siódmej i Trzydziestej Siódmej Alei. Drugi adres od Pepper znajdował się w wysokim budynku z cegły, z lat dwudziestych dwudziestego wieku, w kolorze zakurzonego brązu, stojącym wśród podobnych do niego, okazałych budynków w Garment District. To tutaj znajdowały się wzorcownie, warsztaty i fabryki wyzyskujące swoich pracowników - moim zdaniem miejsce to raczej nie zasługiwało na chwalebny przydomek „Aleja Mody”. Na ulicach było stosunkowo cicho jak na sobotę.

Miałam na sobie najlepsze dzinsy, kremową jedwabną bluzkę wiązaną pod szyją, którą Celia zaprojektowała w latach pięćdziesiątych, a do tego płaskie balerinki i piękny kaszmirowy płaszcz Celi zawiązany w talii. Wiatr zawiął ponownie, szczelniej otuliłam więc szyję kołnierzem, wciąż wpatrując się w kartkę z adresem. Drobnym, lecz wyraźnym pismem Pepper było na niej napisane „Arachne”, tak nazywała się firma. Poprzedniego wieczoru rozmawiałam z Celią o mitologicznym

pochodzeniu tej nazwy. Teraz musiałam się przekonać, czy to zbieg okoliczności. W końcu przypadki się zdarzają, prawda? Niezależnie od tego, w co wierzą Celia albo Laurie Smith. Arachne to logiczna nazwa dla firmy dziewiarskiej. Czyż Versace nie użyło Meduzy w projekcie swojego logo? Nie oznaczało to, że Meduza istnieje. Prawda? Poza tym, zbytnio byłam podekscytowana perspektywą kolejnej nocy z Lukiem, żeby kręcić się po Spektorze do zachodu słońca, zastanawiając się, czy się pojawi oraz co może się wydarzyć między nami. No i na poniedziałek musiałam mieć wywiad dla Pepper.

Weszłam do holu budynku i przejrzałam listę mieszczących się w nim firm i najemców, wiszącą za przybrudzoną szybą.

ARACHNE. Dwunaste piętro.

Cóż, wygląda na to, że poprawnie odczytałam pismo Pepper.

Podeszłam do windy i wsiadłam do środka. W niektórych starych budynkach windy wciąż potrzebowały operatora, lecz ta nie. Została odnowiona, zdaje się, że w latach siedemdziesiątych. Nacisnęłam okrągły guzik z numerem dwanaście, który zabłysnął na czerwono. Drzwi zamknęły się, po czym skrzypiąc i dudniąc, winda ruszyła w górę. Gdy się zatrzymała, wysiadłam, a drzwi zamknęły się za mną ze zgrzytem. Przede mną rozciągał się korytarz wyłożony nudną szarą wykładziną, po jego obu stronach znajdowały się drzwi prowadzące, według oznaczeń na tabliczkach, do księgowości i różnych importerów. Na końcu korytarza widniał biały prostokątny znak z prostym napisem: ARACHNE.

Korytarz był pusty. Panowała tu taka cisza, że zaczęłam podejrzewać, iż pracownia jest zamknięta.

Poprawiłam skórzaną torbę na ramieniu, podeszłam do drzwi i zapukałam. Usłyszałam echo. Wszystko wyglądało zwyczajnie. Kiedy nikt się nie pojawił, wyjęłam telefon i wybrałam numer, który dostałam od Pepper. Przysunęłam ucho do drzwi. W środku panowała grobowa cisza.

Dziwne.

Wtedy zauważyłam kawałek papieru z odręczną notatką leżący na podłodze u moich stóp. Chyba był przyczepiony do drzwi, ale odpadł.

ODBIÓR RZECZY NA 13. PIĘTRZE.

Hm.

Wróciłam do windy i wybrałam guzik z napisem trzynaście - słyszałam kiedyś, że niektóre budynki z powodu przesądów nie mają piętra o tym numerze, ale w tym najwyraźniej ono było. Kiedy drzwi windy otworzyły się piętro wyżej, wyszłam na korytarz i zmarszczyłam brwi. Nieprzyjemne zimno rozlało się w moim brzuchu bez żadnej przyczyny. Drzwi przede mną nie miały żadnego oznaczenia, dobiegały zza nich normalne dźwięki świadczące o tym, że coś się za nimi dzieje. Odgłosy kroków i przesuwanych pudeł sugerowały armię pracowników pracujących ciężko w sobotnie popołudnie. Dlaczego więc mój szósty zmysł w brzuchu nawalał?

Przygryzając usta, ponownie wyjęłam komórkę z torby, zadzwoniłam jeszcze raz i nasłuchiwałam. Na początku nic nie słyszałam, dopiero potem zza drzwi dobiegł słaby dźwięk dzwonka telefonu. Zadzwonił raz. Drugi. Trzeci.

I przestał.

Śmierć.

Zimno w żołądku sprawiło, że instynktownie odsunę-

łam się od drzwi. Coś było nie tak. Po prostu powiem Pepper, że po wywiadzie, który zrobiłam w Smith & Co w piątkowy wieczór, nie zdążyłam już tu dotrzeć. Zadzwoń, jeśli będzie nalegała. Przynajmniej znalazłam tę pracownię. Rzeczywiście była nazwana imieniem mitologicznej tkaczki. Nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć więcej. *Miii*.

Drzwi za mną otworzyły się z piskiem, wypuszczając na cichy korytarz odgłosy krzątania.

Czując gulę w gardle, odwróciłam głowę, spodziewając się ujrzeć wysoką kobietę o przerażających pajęczych odnóżach. Nie zobaczyłam nikogo. A jednak drzwi się otworzyły. Ktoś je otworzył dla mnie - albo dla kogoś innego. Zobaczyłam błysk zieleni, gdy ktoś przeszedł obok drzwi. Potem następny. Pokusa była zbyt silna. Skoro już tu byłam. Podeszłam wolno do drzwi i zerknęłam do środka. Pracownia Arachne z pewnością miała oddanych pracowników. Dwa tuziny ludzi, mężczyzn i kobiet, ubranych w szmaragdowe fartuchy z logo firmy, maszerowały w tę i z powrotem, przenosząc ubrania, pakując je, opisując paczki i układając je. To była fabryka.

Masz wybujałą wyobraźnię, Pandoro. Głupia, głupia dziewczyno - słyszałam głos mojego ojca, zupełnie jakby stał obok mnie.

Odetchnęłam i potrząsnęłam głową, opierając się o framugę drzwi, z torbą na ramieniu i dłońmi w kieszeniach. Niemądra panika. Po chwili wahania wyjęłam z torby notatnik, pióro i powiedziałam głośno:

- Halo? Czy mogę rozmawiać z kierownikiem? Albo... projektantem?

Co ciekawe, nikt mi nie odpowiedział.

- Czy mogę rozmawiać z kimkolwiek z kierownictwa? Pracownicy ignorowali mnie, jakby mnie w ogóle tam nie było. Zakaszlałam teatralnie, pomachałam ręką i jeszcze raz poprosiłam o pomoc, ale ci ludzie tylko chodzili w jedną albo drugą stronę niczym roboty, skupieni na swoich zadaniach.

Czy to możliwe, żeby wszyscy byli tacy nieuprzejmi?

Brak snu zaczął mi się dawać we znaki - ile tego było? Trzy godziny odpoczynku? Cztery? Zamrugałam i przetarłam powieki dłońmi, a gdy je znów otworzyłam, zobaczyłam scenę jak z koszmaru sennego. Ci pracownicy nie byli ludźmi. Byli pajakami, kłębiącymi się masami pajaków uformowanych na kształt ludzi, jakby wyrzeźbionymi niewidzialną ręką, poruszającymi się razem na niby-ludzki sposób. Zielone fartuchy wisiały na nich, przytrzymywane przez małe odnóża i okrągłe pajęczne ciała, paczki przenoszone były dzięki współdziałaniu setek ośmionożnych istot.

Otworzyłam usta, by krzyknąć, ale nie zrobiłam tego, bo gdy mrugnęłam ponownie, znów zobaczyłam ludzi przemieszczających się w tę i z powrotem. Zwyczajne, ludzkie postacie.

Co się z tobą dzieje?

Zdezorientowana potrząsnęłam głową. Upiorni pracownicy droidy wciąż zdawali się mnie nie zauważać. Niewzruszenie i w skupieniu kontynuowali swoją pracę, niczym automaty.

Spróbowałam raz jeszcze.

- Przepraszam? Czy ktoś mógłby mi pomóc?

Jakie to dziwne. Nadal nie było żadnej reakcji. Zauważyłam też, że nie rozmawiali między sobą. Nawet nie wymieniali spojrzeń. Z wahaniem wyciągnęłam rękę i do-

tknęłam ramienia przechodzącej obok mnie brunetki, pchającej stojak z ubraniami w foliowych pokrowcach.

- Przepraszam... - zaczęłam.

Kiedy moje palce dotknęły jej ramienia, w jednej chwili rozplynęło się.

- Mój Boże!

Niczym przewracające się kostki domina postać kobiety się rozpadła i pozostała z niej kupka wijących się pajaków. Stojak, który pchała, zatrzymał się. Po pełnej napięcia chwili, kiedy stałam jak wmurowana, zafascynowana tym, co zobaczyłam, pająki zaczęły się wdrapywać jedne na drugie i podnosić z ziemi, tworząc kształt stóp, nóg...

Niemożliwe.

Zatkało mnie. Pióro i notatnik wysunęły mi się z dłoni i z hałasem upadły na betonową podłogę. Ku mojemu przerażeniu, zauważyłam, że inni pracownicy zatrzymali się. Zaległa cisza. Dwa tuziny oczu (a może były ich tysiące?) jednocześnie spojrzały na intruza, który znalazł się wśród nich. Ich ciała zwróciły się w moim kierunku. Stojaki na kółkach się zatrzymały. Upuszczono paczki. Porzucono zadania. Istoty bez wyrazu zrobiły w moją stronę krok, a potem następny.

O rany. O rany...

Czas uciekać.

W końcu zostałam zauważona, ale nie byłam przekonana, czy dobrze się stało.

Odwróciłam się, żeby uciec na korytarz, a następnie do windy. Modliłam się, by wciąż czekała na trzynastym piętrze, ale wyjście zostało już zablokowane przez trzy droidy. Odsunęłam się od zbliżających się ludzi pajaków, moje oczy co chwila rejestrowały inny obraz - w jednej

chwili widziałam swoich napastników jako ludzi o nieruchomych twarzach, a sekundę później pokazywali się jako tysiące maleńkich, złączonych ze sobą pajaków tworzących ludzkie kształty. Wycofując się, sięgnęłam do swojej torby, mój umysł pracował na najwyższych obrotach. Bilet na metro, szczotka do włosów, szminka, książka, woreczek ryżu. A niech to! Nie miałam już lakieru do włosów, choć musiałabym go mieć naprawdę dużo, żeby obezwładnić tylu przeciwników. Nie zabrałam nawet parasola, żeby się od nich oganiać. Zsunęłam z ramienia torbę i zaczęłam nią wymachiwać jak kulomiot. Uderzyłam nią w czyjąś głowę, a potem w następną, niszcząc je. Bezgłowe postacie rozpląwały się na podłodze, jak kobieta, którą zaczepiłam, lecz teraz zamiast od nowa tworzyć ludzkie kształty, ruszyły ku mnie całą masą.

Czy te pająki zachowywałyby się tak z własnej woli? Nie. Ktoś nimi sterował. Ale gdzie był ów lalkarz? Gdzie była Arachne?

Otoczył mnie tłum pracowników, a po ziemi sunęły w moim kierunku pająki. Było ich zbyt wiele. W ciągu kilku minut dosłownie zakryją mnie całą. Pierwsze już wlażyły na moje buty i zaczęły się wspinać po nogawkach dżinsów. Wrzasnęłam i podskoczyłam, próbując je zrzucić, lecz na miejsce każdego, który odpadał, przybiegały trzy inne.

Wtedy właśnie zauważyłam wyjście ewakuacyjne i wąż do gaszenia ognia wiszący za szybą obok drzwi. Nie wahając się ani chwili, podbiegłam do niego po dywanie z rojących się pajaków, z każdą chwilą było ich coraz więcej, ich ciężar utrudniał mi poruszanie się. Nie zastanawiając się długo, zbiłam szybę, wyciągnęłam wąż i odkręciłam kran.

Woda chlusnęła potężnym strumieniem. Nawet zbyt potężnym.

W kilka sekund wąż strażacki zbił mnie z nóg z ogromną siłą. Wylądowałam na betonie, boleśnie obijając sobie kość ogonową. Krzyknęłam, ale jakimś cudem nie wypuściłam go z rąk. Chwyciłam końcówkę węża tak mocno, że aż zbieleły mi kostki na dłoniach, i stanęłam nad nim okrakiem, podczas gdy on ciągnął mnie do przodu po mokrej podłodze, zrywając buty, miotając mną na boki, wijąc się i wyginając. Woda z ogromną siłą uderzyła w najbliższe stojące istoty, zaburzając ich nienaturalną równowagę i rozrzucając pająki po podłodze pracowni razem z wieszakami, ubraniami i kartonowymi pudłami.

Przez chwilę ujeżdżałam węża, jakby to była gigantyczna, wściekła anakonda, a kiedy go w końcu puściłam, aż podrzucił mnie w górę. Potknęłam się, wylądowałam na czworakach i dopiero wtedy zdołałam odzyskać władzę w nogach na śliskiej podłodze. Rzuciłam się do ucieczki przez pracownię, wciąż bojąc się, by szalejący wąż, pozostawiony sam sobie, nie uderzył mnie, pozbawiając przytomności - lub życia. W zamieszaniu nie zwróciłam uwagi na wodę lejącą się ze zraszaczy pod sufitem ani na rozdzierający dźwięk alarmu pożarowego.

Otworzyłam drzwi oznaczone jako wyjście awaryjne i zbiegłam po betonowych schodach, strzepując po drodze kilka pajaków przyczepionych do moich dżinsów, płaszcza i torby. Trzynaście pięter niżej, przemoczona i zdyszana, wydostałam się na ulicę za budynkiem.

Zgięta wpół, z rękoma opartymi na kolanach wciągnęłam głęboko powietrze.

Mój Boże. Pajaki.

Zdjęłam płaszcz Celi, wywinęłam go na lewą stronę i rzuciwszy na ziemię, zaczęłam go deptać, zabijając w ten sposób przyczepione do niego pajaki. Ostatni z nich, jadowita czarna wdowa, pełził po nogawce moich spodni. Strzepnęłam go z krzykiem obrzydzenia, potrząsając całym ciałem, co dla postronnego obserwatora musiało wyglądać nieco histerycznie.

Uciekłam. Już po wszystkim.

Od tej chwili niech Pepper sama chodzi na te cholerne wywiady, postanowiłam.

Rozdział 17

Wyglądałam, jakby mnie przeciągnięto pod wagonem metra.

Wyszłam z wąskiej bocznej uliczki na Trzydziestą Siódmą bosa i rozczochrana. Przypominałam jednego z wielu bezdomnych na Manhattanie. Płaszcz Celi był mokry i brudny, upstrzony licznymi martwymi pajakami, o których chwilowo starałam się nie myśleć. Twarz miałam czerwoną od wysiłku, tusz do rzęs rozmazał się na policzkach. Bolały mnie wszystkie kości. Zwłaszcza ogonowa. Moje stopy były brudne i mokre.

Nie zamierzałam wracać po buty.

Wciąż miałam przy sobie torbę, choć wątpiłam, by kiedykolwiek odzyskała swój pierwotny wygląd. Wylałam z niej ponad dwa litry wody. Wytrząsnęłam ją jeszcze w ulicze, więc przynajmniej miałam pewność, że nie ma w niej żadnego żywego stworzenia, co było prawdziwym błogosławieństwem, choć wyglądało na to, że w ferworze walki zniszczyłam też swój bilet na metro. Chwyciłam go za mokry róg i skrzywiłam się. Zrezygnowana, pochyliłam głowę i, powłócząc nogami, ruszyłam w kierunku stacji metra, zostawiając za sobą mokre ślady.

Nie mogłam już twierdzić, że nie zabijam pajaków. Moja matka nie byłaby ze mnie dumna.

Nie dotarłam nawet na róg „Alei Mody”, gdy zdałam

sobie sprawę, że ktoś mnie obserwuje. Wiedziałam, że na Manhattanie nikt nie zwraca uwagi na bezdomnych. A jednak ktoś na mnie patrzył. *O Boże. Co tym razem?*

Podniosłam głowę i zobaczyłam wysokiego bladego mężczyznę w nienagannym garniturze i okularach przeciwsłonecznych, stojącego przy otwartych drzwiach czarnego, luksusowego samochodu. Wyglądał jak ochroniarz.

Wad!

Nigdy w życiu nie ucieszyłam się tak bardzo na widok wysokiego szofera Celi. Czułam taką ulgę, że niemal go pocałowałam. *Niemal.*

-Och, dziękuję - powiedziałam zdyszonym głosem i wsunęłam się na tylne siedzenie, które w tym momencie zaskrzypiało. Zapięłam pas. Wład zamknął za mną drzwi. Jego wyraz twarzy nie wskazywał, by był zszokowany moim widokiem. Bez słowa zawiózł mnie z powrotem do Spektora. Nie pytałam, skąd wiedział, gdzie jestem. Wiedziałam, że i tak nie odpowie.

Nigdy nie odpowiadał.

Nieco spokojniejsza, lecz przemoczona do suchej nitki wysiadłam z samochodu Włada na Addams Avenue akurat w chwili, gdy ostatnie promienie słońca gasły na ciemniejącym niebie. Ulice były niesamowicie ciche - tak, jak się spodziewałam, ten znajomy spokój działał kojąco.

Bezpieczniej czułam się w tym dziwnym miejscu niż na ulicach Nowego Jorku, po których grasowała straszliwa bogini, a ludzie mogli się okazać masą pajaków

w magiczny sposób połączonych w ludzką postać. To, że nie zamierzałam ukryć się pod łóżkiem w swoim pokoju ani zarejestrować w szpitalu psychiatrycznym, wiele mówiło o mojej nowo odkrytej odporności. Dzisiejszy wieczór był wyjątkowy. Wkrótce miał wzejść księżyc. Jeśli Celia się nie myliła, mówiąc o jego działaniu, będę mogła wezwać Luke'a. Po tym, co dziś przeszłam, myśl o jego ciepłych objęciach nie pozwalała mi się poddać.

Podziękowałam Władowi i zamiast pójść prosto do domu, weszłam do sklepu Harolda. Kiedy otwierałam drzwi, rozległ się dźwięk dzwonka.

-Witaj, Haroldzie - powiedziałam. - To ja.

Sklep nie zmienił się od mojej ostatniej wizyty. Na wprost brzęczała chłodziarka ze szklanymi drzwiami. Podeszłam do niej i wzięłam świeże mleko i żółty ser. Umierałam z głodu. Gdy kładłam je na ladzie obok staroświeckiej kasy, wszedł Harold.

-Witaj, Pandoro English - powiedział z uśmiechem na twarzy, wychodząc z zaplecza, jak zwykle ubrany w kraciastą koszulę i robocze spodnie. Mój widok trochę nim wstrząsnął. - Wygląda na to, że miała panienka ciężki dzień.

Przytaknęłam.

- O tak, Haroldzie. - Założyłam mokre włosy za uszy i z udawaną pewnością siebie przysunęłam się do lady, żeby nie zauważył moich bosych stóp.

-Proszę - powiedział, podając mi zza lady w miarę czystą szmatkę. - Przepraszam, nie mam ręcznika.

- Och, dziękuję - odparłam z wdzięcznością. Osuszyłam się nieco, choć oczywiście moje ubranie wciąż było mokre, a co najgorsze, kaszmirowy płaszcz Celi wygląda-

dał, jakbym po nim skakała. Co zresztą było prawdą. Trochę się bałam, co będzie, jak go zobaczy.

-A jak się miewa cioteczna babka panienki? Taka wspaniała dama...

-Dobrze, Haroldzie. Bardzo dobrze. Mówi, że dziś jest Księżyc Głodu.

-Ach. Księżyc Głodu. Może być ciekawie - dodał i mrugnął do mnie.

Pomyślałam o Luke'u i uśmiechnęłam się.

-Tak, myślę, że będzie ciekawie. Haroldzie, gdybyś podejmował, powiedzmy, żołnierza z czasów wojny secesyjnej, co zaproponowałbyś jako... nie wiem... napój na powitanie?

Harold skinął głową.

-Przyjaciela? Bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Cóż, spotkałem kilku żołnierzy z tej wojny. Zdaje się, że lubili Mleko Osła.

- Słucham?

-Przepraszam, panienko Pandoro, ale właśnie tak nazywali rum z lemoniadą. To dość popularny napój.

-Dobry Boże - zauważyłam, grymasem wykrzywając twarz.

- Zawsze może też panienka podać Rozsadzający Ból Głowy. Rum, sok z limonki, cynamon, imbir, gałka muszkatołowa.

Zastanowiłam się przez chwilę.

-To dla mnie zbyt skomplikowane. Chyba nie byłabym dobrą barmanką. Bo widzisz, ja nie piję alkoholu - wyjaśniłam i zagryzłam wargi.

- Oczywiście, że nie, panienko. Oczywiście. - Przyłożył palec do swoich zielonkawych ust.

-A może coś zwyczajnego? - nalegałam.

-To może szklaneczka jabłecznika? -Jabłecznik? - odparłam z ulgą. - To może być dobry pomysł.

- Dobrze, panno Pandoro.

Zniknął na chwilę, usłyszałam odgłos przesuwanych pudeł i tajemnicze brzęczenie na zapleczu. Wkrótce Harold powrócił, niosąc wysoką butelkę. Zamykał ją szklany korek i nie miała nalepki.

- Domowy jabłecznik - oznajmił.

- Sam go zrobiłeś?

- Robi go jeden z mieszkańców Spektora. Jest najlepszy. Proszę go podgrzać odrobinę przed podaniem. Powinien smakować przyjacielowi. Jest świetny na zimę. Gorący jabłecznik to był rarytas dla naszych na polu bitwy.

-Dziękuję, Haroldzie. Dobry pomysł. - Miałam nadzieję, że przypadnie Luke'owi do gustu. Albo przynajmniej doceni pomysłowość. - Ciocia Celia wspominała, że dostajesz czasem gazety. Mogłabym co prawda kupić je jutro albo w poniedziałek, w drodze do pracy, ale może masz jakieś w sklepie?

- Chce panienka znać najnowsze wiadomości? -Właśnie. Ostatnio miałam trochę kłopotów - przyznałam.

Potarł podbródek.

- Mmm, no tak. Z Arachne. Otworzyłam szeroko oczy.

- Słyszałeś?

-W Spektorze wieści rozchodzą się szybko. Podobno jest w mieście. Szczerze mówiąc, niektórzy z mieszkańców są tym trochę zdenerwowani.

Poczułam ucisk w klatce piersiowej.

- O rety.

- Rozumiem, że chce panienka trzymać rękę na pulsie. *Bez żartów.*

Harold zanurkował pod ladę, wystawała nad nią tylko kępka jego zielonych włosów. Słyszałam szelest papierów.

- Kiedyś mieliśmy tu, w Spektorze, tygodnik - dobiegł mnie jego lekko stłumiony głos. - Taki biuletyn poświęcony naszej społeczności, wydarzeniom. Kobieta, która go redagowała, wyprowadziła się. Niestety, od tego czasu nie pojawiło się nic podobnego.

Pomyślałam o cichych ulicach Spektora i zadałam sobie pytanie, co mogłoby się tu takiego wydarzyć, by warto było to opisać w tygodniku. A co jeszcze ważniejsze, dokąd przenosi się ktoś, kto „wyprowadza się” ze Spektora?

Harold wyprostował się, był nieco bardziej rozczochrany, i położył na ladzie gazetę. Usiłował wyprostować kołnierzyk, lecz ten wywinął się w obłoczku kurzu.

Kichnęłam.

-Przykro mi, panienko. Znalazłem tylko wczorajsze wydanie „New York Timesa”. Może być?

-Tak, może być, Haroldzie. - W piątkowym wydaniu nie było zbyt wielu interesujących informacji o zaginionych projektantach, a jak podejrzewam, incydent z Laurie Smithem i tak nie został zgłoszony. Postanowiłam zadzwonić do niego w poniedziałek, żeby sprawdzić, jak się czuje.

- Przykro mi, że nie mogłem bardziej pomóc - powtórzył Harold.

- Pomogłeś, i to bardzo - zapewniłam go, biorąc butelkę z jabłecznikiem.

Gdy Harold zapakował moje zakupy i dopisał kwotę do rachunku Celi (na co nadal nalegała, mimo moich protestów), skierowałam się do domu.

Szłam w zapadającym zmroku, zastanawiając się, co może się wydarzyć podczas pełni Księżyca Głodu. Czy Luke się pojawi? Czy wyjaśni mi, kim jest pajęcza bogini oraz jak ją pokonać? Czy będziemy mogli razem wyjść za próg budynku? Czy będziemy mogli być razem?

Czy mogłabym zostać w jego objęciach na zawsze?

Byłam kilka metrów od domu, gdy drzwi budynku się otworzyły.

Miałam nadzieję, że to Celia.

Ale ujrzałam brunetkę, blondynkę i rudą.

Nie.

Straszliwa trójka wyszła na ulicę w obcisłych topach, spódniczkach z długimi rozcięciami, gotowa na kolejną noc łowów. Przechodząc przez próg, blondynka przeszła nad czymś i zatrzymała się. Coś podniosła.

- Ładne - usłyszałam jej głos.

- Daj mi to. - Brunetka wyrwała jej to z rąk.

I właśnie wtedy mnie zauważyły. Przystanęłam na chodniku, trzymając torbę z zakupami.

- No proszę, wścibska Panna Wieśniaczka. -To miało być dowcipne? - powiedziałam. Blondynka przyjrzała się moim rozczochranym włosom i mokremu ubraniu i roześmiała się krótko.

- Mokra Włoszka to uczesanie z lat dziewięćdziesiątych. A twój płaszcz...

- Dajcie mi spokój.

Zaczęły się do mnie zbliżać, a ja pożałowałam, że Wład odjechał tak szybko.

-Wczoraj w nocy nie chciałaś spokoju. Właściwie to dokonałaś wtargnięcia na cudzą własność - powiedziała ruda.

Otworzyłam usta, żeby wyjaśnić, co się stało, lecz zauważyłam ładny przedmiot w rękach brunetki.

- Co tam masz?

Brunetka uniosła piękne czarno-zielone pudełko, przewiązane błyszczącą satynową wstążką.

- A co ci do tego?

Jedna z paczek. Taka jak u Wiktora Mała. Taka sama, jaką otworzył Laurie Smith. Pudełka u Arachne też pewnie były tak pakowane.

O Boże. Bogini pajaków wysyła je do swoich wrogów. A teraz wysłała jedną do mnie. Wie, gdzie mieszkam.

- Do kogo jest zaadresowana?

- Do mnie - odparła z uśmiechem, a blondynka i ruda zachichotały.

Zrobiłam krok do przodu.

- Posłuchaj, lepiej tego nie otwieraj. Zaufaj mi - powiedziałam. Powoli odstawiłam zakupy na ziemię.

- Naprawdę? - Tak. Naprawdę.

- No to patrz. Uniosłam ręce do góry.

- Nie rób tego - poprosiłam. - Nie otwieraj. Zaufaj mi. Wyzywającym gestem oderwała z pudełka kokardę, a następnie rozerwała papier. Pudełko i papier spadły na ziemię, w jej dłoniach pozostał tylko piękny, duży kaszmirowy szal w kremowym kolorze.

- Ładny. - Brunetka strzepnęła go i szal rozwinął się. Spojrzała na metkę. - A-r-a-c-h-n-e. Nie słyszałam o takiej firmie.

Arachne.

- O Boże, odłóż to!

Nie posłuchała mnie, tylko zarzuciła szal na ramiona. Otulił ją elegancko, a ona wykonała mały obrót.

-Zazdrosna? - spytała, podczas gdy ja stałam obejmując się ramionami.

Brunetka pogłaskała szal.

- Mmm, miękki i jedwabisty. Chcę go mieć.

- Nie możesz - drażniła się z nią brunetka. - Kiedy nie ma Atanazji, ja tu rządzę i mówię ci, że jest mój. Mój, mój, mój...

W tym momencie szal się poruszył.

Zauważyłam to pierwsza. Krawędź materiału owinęła się wokół ramienia brunetki i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że nie zrobił tego wiatr.

A potem wypadki potoczyły się bardzo szybko. Szal się rozszerzył i urósł, otwierając się niczym ogromna muchołówka, i w ułamku sekundy zamknął się wokół brunetki, zakrywając ją od stóp do głów. Ciasno opinający ją materiał stłumił krzyk, który wydała. Jej przyjaciółki cofnęły się zdezorientowane.

- Zróbcie coś! Ona się udusi! - krzyknęłam.

Ale dwie wampirzyce tylko stały z otwartymi ustami, patrząc, jak jedwabisty kokon owija ich przyjaciółkę. Zaczęła się szarpać i zginać, a po chwili cały twór wibrował i trząsł się, podobnie jak ten, który widziałam w pracowni Smith & Co. Pająki. Był wypełniony pajakami.

- Co to jest? - wrzasnęła ruda.

Choć wczorajszej nocy brunetka z zimną krwią zabiła kogoś na moich oczach, to nie mogłam tak po prostu stać i patrzeć. Musiałam coś zrobić. Podbiegłam do niej.

-Wydostanę cię! - krzyknęłam. - Postaraj się nie ruszać.

Blondynka i ruda schroniły się w wejściu do budynku. Milczały, co nie było do nich podobne. - Pomóżcie mi ją unieruchomić.

Ale nie mogłam jej wyciągnąć. Nie mając ostrych nożyczek ani noża, nie byłam w stanie przeciąć jedwabistej sieci. Była lepka, miękka i lekko przezroczysta, a jednocześnie silna niczym struna w pianinie. Moje wysiłki spełzły na niczym, skórę na placach miałam poprzecinaną do krwi.

-Szybko! Niech ktoś nam pomoże! - krzyczałam głośno, ale nikt nie przybył z pomocą. Zresztą, co można było zrobić?

Zostało mało czasu.

Po kilku minutach kokon opadł na chodnik, kurcząc się, jakby w środku wcale nie było brunetki. I rzeczywiście, nie było jej tam. Kokon był pusty poza setkami pajaków, które wydostały się z niego i uciekły do studzienki kanalizacyjnej.

Rozdział 18

Zapukałam, otworzyłam drzwi, weszłam do środka i położyłam zakupy na blacie. Przez chwilę opierałam się o niego z pochyloną głową, chwiejąc się na nogach. *Bogini pajaków wie, gdzie mieszkam.*

Nasze ponowne spotkanie było tylko kwestią czasu. Z nią i jej okropnymi ludźmi pajakami. Teraz już wiedziałam, co się stało z zaginionymi projektantami.

Wiedziałam, że już nie wrócą.

Bardzo chciałam opowiedzieć Celi o tym, co się stało, i poprosić ją o pomoc, ale nie było jej w domu. Wszystkie światła były zgaszone, a jej etola z lisa zniknęła z wieszaka. W mieszkaniu panowała cisza. Stałam przez chwilę w kuchni, zastanawiając się, co dalej. Zastony w salonie były odsunięte, za oknem świecił księżyc w pełni. Księżyc Głodu. W jego świetle meble i wszystkie te dziwne przedmioty, które kolekcjonowała Celia, rzucały niesamowite cienie. Nieruchome kształty zdawały się żyć. Motyle wyglądały, jakby miały odlecieć. Czułam działanie siły księżyca, tak jak mówiła Celia.

Wyglądało na to, że rzeczywiście miałam przed sobą wielką noc. Miałam nadzieję, że nie spędzę jej sama.

W niespokojnych czasach rytuały dodają otuchy. Nieśpiesznie wzięłam kąpiel w wannie na lwich łapach, umyłam włosy słodko pachnącym szamponem i rozkoszowałam się, leżąc w pianie. Starłam się zapomnieć o szokujących

obrazach dzisiejszego dnia, skupiając się na poruczniku Luke'u. Na szczęście, dzięki niemu nie było to trudne. Przypomniałam sobie nasz pocałunek w pokoju z instrumentami i to, jak się wtedy czułam; wrażenia z jego ciepłego, ludzkiego objęcia, a także unoszenie i opadanie jego klatki piersiowej przy każdym oddechu. Pograżona w romantycznych myślach nie zwracałam uwagi na siniaki pojawiające się na moich kolanach

I ból w okolicy kości ogonowej. Starannie wydepilowałam nogi, wytarłam ciało ręcznikiem i wysuszyłam włosy. Około siódmej weszłam do kuchni, czując podniecenie na myśl o nadchodzącym wieczorze. Zapaliłam gaz na kuchence i podgrzałam w garnku jabłecznik, a potem przelałam go do kubków. Popatrzyłam na nie w zamyśleniu. Z czym podaje się jabłecznik? Wyjęłam z szafki ciastka i ułożyłam je na talerzu, a następnie wróciłam do pokoju, by ustawić to wszystko na wiktoriańskim biurku. Kolejny raz wyszczotkowałam włosy i stanęłam przed lustrem, żeby poprawić bluzkę. Przebrałam się raz, a potem drugi. W końcu założyłam z powrotem białą bluzkę i drugie w kolejności ulubione džinsy. Moje najlepsze džinsy utraciły właśnie ten tytuł po spotkaniu z węzem strażackim. Nie chciałam, żeby wyglądało, że bardzo się staram zrobić na Luke'u wrażenie. Chociaż, oczywiście, tak było.

Och, to śmieszne. Już czas.

Rozsunęłam zasłony w swoim pokoju i spojrzałam na okrągły księżyc nad Manhattanem. Uniosłam szablę Luke'a i poczułam w dłoni chłód rękojeści. Gdy tylko jej dotknęłam, poczułam ciepło przepływające przez mój pierścionek z obsydianem.

Trzymałam szablę wysoko.

- Luke - powiedziała głośno. - Poruczniku Luke. Czekałam. Nic się nie działo. Szabla była cięższa, niż myślałam. Moje wątłe ramię zaczęło się trząść i poczułam, że serce mi drży. *Proszę?*

Zamknęłam oczy i spróbowałam jeszcze raz. Ze wszystkich sił starałam się utrzymać szablę.

-Poruczniku Luke - powtórzyłam, trzymając szablę mocno. - Przyjdź.

Po krótkiej chwili, która wydała mi się wiecznością, poczułam u swojego boku chłodną mgłę. Kiedy tylko kształt Luke'a zaczął się materializować, poczułam silne uderzenie gorąca. Pojawił się w ludzkiej postaci, trzymając szablę - jego dwie silne dłonie obejmowały moją dłoń. Oboje byliśmy zaskoczeni, że znaleźliśmy się tak blisko siebie tak nagle i przez chwilę staliśmy, trzymając dłonie na rękojeści jego szabli. Popatrzyliśmy na siebie. Jasny błękit jego oczu nie osłabł ani trochę. Co prawda nie błyszcząły - nie dziś - lecz były tak jasne, że niemal widziałam w nich swoje odbicie. W końcu oboje opuściliśmy ręce. Puściłam szablę. Czułam mrowienie w ramieniu. Luke uniósł szablę, oboje patrzyliśmy, jak księżyc odbija się na jej ostrzu. Potem schował ją do metalowej pochwy wiszącej u jego skórzanego pasa. Wyglądał, jakby ją nosił od zawsze.

- Witaj - powiedziała, drżąc na całym ciele.

W jego oczach pojawił się uśmiech. Odetchnęłam.

Podeszłam do biurka i wzięłam kubek.

-Nie wiem, czy... możesz pić... ale m-mam tu... -wyjąkałam. - Przygotowałam to dla ciebie - zdołałam w końcu wykrztusić.

Wziął ode mnie kubek i zajrzał do środka. Uśmiech rozjaśnił jego gładko ogoloną twarz. Podniósł kubek z gorącym jabłecznikiem do ust i ostrożnie wypił łyk. Westchnął. Sto pięćdziesiąt lat to chyba spora przerwa między drinkami.

- Dziękuję, panno Pandoro.

Sięgnął po drugi kubek i podał mi go. Uchwyt był ciepły. Uniosłam kubek do ust, on także. Wypiliśmy.

- O Boże - powiedziałam. Jabłecznik był mocniejszy, niż się spodziewałam. O wiele mocniejszy.

- Pyszny, bardzo pyszny - zauważył Luke.

- Prawda? - Wzięłam kolejny łyk. - Przyniosę więcej. Nie odchodź - powiedziałam i usłyszałam swój śmiech.

- Obiecuję, nigdzie nie pójde, panno Pandoro. Zatrzymałam się w drzwiach.

-To dobrze.

Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy. Wydawało mi się, że nie potrafię zatrzymać wylewającego się z moich ust potoku słów.

Opowiedziałam Luke'owi o wszystkim, o przesyłce na schodach domu i pajęczych pracownikach, których widziałam w pracowni Arachne. Nie wątpiłam, że to, iż mogłam uciec, zawdzięczałam biednym ofiarom pożaru w Triangle Shirtwaist. Po tej tragedii pomieszczenia fabryki dostosowano do wymogów przepisów bezpieczeństwa, co uratowało mi dziś życie. Nawet jeśli nie przewidziano, że węże strażackie będą wykorzystywane do walki z hordą pajaków. Opowiedziałam mu, jak Wład odnalazł mnie w tajemniczy sposób i odwiózł do domu,

i że miałam nadzieję, iż sprawdzą się słowa Celi co do pełni księżyca, a także, jak zmartwiłam się, gdy obudziłam się dziś rano i zobaczyłam samą szablę. Luke poczuł ulgę, że nic mi się nie stało, i jeszcze raz szczerze przysiągł mnie chronić. A ja piłam kubek za kubkiem jabłeczniaka od Harolda i z wolna czułam, jak koszmary, które widziałam, oddalają się ode mnie. Dziwne uczucie. Moje ciało było niebywale odprężone, podobnie jak umysł. Ale nie powstrzymało mnie to przed zadawaniem coraz bardziej drażliwych pytań.

- Luke - powiedziała, opierając się o jego pierś. - Sądysz, że twój mundur jest na dole, w tym kufrze? A może są tam nawet twoje... szczątki?

Nienawidziłam tego słowa i gdy tylko je wypowiedziałam, miałam okropną wizję tego, co ono oznacza. Czy mi się to podobało, czy nie, Luke był martwy, i gdzieś tam, na świecie znajdował się jego przegniły, nagi szkielet. Może był pochowany w grobie, a może czekał, aż ktoś go odnajdzie wśród rzeczy Barretta. W każdym razie jego ciało było od niego oddzielone. I nie chodziło o to ciało, na które teraz z przyjemnością spoglądałam. Straszna myśl.

- W tamtym kufrze była moja szabla, ale nic innego poza nią nie należało do mnie. Jestem tego pewien - powiedział, biorąc głęboki oddech, cudowny, ludzki, żyjący oddech.

Nie wiedziałam, skąd czerpie tę pewność, ale wierzyłam, że tak jest i szczerze mówiąc, ulżyło mi, gdy to usłyszałam.

- W porządku - powiedziała. - Chcę cię jeszcze o coś zapytać. - Wypiłam kolejny łyk jabłeczniaka. Pomyślałam o wyrazie jego twarzy, gdy zapytałam go o moje

moce. - Moja cioteczna babka powiedziała, że będziesz wiedział coś o znaczeniu Siódmej. Albo o tym, co wydarzyło się sto pięćdziesiąt lat temu. Zawahał się.

Kiedy milczenie się przeciągało, poczułam dziwne zniecierpliwienie.

- Luke, może i próbujesz mnie chronić albo nie chcesz mnie przestraszyć, ale przecież zostałam niemal rozszarpana przez kobietę o pajęczych nogach. Kobietę, która potrafi sprawować kontrolę nad tysiącami pajaków, tak jak dyrygent prowadzi orkiestrę. Ona wie, kim jestem. I ja muszę to wiedzieć. Powiedz mi, kim jestem, Luke.

Luke skinął głową, a ja poczułam, że bliskość między nami zniknęła. Cofnął się o krok.

-Wiadomo, że co sto pięćdziesiąt lat siły Podziemia się buntują.

Wiadomo?

- Podziemie. Masz na myśli Piekło? Media co jakiś czas mówią o końcu świata, ale z pewnością nigdy nie wspominają o buncie Piekła!

- Nie chodzi o to Piekło - poprawił mnie. - Nie o takie, o jakim uczyli, kiedy byłem śmiertelny.

- Czym w takim razie jest Podziemie? Czy jest takie jak w mitach o Persefonie, Hadesie, Plutonie?

Luke potrząsnął głową.

- Nie do końca. - Zmarszczył brwi i popatrzył na swój kubek. - Chcę to powiedzieć, ale... nie mogę. Nie wolno mi mówić o niektórych sprawach.

- Nie wolno? Nadal? -Tak.

-Nie wolno ci, chociaż jesteś teraz człowiekiem?

- Nadal obowiązują mnie reguły zmarłych.

Te nieszczęsne nadprzyrodzone zasady. To niesprawiedliwe. Wysunęłam dolną wargę, po czym wypięłam kolejny łyk jabłeczniaka.

-Może powinnaś trochę zwolnić - powiedział cicho Luke i popatrzył na mnie zmartwiony.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparłam i wzięłam jeszcze jeden, duży łyk. - Czy wiesz, na czym polegają moje moce? - spytałam ostro.

Luke zamknął oczy, a gdy się odezwał, jego głos brzmiał jakby z oddali.

- Co sto pięćdziesiąt lat nadchodzi Siódma. Jest mediatorem między siłami żyjącymi i umarłymi. Jest potężnym czynnikiem przywracającym równowagę...

- Potężny czynnik? Brzmi to tak, jakbym była jakimś środkiem do czyszczenia.

Luke się nie uśmiechał. Popatrzył na mnie dziwnie.

- Nadejdą niespokojne czasy - wyjaśnił. Przypomniałam sobie, że Celia użyła dokładnie tego samego słowa.

- Niepokój już się zaczął, prawda? Przytaknął z powagą.

-Tak. Gromadzą się ciemne moce. Istoty niegdyś kryjące się w mroku zaczynają się ujawniać.

Krwawa Hrabina. Pajęcza bogini. Kto jeszcze?

-Potem nadejdzie rewolucja. Siódma odgrywa w niej bardzo ważną rolę.

- Jaka rewolucja dokładnie?

Luke spuścił wzrok. Powietrze między nami wyraźnie się ochłodziło. Czułam się dziwnie. Stałam się trochę agresywna, ale nic nie mogłam na to poradzić. Czy to z powodu pełni księżyca? Tematu naszej rozmowy? Braku snu?

-To rewolucja umarłych. Bunt Podziemia. Siódma musi stanąć między rodzajem ludzkim a jego zniszczeniem. Ale... do tego nigdy nie dojdzie - powiedział, odwracając wzrok.

- Nie zbuntują się?

Podniósł głowę i popatrzył na mnie spokojnie.

- Nie jest pewne, że...

-Nie jest pewne, że co? - nalegałam. - Czego nie chcesz mi powiedzieć?

-Ja... nie mogę - odparł. - Chcę. Ale to wszystko, co mogę powiedzieć.

Pomyślałam o wszystkich duchach, które spotkałam albo z którymi rozmawiałam, o bólu, jaki sprawiało to moim rodzicom. Psychologowie dziecięcy. Dziwne spojrzenia sąsiadów. Dlaczego moja matka nie powiedziała mi, że mnie rozumie? Że wie, o co w tym wszystkim chodzi? Kiedy byłam mała, wielokrotnie słyszałam, jak rodzice kłócili się o mnie. Może, gdyby nadal żyli, zaakceptowałyby w końcu to, co sprawiało, że jestem inna? Może moja matka otworzyłaby się na to, kim była - kim ja byłam. Ile wiedziała? Czy wiedziała, jaka przyszłość mnie czeka? Czy wiedziała o tym proroctwie?

Staniesz między rodzajem ludzkim a jego zniszczeniem. ..

- Panno Pandoro?

Milczałam przez dłuższą chwilę. Czulałam się przytłoczona.

-To proroctwo... spełni się? - zapytałam w końcu.

- Nikt nie wie, czy się spełni. Ale wielu w to wierzy. Przyjrzałam mu się uważnie.

- A ty? Wierzysz?

Na jego twarzy pojawiło się napięcie.

- Panno Pandoro, zmarli i żyjący to przeciwstawne siły. Nie rozumiesz tego? Umarli, odchodząc z tego świata, robią miejsce dla żywych, ale w końcu niektórzy z nich będą chcieli odzyskać swój stary świat.

Zamrugałam.

- Czy ty też tego chcesz?

- Nie - odparł zdecydowanie. - Nie, nie chcę. Tak nie powinno być - dodał i potrząsnął głową. - Nie, ziemski świat jest dla żywych, a zmarli powinni mieć spokój po śmierci.

Ale przecież Luke nie zyskał spokoju?

- Są tacy, którzy pożądają świata żywych - wyjaśnił. - Są też tacy, którzy będą próbowali go podbić. Rewolucja, która nadeszła sto pięćdziesiąt lat temu, upadła. Żywi, którzy byli jej świadkami, odeszli.

- Umarli. - Tak.

- Byłeś jednym z nich - domyśliłam się.

Trwał nieruchomo, lecz jego spojrzenie było spokojne. Zatem Luke był tam, gdy ostatnia Siódma żyła. Celia miała rację co do tego. *Czy to znaczyło, że...?*

- Wojna secesyjna. Chcesz powiedzieć, że wojna secesyjna była rewolucją zmarłych?

Nie odpowiedział, ale widziałam w jego oczach, że trafiłam.

- To... to niemożliwe. Nie! - zaprotestowałam. Odsunęłam się od niego aż pod ścianę.

- Książki historyczne można napisać na nowo, panno Pandoro. Wspomnienia można wymazać.

Wiedziałałam o tym aż za dobrze. Podniosłam drżącą dłoń do ust. Moje oczy wypełniły się łzami.

- Nie. Kłamiesz. To nieprawda. Nieprawda! Usiadłam na krawędzi łóżka, trzęsąc się. Porucznik

Luke podszedł do mnie i położył silną, ludzką rękę na moim ramieniu. Strząsnęłam ją.

- Rozumiem, że jesteś zdenerwowana - powiedział. - Panno Pandoro, przykro mi. Takie odkrycia muszą być trudne. Potrzebujesz czasu. - Odstawił swój kubek na wiktoriańskie biurko i rozejrzał się niepewnie. - Dziękuję za jabłecznik. I dziękuję za to. - Wskazał na swoje ciało. - Nieważne, że to chwilowe. Jestem twoim dłużnikiem.

Porucznik Luke skłonił się przede mną, trzymając czapkę w dłoniach. A potem patrzyłam, jak opuszcza moją sypialnię.

Nie zatrzymywałam go.

Staniesz między rodzajem ludzkim a jego zniszczeniem - pomyślałam i poczułam mdłości.

Rozdział 19

Projektanci. Właśnie to się z nimi stało.

Znów znajdowałam się w pracowni Arachne, chociaż nie wiedziałam, jak się tam znalazłam. Ściany i podłoga były z pomalowanego na biało betonu, a za stosami pudeł i stojakami z ubraniami widziałam, jak Arachne swoimi czarnymi pajęczymi nogami tka ogromny gobelin sięgający aż do sufitu. Wokół mnie krążyli jej pracownicy o martwych twarzach bez wyrazu, udający ludzi. Wśród nich rozpoznałam Wiktora Mała. *Projektanci Zmieniła ich w swoje pająki. Właśnie to się z nimi stało* - pomyślałam. Brunetka też tu była, jako droid. Teraz, gdy wiedziałam, co się kryje pod tą iluzją skóry i kości, z niepokojem obserwowałam istoty, jak przemieszczają się tam i z powrotem, nosząc czarno-zielone paczki przeznaczone dla nieznanym ofiar.

Musiałam uciec, zanim odkryją moją obecność. Zanim Arachne zrobi to samo ze mną. Zanim stanę się jedną z tych strasznych bezmyślnych istot.

Co robić?

Wyjście awaryjne wciąż tam było, ale nie widziałam węża strażackiego. Nie miałam też swojej torby do obrony. Kiedy mnie zauważą, znajdę się w ogromnym niebezpieczeństwie. Przerazona, stałam wśród nich bez ruchu, oddychając najciszej, jak się da, i starając się

nie rzucać w oczy. Powoli pochyliłam głowę i spuściłam wzrok. Miałam na sobie zielony fartuch. *Nie!*

Wtem rozległ się głośny huk i drzwi otworzyły się gwałtownie. Do środka wszedł podporucznik Luke Thomas - Luke, mój przyjaciel, mój niedoszły ukochany, piękny bohater wojny secesyjnej przyszedł, by mnie uratować. Poczułam ulgę i chciałam do niego podbiec, ale nie mogłam się poruszyć.

Co się ze mną dzieje?

- Luke! - krzyknęłam na cały głos. W jego obecności nie obawiałam się już ani droidów, ani Arachne.

Luke, niczym mężny bohater, uniósł dłoń z szablą, a ludzie pająki - jak na niemą komendę - przerwali to, co robili, i się przyczaili.

- Luke! Pomocy! Nie mogę się ruszyć! - wołałam do niego. - Nie mogę poruszyć nogami!

Luke spojrzał na mnie.

Zauważyłam, że jest blady, ma krew wokół ust i okropne, nabrzmiące żyły na śmiertelnie białej skórze. Jego mundur był poszarpany i pokryty krwią, a najgorsze były jego oczy... jego piękne jasnyniebieskie oczy już nie zachwycaly tak jak wcześniej. Były wytrzeszczone, przekrwione i przerażające. Nie miał powiek.

Głos uwiązał mi w gardle.

Istota, którą stał się Luke, skierowała się ku mnie, torując sobie zakrwawioną szablą drogę wśród ludzi pajaków. Pracownicy Arachne rozpadali się wokół niego, przekształcając się w kałuże kotłujących się pajaków, a mnie przemknęło przez głowę pytanie, czy przypadkiem nie skończę tak samo pod jego śmiertelnoścym dotykiem. Otworzył usta, a ja z przerażeniem zdałam

sobie sprawę, że jego zęby są spiczaste i zakrwawione. Jak mogłam wcześniej nie zauważyć jego ostrych zębów? Jego oczu bez powiek? Groźby w jaśniejącym, krwawym spojrzeniu?

- Co wybierasz, Pandoro? - zapytał tubalnym głosem. - Chcesz być jedną z nich, czy jedną z nas?

Wtedy zobaczyłam jego armię. Za jego plecami nadchodziły falami krwawe upiory: makabryczna armia żołnierzy zabitych podczas wojny secesyjnej w idealnym szyku bojowym.

Rewolucja Zmarłych.

Spuściłam wzrok i zobaczyłam, że moje dłonie składają się z pajaków. Krzyknęłam.

Rozdział 20

- Panno Pandoro, proszę się obudzić!

Usiadłam, przetrąłam zmęczone oczy i rozejrzałam się zamglonym wzrokiem po pokoju. Ubrana w delikatną białą koszulę nocną znajdowałam się w swoim łóżku z baldachimem w mieszkaniu Celi. Moje nogi zaplątały się w prześcieradła, więc odrzuciłam je mocnym kopnięciem. Śnił mi się koszmar - coś o pająkach i martwych żołnierzach - najwyraźniej rzucałam się we śnie. Wykończone koronką poduszki leżały na podłodze. Za oknem wciąż panowała noc, a światło księżyca wpadało do pokoju przez okna.

Księżyc Głodu.

- Luke?

- Pandoro, obudź się. Szybko!

Oprzytomniałam. Luke stał przy moim łóżku, wyciągając do mnie rękę. Chwyciłam jego dłoń i poczułam ciepło jego skóry. Tak, wciąż był człowiekiem. Dobrze było trzymać go za rękę.

- Pukałem, ale nie odpowiadałaś - powiedział, a w jego głosie wyczułam napięcie. Nawet gdy marszczył brwi, był przystojny, w niebieskim mundurze i wypolerowanych skórzanych butach do jazdy konnej. Spod rozpiętego płaszcza i rozchylonej koszuli błyskała jego opalona klatka piersiowa.

Wojna secesyjna.

Przypomniałam sobie okropne prawdy, jakie mi wyjawiał. I swoją reakcję.

- Luke, przepraszam za tę noc. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Chyba to wszystko trochę mnie przerosło.

Niezależnie od tego, co powiedziałam, Luke wyglądał na poważnie zmartwionego. I roztargnionego. Zaciskał mocno szczęki, a oczy - pod zmarszczonymi brwiami - wyrażały troskę.

- Panno Pandoro, proszę wstawać. Szybko! Wskoczyłam z łóżka i dałam się poprowadzić do

okna. Pod bosymi stopami czułam chłodną drewnianą podłogę. Poruszałam się wolniej niż zwykle. Czułam tępy ból głowy. Przypomniałam sobie jabłecznik od Harolda. Czyżbym się trochę... wstawiła?

- Spójrz - powiedział porucznik Luke.

Wyrzwał na ulicę, a ja za nim. Coś się zmieniło, i to bardzo, na głównej ulicy Spektora. Chwilę trwało, nim moje oczy przyzwyczyły się do zimnego światła księżyca w pełni.

Ulica!

Ulica się poruszała.

Westchnęłam, gdy się zorientowałam, skąd się bierze to wrażenie. Resztki snu odpłynęły. Poziom adrenaliny się podniósł.

Kłębiąca się armia ośmionogich stworów szła ulicą, wypełniając ją od krawężnika do krawężnika, przelewając się przez lampy uliczne i kierując na Addams Avenue numer jeden, na nas.

Zmrużyłam oczy, by rozróżnić kształty tysięcy pajaków - czarnych wdów i pogońców, krzyżaków i tarantul. Były tam pajaki różnych rozmiarów, niektóre całe

czarne, inne z maleńkimi plamkami, a wszystkie szły w naszym kierunku. Niektóre już wspinały się na lampę za moim oknem, podczas gdy inne wchodziły na budynki. Niestety, to nie wszystko.

-Tam - powiedział Luke bez tchu, wskazując coś.

Na północnym krańcu ulicy masa pajaków osiągała niebotyczną wysokość. Sięgała drugiego piętra budynków. Na szczycie tego kłębowiska stała otulona szatą postać. Bogini pajaków we własnej osobie sunęła na fali swoich straszliwych poddanych, z uniesionymi ramionami i rozcapierzonymi palcami niczym dyrygent.

Arachne.

Oniemiała, zakryłam otwarte usta dłonią.

-Obawiam się, że przybywa po ciebie, panno Pandoro. Nie możesz tu zostać.

Luke miał rację. Rozejrzałam się po pokoju, nogi uginały się pode mną z napięcia i przerażenia. Przyszła po mnie, a ja nie mogłam tak po prostu czekać, aż mnie dopadnie. Musiałam coś zrobić. Ale co...? Jak miałam uciekać przed wysoką na dwa piętra falą pajaków?

Wtedy właśnie usłyszałam dziwne drapanie w szyby okien mojej sypialni. Mrowie pajaków dotarło do poziomu naszego mieszkania. Za nimi nadchodziły kolejne tysiące.

- Szybko! - krzyknęłam, gdy pająki zaczęły wypełzać na parapet. Luke błyskawicznie zamknął jedno częściowo otwarte okno, by powstrzymać inwazję, i zaczął deptać tę grupkę, która zdołała dostać się do mojego pokoju.

- Nie! Nie zabijaj ich! - zaprotestowałam. Luke przerwał deptanie i popatrzył na mnie.

- Chociaż właściwie - dodałam - rób, jak uważasz.

-Panno Pandoro, okna nie wytrzymają długo. Musimy cię stąd wydostać. Miał rację.

Pobiegłam do salonu, żeby sprawdzić, czy okna są szczelnie zamknięte. Dzięki temu mogliśmy zyskać na czasie.

- Spójrz! Sieć! - krzyknęłam.

Pająki tkwały ogromną sieć za oknami, żebym nie mogła uciec. Chwilę później Luke zjawił się u mojego boku w zapiętym płaszczu i z szablą u pasa. Bez słowa wybiegliśmy z mieszkania do windy.

Spojrzałam w dół.

- Chyba budują kokon z sieci dookoła całego budynku - powiedziałam. Czy... połkną cały budynek? Mogłyby? Tak jak to zrobiły z brunetką? Jak próbowały to zrobić z Lauriem?

Światła w holu na dole były zapalone i to, co zobaczyliśmy, sprawiło, że moje serce stanęło. Setki pajaków zdołały się przecisnąć przez szczeliny pod drzwiami wejściowymi i już szły przez hol, zaczerniając podłogę niczym rozlany atrament. Nie miałam wątpliwości, dokąd się kierują. Wkrótce wejdą na górę, wspinając się po żelaznym ornamencie windy, i zaleją mieszkanie. Prawa sangwiników ich nie dotyczyły. Pająki nie potrzebowały zaproszenia. Na rozkaz swej pani miały dotrzeć do naszego schronienia na najwyższym piętrze.

Celia. Gdzie była Celia?

Wbiegłam z powrotem do mieszkania i zaczęłam uderzać pięścią w drzwi Celi.

-Celia! - Otworzyłam drzwi kluczem, który od niej dostałam, i weszłam do przedpokoju. Jedynym źródłem światła były tu trzy świece - biała, czerwona i czarna

- ustawione na rzeźbionym stoliku. Czerwona świeca była większa od pozostałych, a jej płomień tańczył wysoko.

- Pentagram - zauważył Luke, wpatrując się w rzeźbienia wzoru.

Przytaknęłam.

-Myślałam, że wyszła, ale... - Podeszłam do pierwszych drzwi w przedpokoju. - Muszę się upewnić, czy nie śpi.

- Nie mogę przechodzić przez ściany - powiedział z żalem Luke. - Nie mogę sprawdzić, czy jest tutaj.

- Celio? Jesteś tam? - zawołałam, waląc w drzwi.

Za drzwiami panowała cisza. Spróbowałam je otworzyć, ale były zamknięte na klucz. Klucz, który od niej dostałam, nie pasował do zamka. Pukałam też do pozostałych drzwi i wołałam ją.

Luke położył dłoń na moim ramieniu.

- Pająki wchodzą do budynku. - Spojrzał w kierunku salonu. - Okna nie wytrzymają.

Odwróciłam się z powrotem do drzwi. -Ciociu Celio! - krzyknęłam raz jeszcze. - Celia, obudź się!

-Jej etoli nie ma na wieszaku - zauważył Luke.

- Celia?

Wciąż nie odpowiadała. Pomimo płonących świec musiałam założyć, że nie ma jej w domu.

To dziwne, jak wysoko tańczył płomień czerwonej świecy.

Podeszłam po omacku do kąta, w którym, jak pamiętałam, stała trumna, a gdy moje palce ją odnalazły, pochyliłam się i uniosłam wieko. W głębi widać było małe, migoczące światełko.

- Luke, zamknij za nami drzwi. Szybko, do trumny.

Choć moje słowa były absurdalne, zrobił, jak kazałam. Otworzyłam wieko i wpełzłam do środka, a Luke zrobił to za mną. Wieko zamknęło się nad nami z głuchym łoskotem. Modliłam się, żeby moja ciotka znalazła się w bezpiecznym miejscu.

Rety.

Klatka schodowa pod dnem trumny prowadziła do ciemnego korytarza wykutego w kamieniu. Na ścianie wisiał zardzewiały kinkiet z pojedynczą świecą. Spływający z niej воск wyglądał jak topniejący bałwan. W powietrzu unosił się zapach siarki. W świetle świecy widziałam, że ściany korytarza pokryte są patyną czasu, podobnie jak na zewnątrz budynku. Nie było tu mebli, tapety, dywanów ani drewnianej podłogi.

-To chyba tajne przejście. Deus go używa - wyjaśniłam porucznikowi. Schody po jednej stronie prowadziły w dół. Po drugiej - w górę. Wahałam się przez chwilę, które wybrać. Instynktownie skierowałam się w stronę tych, które wiodły w dół. Ale Luke chwycił mnie za łokieć.

- Nie sądzę, żebyś chciała iść w tę stronę - oznajmił zdecydowanie.

Poczułam nagłe poirytowanie i zeszywniałam, pragnąc uwolnić się z jego uchwytu. Przez chwilę staliśmy tak w korytarzu: moje ciało wyrrywające się w dół, na ciemną klatkę schodową, i Luke - trzymający mnie mocno. Zdałam sobie sprawę z nienaturalnego przyciągania i dziwnego, delikatnego zapachu siarki wydobywającego się z tego kierunku. Było w nim coś znajomego. A potem przypomniałam sobie słowa Celi: *Jeśli odkryjesz drogę prowadzącą w dół, do podziemi, nie idź tam. Słyszysz? Nawet ze swoim przewodnikiem*

-Tędy. Ta droga prowadzi na dach - zasugerował Luke, wyrывая mnie z zamyślenia i niezwykłego przyciągania. Oczywiście, wiedział o tych przejściach. Przebywał w tym budynku od wielu lat. Prawdopodobnie znał tu każdy zakamarek. - Proszę iść za mną, panno Pandoro.

Puścił mój łokieć i podał dłoń. Chwyciłam ją.

Odwracając się, kątem oka zauważyłam coś przerażającego.

- Pająki. Patrz!

Wspinały się w górę klatki schodowej, płynęły po ścianach korytarza niczym ciemna fala. Budynek powoli tonął w nich.

-Do góry! Musimy iść do góry! - powiedziałam. -Szybciej!

Chwyciłam świecę i osłoniłam dłonią płomień. Oświetlałam nam drogę, gdy wchodziliśmy coraz wyżej po zimnych wilgotnych schodach, które wkrótce zmieniły kierunek i zaczęły zakręcać i tworzyć mały okrąg.

-Jesteśmy w jednej z wieżyczek, prawda? - zapytałam, a Luke przytaknął.

Niedługo potem wyszliśmy na dach budynku. Przed nami rozciągało się strome zbocze dachu, zakończone rzeźbionymi gargulcami. Widok zapierał dech w piersiach, choć był przerażający. Zimowe powietrze przenikało mnie do szpiku kości, drżałam w cienkiej nocnej koszuli; w pośpiechu zapomniałam odpowiednio się ubrać.

Księżyc Głodu oświetlał zdradliwe kąty i krzywizny dachu oraz rozciągającą się w dole ulicę. Poczulałam nagły zawrót głowy i zachwiałam się.

-Trzymam cię - powiedział Luke, otaczając mnie ramieniem.

Nie miałam raczej problemów z lękiem wysokości, ale ten widok był oszałamiający.

Za sobą usłyszeliśmy brzęk tłuczonego szkła.

- Pająki. Wchodzą przez okna. - Wypełniały już dom. Zastanawiałam się, gdzie jest Arachne. Czy wejdzie przez główne drzwi? Albo...? Popatrzyłam na dach sąsiedniego domu. Może moglibyśmy się gdzieś ukryć. Albo przedostać się na inny budynek. Gdzie była Arachne?

Odpowiedź na moje pytanie nadeszła zbyt szybko.

Nie mogłam się ukryć. Nie miałam dokąd pójść.

Pajęcza bogini pojawiła się dokładnie za krawędzią spadzistego dachu, przed nami. Wznosiła się powoli, jakby dryfowała na fali. Jej ramiona były uniesione, a z gardła wyrwał się dziwny cienki krzyk. Wypuściła na mnie sieć. Zawróciłam do wieżyczki, ale sieć złapała moją nogę i owinęła się wokół niej jak mocna lina, jak jedwabista sieć rybacka. Próbowałam się uwolnić, ale wtedy kolejna sieć mnie dopadła i przewróciła. Straciwszy przyczepność, zaczęłam z zawrotną szybkością zsuwać się po stromiźnie dachu w kierunku pajaków i ulicy pode mną. Zdołałam chwycić wielkiego gargulca na krawędzi i zatrzymać się. Świeca wypadła mi z rąk, patrzyłam, jak spada za krawędź dachu i roztrzaskuje się o ziemię.

-Luke! - zawołałam, ale nie było odpowiedzi. Straciłam go z oczu, nie mogłam ściągnąć z siebie sieci, utknęłam.

Arachne pojawiła się przede mną - blisko, bardzo blisko. Unosiła się na stosie pajaków jak na żyjącej, oddychającej fali. Pozostałe pająki włączyły na dach przez wieżyczki i gargulce. Kierowały się w moją stronę.

Byłam uwięziona na dachu niczym mucha, złapana pod gwiazdami i jaśniejącym księżycem w pełni.

- Pandora English - wypluła z siebie Arachne. Podeszła do mnie, widziałam zarys jej pajęczych nóg poruszających się pod ubraniem. - Ośmielasz się wchodzić do mojej pracowni i niszczyć ją! I moich pracowników! Ośmielasz się powstrzymać mnie przed dochodzeniem mojej sprawiedliwości?

- Sprawiedliwości? - powiedziałam.

- Ci projektanci mieli zapłacić za swoją dumę.

- Tak, jak ty zapłaciłaś, prawda? Kiedy twierdziłaś, że jesteś najlepsza?

- Zapłaciłam słono i nie zamierzam więcej płacić. Wystarczająco długo kryłam się w cieniu tego świata. Jeśli ten świat mnie nie zaakceptuje, podbiję go. Zrobię z niego swoją sieć, a moje dzieci będą zamieszkiwały każdy zakątek Ziemi. - Wskazała na tysiące pajaków za swoimi plecami, a ja zastanawiałam się, czy to sen, czy jawa. Czy w ośmionożnych ciałach kryli się prawdziwi ludzie, pożarci przez jej dumę. Zbliżyła się tak bardzo, że jej spiczaste pajęczcze nogi dotknęły krawędzi dachu. Widziałam je, długie i cienkie, niebezpieczne. Pochyliła się nade mną. - I tacy jak ty nie przeszkodzą mi w tym...

Arachne uśmiechnęła się, ukazując swoje kły - straszne, ciemne kły. Wydłużały się błyskawicznie, aż stały się dłuższe od kłów wampira.

Dlaczego wszyscy nagle mają kły?

Była już na dachu, stojąc pewniej niż ja kiedykolwiek bym potrafiła na swoich ludzkich nogach. Jednym ruchem przykucnęła na sześciu straszliwych nogach, wyciągając swoją ludzką szyję pod przyprawiającym o mdłości kątem, wpatrując się we mnie. Przysunęła się do mnie, stanęła nade mną. Jej duży wyдутy brzuch zwisał nad moimi biodrami i udami. A potem usiadła na

mnie okrakiem tak, że nie mogłam się ruszyć. Moje nogi były zaplątane w sieć i prawdopodobnie tylko ona powstrzymywała mnie przed zsunięciem ze stromeego dachu na ulicę poniżej.

Jednak ręce miałam wolne. Machnęłam pięścią w kierunku jej delikatnej szczęki, lecz złapała ją i zacisnęła na niej swoją dłoń z ogromną siłą.

-Jesteś bezsilna, mała śmiertelna. Nie widzisz tego?

Korzystając z dwojga ludzkich ramion i dwojga pajęczych, przytrzymała moje ręce i ukąsiła mnie w ramię. Poczułam, jak pajęczce kły wbijają się w moją skórę, a wskutek żrącego ugryzienia moje ciało zdawał się trawić ogień. Kiedy wyciągnęła kły, zobaczyłam, że ociekają nieziemskim zielonym jadem. Wytarła usta rękawem swojej czarnej sukni, a obrzydliwe kły schowały się. Jej małe usta wyglądały prawie jak ludzkie.

Nie!

Niemal natychmiast poczułam paralizujące działanie jej pajęczego pocałunku.

Wkrótce byłam całkowicie unieruchomiona, zawinięta w lepką nić. Nie mogłam walczyć, nawet z jedwabnymi więzami.

-Siódma? Spójrz na siebie. Taki rozgłos, a zobacz, jaka jesteś żalosna. Dziś staniesz się moją uczcią. Taki maleński triumf przed poważniejszymi zadaniami. Zazwyczaj wolę żywić się mężczyznami, ale ty także się nadasz, mała dziewczynko. Powinnaś czuć się zaszczycona, że jesteś na moim stole. - Pochyliła nade mną wykrzywioną twarz i przypatrywała mi się badawczo. - Tak...

Zadrżałabym, a może nawet zwymiotowała, ale nie mogłam się ruszyć. Miałam tylko szeroko otwarte oczy. Zamrugałam. I jeszcze raz. Czułam pod wpływem działa-

nia trucizny senność, pragnienie, by odpłynąć w nicość. Wszystko było lepsze niż ten paraliż, ta niemoc... Nie, muszę być przytomna, muszę znaleźć sposób ucieczki. W głowie mi się kręciło i, choć usiłowałam zmusić swoje ciało do działania, nie mogłam nawet poruszyć palcami u stóp. Tylko moje oczy się poruszały, chociaż z coraz większym trudem przychodziło mi utrzymanie opadających powiek. Wtedy zauważyłam jakiś ruch. Błysk stali.

Zamazany obraz munduru. Luke!

Porucznik Luke Thomas wychynął zza gargulca, przysiadł na nim, trzymając się mocno i wycelował swoją szablę w Arachne.

- Cofnij się! Natychmiast się od niej odsuń! - zażądał.

Arachne zatrzymała się na chwilę, popatrzyła na niego, wyciągając nienaturalnie wygiętą szyję.

-Ach, ty mi się bardziej podobasz - powiedziała. - Lubię mężczyzn w mundurach. Poczekaj na swoją kolej, najpierw zajmę się nią. Najwyraźniej jest wyjątkowa...

Pajęcza bogini uniosła się na tylnym odnóżach i zarzuciła sieć na Luke'a. Uchylił się, ale na chwilę stracił równowagę. Serce mi stanęło, gdy przechylił się niepewnie na bok. Czapka zsunęła mu się z głowy i, potoczywszy po dachu, wypadła za jego krawędź. *Nie!* Jako duch byłby może bezpieczny, ale jego cielesna powłoka nie przeżyłaby upadku z dachu budynku.

Zobaczyłam, jak szabla wypada z jego ręki. Oglądałam to jakby w zwolnionym tempie.

Kumokirimaru - pomyślałam. *Zabójca pajaków.*

I wtedy, ku mojemu zdziwieniu, szabla przestała spadać. Mogłam ją wyczuć. Siłą woli. I dzięki tej sile trzy-

małam ją i sprawiłam, że poleciała w naszą stronę, obracając się i lśniąc w świetle księżyca. Arachne wrzasnęła.

Odsunęła szatę i chwyciła rękojeść szabli. Jakimś cudem ostrze przebiło jej brzuch.

- Nie! Moje dzieci! Nie! - krzychała, dysząc i wijąc się. Czubek ostrza przeszedł na wylot, przebijając tkaninę

na jej plecach. Z dziury w jej wydętym brzuchu zaczęły się wysypywać czaszki jej ofiar - czaszki i małe pajęczki. Zaczęła wrzeszczeć, a wraz z nią wrzeszczały pająki wokół nas. To był przerażający, nienaturalny dźwięk, wysoki, ale głośniejszy niż grzmot - dźwięk tysięcy paznokci skrobiących tablicę. Pająki wokół mnie zaczęły się wić z krzykiem, kurcząc się niczym palący się papier, a razem z nimi kurczyła się sieć wokół budynku.

A także sieć przytrzymująca mnie na dachu.

Poczułam, że zaczynam się zsuwać. O kilka, kilkanaście centymetrów. Byłam wciąż sparaliżowana, nie mogłam ani krzyknąć, ani przytrzymać się rękami, żeby nie spaść.

O Boże...

Moje bosc stopy nie znalazły oparcia na stromym dachu. Od krawędzi dzieliło mnie tylko kilkadziesiąt centymetrów, kilka sekund później zaczęłam spadać, mijając wyjąca boginię, która mnie uwięziła.

Dotarłam do krawędzi i wypadłam poza nią.

Chociaż byłam sparaliżowana i unieruchomiona, spadając, usłyszałam jakiś głos. Nie był to mój głos ani głos Luke'a. Wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś mówi:

- Deusie, czy mógłbyś? *Czy to była Celia?*

Rozdział 21

Obudziłam się w saloniku Celi.

Czułam, że od jakiegoś czasu na przemian budziłam się i traciłam świadomość, a gdy w końcu zdołałam skupić na czymś wzrok, zobaczyłam jasny płomień czerwonej świecy. Wydawało się, że mruga i tańczy kilka centymetrów nad knotem.

- Celia?

Dźwięki wokół mnie stawały się na przemian bardziej i mniej intensywne. Rozpoznałam głosy Celi i Luke'a. Choć się starałam, nie mogłam rozróżnić słów. Ktoś nakłaniał mnie, bym wypła jeszcze trochę jakiegoś płynu, i zdałam sobie sprawę, że piłam coś, co wciąż zaklejało mi usta. Oblizałam wargi.

Dziwne. Lepkie.

-Jest bezpieczna. Uratowaliśmy ją. - Usłyszałam słowa mojej ciotecznej babki. Wydawało się, że mówi do mnie. Jej twarz pojawiła się nade mną, blada i łagodna za woalką. - Nie martw się, kochanie, zadbałam, żeby nie zginęła.

-Nie... zginęła?

Z pewnym wysiłkiem uniosłam się na łokciach i poczułam, że obejmują mnie ciepłe ramiona Luke'a.

- Panno Pandoro, wszystko w porządku. Tak mi przykro, że nie uratowałem cię przed upadkiem.

Rozejrzałam się po słabo oświetlonym pokoju. Leżałam na aksamitnym szezlongu. Na niskim rzeźbionym stoliku nadal paliły się trzy świece. Stał tam kieliszek czerwonego wina i szklany słoik - mały szklany słoiczek.

-Jeśli mamy ją w tym trzymać, trzeba będzie wywiercić dziury w pokrywce, żeby mogła oddychać - powiedziała Celia.

- Chcesz powiedzieć...

- Że to Arachne. Tak.

Jeszcze niedawno Arachne zamierzała zniszczyć cały Spektor, a teraz moja cioteczna babka troszczyła się, by utrzymać ją przy życiu? Żeby miała wystarczający dostęp do tlenu? Na mojej twarzy musiało się malować zaskoczenie, bo Celia dodała:

- Wiesz dobrze, że nie mogłam pozwolić jej umrzeć. To miałyby ekologiczne konsekwencje.

I żyć będziesz, wisząc, teraz i na wieki, aż do ostatniej istoty twojego rodzaju.

- Jeśli zginie, to wyginą wszystkie pająki? - zapytałam.

Celia przytaknęła szybko.

-Jest boginią wszystkich pajaków.

Usiadłam, czując miękkość swoich nóg, i pochyliłam się, by przyjrzeć się zawartości słoika. Kobieta - bogini - która zamierzała pożreć mnie kawałek po kawałku, wyglądała na niezwykle małą i kruchą w tym słoiku. Jej wyrazista ludzka twarz zmieniła się w głowę pająka, jej na wpół ludzki tułów stał się czarnym, okrągłym błyszczącym tułowiem z wyraźną czerwoną plamką w kształcie klepsydry dokładnie w tym miejscu, gdzie rozcięła ją szabla Luke'a - jak gdyby czarne wdowy zostały stworzone, by upamiętnić to wydarzenie na ich ciałach. Wcześniej Arachne miała parę smukłych

ludzkich ramion ponad sześcioro monstrualnymi kończynami, a teraz miała osiem spiczastych pajęczych odnóży. Nic w tym maleńkim pajęczku nie wskazywało na to, że była nieśmiertelną tkaczką, boginią ze starożytnych opowieści.

- Uratowałeś mnie, Luke. Niewiele brakowało. Myślałam, że upuściłeś swoją szablę, ale złapałeś ją. Jesteś niezwykły. Pożarłaby mnie.

-Ależ to ty, Pandoro. Ty przejęłaś szablę - powiedziała Celia.

- Przecież byłam sparaliżowana.

Wtedy przypomniałam sobie to dziwne uczucie, jakbym kontrolowała ostrze. Czy to się zdarzyło naprawdę?

-To prawda, panno Pandoro - powiedział porucznik Luke.

Moja cioteczna babka uśmiechnęła się.

- Nie wiedziałaś, prawda? Masz dar Przemieszczania Umysłem, tak jak Madame Aurora.

Przemieszczanie Umysłem?

-Telekineza. Sądzę, że gdy się nauczysz ją kontrolować, będzie całkiem użyteczna. Zastanów się, co jeszcze potrafisz. To dopiero początek.

Zamrugalam. Czy to możliwe? Telekineza. Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale milczałam. Przypomniałam sobie, jak słoik z tarantulą został wytrząśnięty z mojej torby, a jednak wylądował w mojej dłoni, zanim ktokolwiek zdążył zauważyć.

Zastanów się, co jeszcze potrafisz...

-Jak się czujesz? - Usłyszałam męski głos, ale nie był to głos Luke'a. Rozejrzałam się po pokoju i zobaczyłam trzecią osobę. Właściwie, nie osobę.

Deus.

- Dobry wieczór, młoda damo - powiedział, wchodząc w krąg światła rzucanego przez świece i uśmiechając się do mnie jak typowy katan. Poczułam gwałtowne szarpnięcie. - Spokojnie. Pierwszy łyk jest najsilniejszy - dodał.

Pierwszy łyk? Mój wzrok spoczął na kieliszku czerwonego wina. Zmrużyłam oczy. Uniosłam dłoń do ust, a potem popatrzyłam na nią. Na palcach miałam krew.

Nie!

-Nie martw się. Dostałaś tylko tyle, żeby zabić jad Arachne. Według ścisłych zaleceń Celia. - Przeżegnał się. Oniemiałam.

- Powinnaś mu podziękować, Pandoro - zwróciła mi uwagę Celia cichym głosem. - Gdyby Deus nie latał tak dobrze, nie złapałby cię na czas. Pomniejszy sangwinik nie zdołałby tego uczynić.

Umiał latać. Przypomniałam sobie cień przelatujący za moimi oknami tej nocy, krótko przed naszym drugim spotkaniem. A teraz piłam jego krew...

- Muszę wstać - powiedziałam. - Teraz. - Pochyliłam się, by wstać, i poczułam, jak drżą mi kostki.

- Możesz jeszcze czuć słabość w nogach - ostrzegła Celia. - Jad był bardzo toksyczny.

Nagle Luke chwycił mnie w ramiona i podniósł do góry. Z pewnym wysiłkiem otoczyłam jego szyję ramionami.

Szczerze nie znoszę tego gadania o damach w opatach, ale - do licha - to było całkiem miłe. Uśmiechnęłam się, czując, że nareszcie odzyskałam panowanie nad mięśniami twarzy.

- Dziś ja się nią zaopiekuję - oznajmił Luke. Moja ciotka mrugnęła do mnie.

- Jest pełen zapachu, prawda? - powiedziała.

-Cóż, na mnie już czas. - Deus skłonił się uprzejmie. - Mam nadzieję, że nie pozwolisz, by moja krew się zmarnowała? - Zerknął na kielich.

- Chyba żartujesz, kochanie - odparła Celia. Musnęła ustami jego usta, a potem szepnęła mu coś do ucha. Pożegnał się z nami, podszedł do trumny stojącej na podłodze, otworzył ją i zniknął w jej wnętrzu. Niewątpliwie opuścił budynek przez dach.

Celia otworzyła drzwi do mieszkania, a Luke przeniósł mnie przez próg. Czulałam się prawie jak panna młoda. Panna młoda w ramionach zmarłego, a jednak nie martwego żołnierza z czasów wojny secesyjnej. Zaniósł mnie korytarzem do salonu, a za nami szła Celia, niosąc ostrożnie słoik. Bardzo ostrożnie, jak zauważyłam.

Postawiła go na półce i odwróciła się. Zza woalki mierzyła wzrokiem Luke'a, od stóp odzianych w skórzane buty aż po wyrazistą twarz. Widziałam, że kąciki jej idealnie pomalowanych ust uniosły się lekko, ale nic nie powiedziała. Luke nie zauważył jej przenikliwego wzroku. Był zbyt zajęty obserwowaniem mnie.

- Za kilka minut odzyskasz władzę w nogach. Może przygotuję dla nas po filiżance herbaty, żeby wyciszyć emocje - zaproponowała Celia.

Przełknęłam ślinę.

- Bardzo chętnie. - Im mniej myślałam o tym, co wypiałam, tym lepiej.

Wskazałam na podnózek Celi i Luke posadził mnie na nim ostrożnie.

-Tak się cieszę, że nic ci się nie stało - powiedział, całując moją dłoń.

W myślach prześledziłam przebieg wydarzeń, od chwili gdy mnie obudził. Widok Spektora obłożonego przez pająki. Ucieczka na dach. Walka.

Celia wróciła wkrótce, niosąc na srebrnej tacy filiżanki z idealnie zaparzoną herbatą.

-Tak się o ciebie martwiłam, ciociu Celio - powiedziałam. - Kiedy weszłam do saloniku i zobaczyłam palące się świece, pomyślałam, że jesteś gdzieś w środku.

-Ach, ofiara dla Potrójnej Bogini. - Podała nam filiżanki. - Matka była dziś potężna, prawda? - dodała i zniknęła z powrotem w kuchni.

-Potrójna... Bogini?

Pomyślałam o czerwonej świecy. Obudziłam się, patrząc na nią. I na stolik. A potem przyszło mi w końcu do głowy, że być może istnieje słowo określające moją cioteczną babkę. Kiedyś przez jakiś czas bałam się, że jest wampirem - sangwinikiem. Ale wiedźma? Do tej pory nie przeszło mi to przez myśl, choć - patrząc z perspektywy czasu - niewątpliwie powinno. Widziałam znaki, ale ich nie rozumiałam, zaślepiona hollywoodzkim wizerunkiem Złej Czarownicy Zachodu w spiczastym kapeluszu i z zielonkawą cerą pokrytą brodawkami. Wiedźma zawsze była przedstawiana jako wcielenie brzydoty i zła; krańcowe przeciwieństwo mojej ciotecznej babki.

Celia wróciła i przysiadła na oparciu swojego fotela.

-Ach, *Czarnoksiężnik z Krainy Oz* - poskarżyła się i westchnęła. Wyglądało na to, że Celia dokładnie wiedziała, o czym myślę. Zarumieniłam się. - Nie sądziłaś chyba, że wszystkie latamy na miotłach, prawda?

- Przepraszam - wymamrotałam. Spędziwszy dzieciństwo na obcowaniu z historią i mitologią, powinnam być

mądrzejsza, a jednak ten stereotyp zagościł w mojej głowie z całą swoją halloweenową otoczką.

Cioteczna babka - telepatka, pół-sangwinik i wiedźma?

Naturalnie, Celia nie lubiła szufladkowania. A teraz, jak to ona, zmieniła temat.

-Kochanie, nie uważasz, że nasz gość zasługuje na lepszy dom?

Odwróciłam się do Luke'a, który tymczasem sączył herbatę, stojąc obok mnie, jakby był rok 1860, a on został zaproszony na towarzyskie spotkanie.

- Nie on - powiedziała Celia. - Ona. *Arachne*. Słoik stał na półce.

-Ale co się stało z tymi wszystkimi pajakami? Co z siecią, którą tkwały wokół budynku? - zapytałam.

- Pajaki były jej przedłużeniem, a gdy jej władza zniknęła, zniknęły i one. - Celia rozejrzała się po salonie i zmarszczyła brwi. - Chociaż rozbite szyby pozostały. Szkoda.

Panował tu niezły bałagan.

- Zatem to nie były prawdziwe pajaki?

-Zależy, co masz na myśli, mówiąc „prawdziwe”. Na pewno nie były urojone, prawda?

- Nic dziwnego, że nie chciała jeść. - Przypomniałam sobie o pajaku, którego przyniosłam do domu.

-Tarantula. Tak.

Szpiegowwała mnie. Doprowadziła ją prosto do mnie. Celia podeszła do regału z książkami i zdjęła z niego terrarium.

- Pomóż mi ją tu wsadzić - poprosiła, wskazując na słoik. - Powinnaś już odzyskać władzę w nogach.

Wstałam powoli. Poruszyłam nogami w kostkach. Jad

przestał już działać. Wymieniłam spojrzenia z Lukiem, który uważnie obserwował poczynania Celi.

Zbliżyłam się do słoika i zajrzałam do środka. Arachne krążyła po okrągłej podłodze swojego szklanego więzienia. Przeszły mnie ciarki. Co będzie, jeśli ponownie stanie się pajęczą boginią i spróbuje mnie pożreć?

- A kiedy już się znajdzie w terrarium... zakładając, że ją tam wsadzimy... co będzie, jeśli twoje zaklęcie przestanie działać i...

-Jeszcze mi nie ufasz, Pandoro? - zapytała spokojnie Celia.

Zaczerwieniłam się. Oczywiście, że jej ufałam. Zawsze mi pomagała, mimo mojej naiwności, a nawet, czasami, mojego oporu. A teraz użyła swojej mocy i swoich koneksji, by ocalić mi życie i mnie uzdrowić.

Uniosłam słoik, zachwycając się chwilą - oto stałam tu z moją nienaturalnie młodą, łamiącą stereotypy wiedźmy cioteczną babką, trzymając pajaka, który był niegdyś kobietą i boginią, rozprawiając z nią o trwałości zaklęć. Jak bardzo zmieniło się moje życie od wyjazdu z Gretchenville...

-Teraz jest w zastoju. Nie umiera ani też nie może się przekształcić z powrotem w swoją ludzką postać.

-Jak to zrobiłaś? To znaczy, jak ją przekształciłaś?

- Cóż, częściowo była już przekształcona, i jak już nieraz wspominałam, nie jestem zupełnie bezsilna. A poza tym magia działa na magię, zwłaszcza jeśli wybierze się właściwy moment. - Celia postawiła terrarium na podłodze. - Ta sama magia, która pozwoliła jej na dość widowiskowe wejście do naszej dzielnicy, pomogła mi przemienić ją w to, co teraz widzisz. Przy księżycu w pełni

magia może wiele zdziałać. Matka ma dzisiaj ogromną moc. Na szczęście stanęła po naszej stronie. Tym razem.

Spojrzałyśmy na mały słoik i uwięzionego w nim pająka.

- Do dzieła. To twoje zadanie - zachęciła mnie Celia.

Otworzyłam dach pięknego zamku i wstrzymując oddech, odkręciłam nakrętkę słoika. Włożyłam pająka do terrarium i lekko potrząsnęłam, a on zsunął się do nowego domu. Szybko cofnęłam rękę i zamknęłam pokrywę. Gdy to zrobiłam, odetchnęłam głęboko.

- Widzisz, idealnie do niej pasuje.

Tysiące lat temu ten pająk był śmiertelną kobietą, potem nieśmiertelną boginią, a teraz niczym się nie różnił od najzwyklejszej czarnej wdowy. Czy zdawała sobie z tego sprawę? Zastanawiałam się. Czy ten mały pająk wiedział, kim kiedyś był? Niemal wzdrygnęłam się na myśl o uwięzieniu w ciele innej istoty. Wystarczająco nieprzyjemne było uczucie sparaliżowania w jej sieci. Współczułam jej, dopóki nie przypomniałam sobie, że zamierzała mnie pożreć.

Moja mądra i piękna cioteczna babka umieściła mały zamek z powrotem na półce w salonie, obok swoich ciekawych okazów. Przyglądałam się tym przedmiotom -mały wazon, figurka wyrzeźbiona w kości, nimfa w stylu art déco, muchołówka - i zaciekawilo mnie, czym lub kim były.

-Ciociu Celio...

-Tak, kochanie?

- Czy w twoim salonie są jakieś inne boginie? Uśmiechnęła się.

- Idę na spotkanie - powiedziała i wiedziałam, że ma na

myśli Deusa. - Wy dwoje nie róbcie niczego, czego ja bym nie zrobiła - dodała. Odeszła, zostawiając nas samych.

Spojrzałam na swego towarzysza. Księżyc Głodu był wciąż w pełni, świecąc przez wybite szyby za jego plecami i oświetlając sylwetkę.

Mieliśmy tę noc. Tyle wiedziałam. Mieliśmy tę noc.

Rozdział 22

W poniedziałek zastałam na swoim biurku w pracy wspaniałą białą orchideę ozdobioną czerwoną wstążką. Początkowo pomyślałam, że ten piękny kwiat jest dla mojej szefowej Skye, lecz ku mojemu zdumieniu, na karteczce było moje imię. PANDORA ENGLISH

Czy duchy mogą przysyłać kwiaty? - pomyślałam. Następnego ranka po Księżycu Głodu obudziłam się sama, szabla Luke'a leżała na podłodze mojej sypialni. Miałam nadzieję, że jeszcze wróci. Miałam nadzieję...

Ona nie może być od Luke'a.

Przeczytałam karteczkę i okazało się, że mam rację. Znajdowały się na niej podziękowania od Lauriego Smitha z Smith & Co. Po latach, gdy byłam niedoceniana w rzeczywistym świecie, zaskoczył mnie taki wyraz wdzięczności. Jednakże moje zaskoczenie nie mogło się z równać z konsternacją Pepper, która stała nade mną, gdy otwierałam kartkę.

- Laurie Smith? Dlaczego przysłał ci kwiaty? - zapytała.

- Dobrze nam się rozmawiało - odparłam. Ciekawa byłam, ile z tego pamiętał. -Och.

Wydawała się zszokowana, że ktoś zwrócił na mnie uwagę.

-A czego się dowiedziałaś? - zapytała, wyciągając rękę.
-Tylko podstawowe informacje - odparłam. - Ale nie mam nic z tej drugiej pracowni. Nikogo tam nie było.

W każdym razie żadnej ludzkiej istoty.

-I nie mogłam się do nich dodzwonić - dodałam.
- Och, sprawdzę to. Smith & Co jest pewnie i tak ważniejszy. Dzięki. - Wróciła do swojego biurka z notatkami, które przygotowałam.

Teraz to ja byłam zszokowana, że usłyszałam to sześcioliterowe słowo z jej ust.

Numer o dzianinach szedł już do druku, bez żadnej wzmianki o zaginionych projektantach, którzy - wiedziałam to doskonale - mieli nigdy nie powrócić. Okładka i materiał prezentowały projekty Wiktora Mała, Richarda Helmswortha, Sandy Chow, Smith & Co i mniej znanej pracowni o nazwie Arachne, która moim zdaniem nie miała przed sobą przyszłości.

Miałam wrażenie, że Smith & Co wkrótce zmonopolizuje rynek.

Dwadzieścia po piątej, kilka godzin po oddaniu do druku najnowszego numeru „Pandory”, wpatrywałam się uważnie w najzwyklejszy długopis leżący na moim biurku.

Dalej, Pandoro.

No dalej...

-Nic z tego - wymamrotałam rozczarowana, kiedy stało się jasne, że długopis nie zamierza się ruszyć. Przemieszczanie Umysłem? Naprawdę to potrafię? Może powinnam zacząć od czegoś mniejszego? Spinacz?

Dźwięk otwieranych drzwi odwrócił moją uwagę od

nieudanych prób telekinezy. Ku mojemu zaskoczeniu do biura weszła Skye DeVille. Nie sądziłam, że jeszcze dziś się pojawi i właściwie to zamierzałam szykować się do wyjścia, ale w sumie byłam zadowolona, że przyszła. Ukradkiem podłożyłam skradzioną biżuterię Chanel w jej gabinecie i zastanawiałam się, co powie, gdy ją znajdzie. Jeszcze bardziej mnie ciekawiło, jak się czuje po weekendzie bez pasożytniczych zabiegów Atanazji.

Ta kobieta wiele mi zawdzięcza, i nigdy się o tym nie dowie...

Skye - odziana w powłóczystą czarno-rdzawą suknię - przeszła obok biurka sekretarki z wysoko uniesionym podbródkiem, jakby nic się nie stało. Bez słowa skierowała się prosto do swojego małego gabinetu. Przez cały ten czas wpatrywałam się w nią. W żołądku czułam coraz zimniejszy ciężar. Z wysiłkiem oderwałam oczy od bladości jej cery, nowego stroju, ledwo uchwytnego uczucia odseparowania od pozostałych w redakcji.

Spojrzałam za okno. Dwadzieścia po piątej. Było bardzo późno. Zimowe słońce już prawie zachodziło.

O rany.

Pepper zobaczyła, jak szefowa znika w gabinecie, i natychmiast poszła tam i zapukała. Usłyszałam szcęk klamki. Instynktownie złapałam swoje rzeczy i wstałam, jakby chcąc ją przywitać i pożegnać się. Kiedy Skye otworzyła drzwi, udałam, że upuściłam torebkę.

-Ups!

Podniosłam torbę niezgrabnie, rozsypując jakieś drobiazgi.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała Skye ostrym tonem. Mała torebka, którą zawsze nosiłam przy sobie, upadła na ziemię i na podłodze rozsypała się garstka

ziarenek ryżu, akurat pod stopy Skye. Zaczerwieniłam się, choć przecież celowo upuściłam torebkę.

- Spadły mi resztki z lunchu - powiedziałam nieprzekonująco.

-Jadasz surowy ryż? - zapytała Pepper.

Przyklęknęłam na podłodze, czekając na reakcję Skye. Nic. Żadnej reakcji z jej strony, oprócz typowej i oczywistej pogardy dla mnie. Nie zaczęła liczyć ziaren. To dobra wiadomość, ponieważ prawdopodobnie nie miała się stać wampirzym pisklęciem. I zła, gdyż zapewne teraz uważała mnie za jeszcze większą idiotkę.

- Co u licha jest nie tak z tą dziewczyną? - Usłyszałam, jak Pepper mamrocze do siebie, wchodząc do gabinetu Skye.

No właśnie.

I wtedy nastąpiło najgorsze. Skye DeVille, wchodząc za Pepper do gabinetu, zatrzymała się. Odwróciła się, przechyliła głowę i spojrzała na podłogę, w miejsce, gdzie klęczałam.

Zobaczyłam, że jej usta się poruszają. Jeden, dwa, trzy...

O Boże, ona liczy.